KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 9/264** **1969**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ : **OSTATNI WYWIAD**

L. TYRMAND : **HŁASKO**

Zb. BYRSKI : **ROLA BIUROKRACJI W BLOKU SOWIECKIM**

A. FABRE-LUCE : **LIST OTWARTY DO CHRZEŚCIJAN**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	*Ostatni wywiad*	3
Czesław Miłosz:	*Podzwonne*	6
Sławomir Mrożek:	*Gombrowicz. Śmierć*	12
K. A. Jeleński:	*Dramat i anty-dramat*	15
—	*Subskrypcja na „Dzieła Zebrane" Witolda Gombrowicza*	19

◆

Leopold Tyrmand:	*Hłasko*	21

◆

Seweryn Kwarc:	*Kamienie mówić będą*	30
Seweryn Kwarc:	*Cudzoziemiec*	34

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Stare wino w nowych beczkach*	36
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	48

K R A J

Zbigniew Byrski:	*Rola biurokracji w bloku komunistycznym*	55
Apolinary Kamiński:	*Gomułka i Moczar*	74
—	*Można i tak*	78

S Ą S I E D Z I

S. W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	80
Frantisek Kriegel:	*Wystąpienie na plenum partii w maju rb.*	82
—	*Apel do społeczeństwa*	86
Adam Kruczek:	*Z prasy sowieckiej*	88
—	*Harvardzki Ośrodek Ukraiński*	94

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Alfred Fabre-Luce:	*List otwarty do chrześcijan*	99

SPRAWY I TROSKI

—	*„Skandal"*	117
J. J.:	*50-lecie Stow. Inż. i Techników Polskich we Francji*	120

KRONIKA KULTURALNA

Bogdan Adamski:	*Architektura i urbanistyka polska*	125
—	*Komunikaty*	137

K S I Ą Ż K I

Jerzy Kalinowski:	*Uczeń i mistrz*	140
—	*„Zeszyty Historyczne"*	145
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	146

◆

—	*Wydarzenia miesiąca*	147

◆

A. Ciołkosz, J. Dywiński, F. Kałuża, ks. H. Kwiatkowski, K. Rózga, J. Szwede:	*Listy do Redakcji*	155
Redaktor:	*Odpowiedzi na listy niezamieszczone*	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień-Septembre 1969

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr Franciszek Jenik, Chapel Hill, N.C. (USA)	F. 28,90
S. Kaczyński, Traralgon, Vic. (Australia)	F. 25,00
Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona (USA), po raz siódmy	F. 11,00
Klub Polski w Wenezueli, Caracas	F.490,00
Wanda Komierowska, Paryż — zamiast kwiatów na grób Teresy Jeleńskiej	F. 50,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz czternasty	F. 25,00
A. J. Mercik, Pierrefonds, Que. (Kanada), po raz drugi	F. 22,50
Włodzimierz Onacewicz, Washington DC.	F.137,00
H. Połowiec, Maroubra, NSW. (Australia), po raz drugi	F. 25,00
Prof. dr G. Rhode, Mainz-Gansenheim (NRF) — specjalnie na utrzymanie „Zeszytów Historycznych"	F. 37,28
Dr A. Skowron, Los Angeles, Calif. (USA)	F. 98,00
S.T. (USA), po raz drugi	F. 20,00
Marian Turski, Ste Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada), po raz dwudziesty	F. 60,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz dwunasty	F.100,00
Franciszek Zajączek, Detroit, Mich. (USA)	F. 24,50
Anonimowo, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 15,00
Bezimiennie, Paryż, po raz szósty	F.200,00
Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej „Kultury" w Melbourne (Australia) nadesłało wpłacone na ręce p. A. Chciuka ponowne dary: p. W. Życińskiego (Fma Warta) $A. 15,00 i p. A. Chciuka — zamiast życzeń świątecznych $A. 5,00 (również po raz drugi) jak również dochód uzyskany z Wieczoru Dyskusyjnego „Żołnierze", razem	F.156,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

Ostatni wywiad

W pierwszych dniach lipca 1969 roku profesor jednego z amerykańskich uniwersytetów przysłał Gombrowiczowi list z szeregiem pytań, dotyczących głównie jego teatru, w celu ogłoszenia tego wywiadu w piśmie poświęconym sztuce dramatycznej. Jak zwykle w ciągu ostatnich miesięcy, Witold Gombrowicz podyktował odpowiedź po francusku swej żonie Ricie, która udostępniła nam ten wywiad.

Gombrowicz: Niestety trudno mi będzie odpowiedzieć szczegółowo na te wszystkie pytania ze względu na moją astmę, będę zatem raczej zwięzły:

1. *Jaka była Pańska formacja?*

— Trudno mi o tym mówić. Tak to jakoś poszło samo z siebie. Proszę zresztą przeczytać moje *Rozmowy* z Dominikiem de Roux.

2. *Co na Pana najbardziej wpłynęło w dziedzinie literatury?*

— Pisarze polscy: Mickiewicz, Pasek.
Pisarze francuscy: Montaigne, Rabelais, A. Jarry i nadrealiści (nie wprost — raczej jako atmosfera).
Pisarze angielscy: Szekspir, „Klub Pickwicka" Dickensa, Chesterton.
Pisarz rosyjski: Dostojewski.
Pisarze niemieccy: Goethe i Tomasz Mann.
Jeszcze kilku pisarzy klasycznych jak Cervantes i kilku filozofów (w sensie artystycznym), wpływ raczej w dziedzinie stylu: Schopenhauer, Nitzsche.
Ale kształtowałem się *wbrew* stylowi moich ulubionych pisarzy.

3. *Czy malarstwo grało dużą rolę w Pańskim dziele?*

— Malarstwo? Jestem nieprzyjacielem malarstwa i zwalczam je za pomocą papierosa. Istnieją wartości usprawiedliwione i wartości nałogowe. Potrzeba chleba jest usprawiedliwiona — potrzeba papierosa, malarstwa — to nałóg. Nabyty jak? Przez olbrzymi rynek, sztuczną kulturę, wrażliwość zniekształconą przez współzawodnictwo, narzuconą hierarchię wartości, itd. Moja polemika z Jean Dubuffet na ten temat ukaże się w numerze *Cahiers de l'Herne* mnie poświęconym.

4. *Czy może Pan coś powiedzieć o genezie swojej pierwszej sztuki?*

— Iwona, księżniczka Burgunda? — wszystko co piszę powstaje jakoś samodzielnie, poza mną.

5. *Jak pracuje Pan nad sztuką?*

— Proszę przeczytać mój dziennik.

6. *Czy asystuje Pan przy próbach?*

— Nigdy.

7. *Czy wybiera Pan reżysera? Czy Pan z nim współpracuje? A z aktorami?*

— Nigdy.

8. *Czy mógłby Pan coś powiedzieć o ewolucji swego dzieła? Dokąd zmierza Pana teatr? Jaki jest jego rodowód?*

— Mój teatr tak samo wybiera swoje własne drogi jak i inne moje utwory. Kiedy zaczynam sztukę, nie mam pojęcia dokąd mnie zaprowadzi. To samo jeśli chodzi o całość mego teatru. Jestem cyniczny, liczę na efekt, na poezję i zwłaszcza na wartość sceniczną. Trzy sztuki, które napisałem zostały pomyślane i ukończone z dala od jakiegokolwiek wpływu, ponieważ nie chodzę nigdy do teatru i, zwłaszcza, ponieważ żyłem w Argentynie z dala od środowisk teatralnych i literackich. W tych warunkach musiałem liczyć wyłącznie na siebie samego. Kiedy w r. 1964 dwie moje sztuki wystawiono w teatrze, krytyka zaliczyła mnie do teatru absurdu Ionesca i Becketta. Tymczasem moje sztuki były napisane: jedna w 1935, druga w 1946 r., czyli długo przed teatrem Becketta i Ionesco. Zresztą mój teatr nie jest teatrem absurdu i jestem zasadniczo przeciwny obsesji absurdem i w ogóle przeciwny tonowi współczesnej literatury. To staje się nudne.

9. *Czy w Pana sztukach są postacie? Czy też są to zjawiska symboliczne?*

— Żadne zjawiska symboliczne. Nie jestem pisarzem XIX wieku.

10. *Czy to co Pan pisze jest „nowym teatrem"?*

— Nie wiem co to takiego.

11. *Genet, Beckett, Ionesco, Arrabel, Artaud?*

— Trudno o nich w kilku słowach. Zasadniczo podziwiam, ale z daleka, bo w teatrze nie byłem od trzydziestu lat.

12. *Co jest dla Pana idealną przestrzenią teatralną?*

— Zwykły spory teatr z dobrą akustyką.

13. *Dekoracje, światła, dźwięki — czy grają rolę w Pańskim teatrze?*

— Tak, i dużą. Ale nie cierpię stylu „modnego", wiecznie tego samego. Zresztą nie mieszam się do tych spraw, zostawiam wolną rękę reżyserowi. Staję się w tej dziedzinie wierzącym z lenistwa, zdaję się na łaskę Opatrzności.

14. *„Operetka, boski idiotyzm, teatr doskonały". Czy napisał Pan operetkę?*

— Nie. Napisałem tragikomedię w formie operetki.

15. *Jakie są Pana plany na przyszłość?*

— Grób.

Witold GOMBROWICZ

Podzwonne

Nieodpowiedniość, niewłaściwość ustalonej już formy nekrologu, bo zastępuje on zawodzenie płaczek, żałobnic, jak to zawodzenie zrytualizowany, a równocześnie udający, że jest własnym głosem jednego, poszczególnego człowieka, nie obrzędem. I jeżeli nekrolog polega na wyliczaniu cnót i zasług, powstaje pytanie dlaczego dopiero śmierć ma rozwiązywać usta, podczas kiedy taka sama pochwała byłaby bardziej na miejscu wobec żyjącego niż wobec umarłego, któremu nasze opinie są niepotrzebne.

1. Ta śmierć mnie obeszła, jakbym stracił kogoś z najbliższej rodziny. Tym bardziej że Gombrowicz był dla mnie i ciągłą obecnością i sprawczą siłą. Jak można układać nekrolog siły działającej na sposób rzeki Athabasca, która spływa z lodowca w Górach Skalistych, tutaj, gdzie przypadkiem dosięgła mnie wiadomość, że Gombrowicz nie żyje i gdzie piszę te słowa? Jak sobie uprzytomnić, że siła trwa i odnawia się, a ludzkiego jej źródła już nie ma, co dzieje się przecie wbrew wszelkim tzw. prawom przyrody? Ale nie chcę mówić o dziele Gombrowicza. Od dawna nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jest on klasykiem polskiej literatury na równi z poetami romantyzmu i Fredrą. O nikim z pisarzy dwudziestego wieku nie odważyłbym się powiedzieć tego bez zastrzeżeń i ten sąd nie wynika teraz ze zwykłej w podobnych wypadkach przesady, bo tak właśnie przedstawiałem go zwykle swoim studentom. Niemało zdziwiła mnie niedawna polemika w londyńskich *Wiadomościach,* która ujawniła zupełne niezrozumienie jego książek przez wrażliwych skądinąd czytelników. Korciło mnie żeby się wmieszać, ale Gombrowicz sam zabawił się w polemiczne harce, pomyślałem poza tym, że nie warto, bo jego książki obronią się bez niczyjej pomocy. I teraz nie dzieło jakie

zostawił mnie zaprząta, ale duch, siła wyczuwalna za każdym jego zdaniem.

2. Gombrowicz to *virtu* umysłu. Być może ta właściwość polega na odwadze bezlitosnego odrzucania wszystkiego co mniej ważne, zatrzymywania tego tylko co naprawdę ważne. Literaccy koledzy otaczający go w warszawskiej kawiarni przed wojną byli pijanymi dziećmi we mgle, on nie był. Gubiąc się w stylach, kierunkach, ideach przeminęli, cienie, tylko badacz literatury będzie znał ich nazwiska. I później, kiedy w rozmowach Gombrowicz pobłażliwie kpił ze sław Polski Ludowej, zarzucał im w pierwszym rzędzie brak filozoficznego wykształcenia. Znaczyło to nie brak oczytania czy uniwersyteckich dyplomów, ale brak tego uchwytu bez którego niemożliwa jest myśl samodzielna. Oczywiście był filozofem czyli nie dawał się pochłonąć zalewającemu nas dzisiaj nadmiarowi. Za przebraniami zwiększającej się bez ustanku komplikacji szukał ciepłej, fizycznie niemal uchwytnej, prawdy ludzkiej czy, ściślej, międzyludzkiej. Dlatego tak często zaskakuje prostotą swoich obserwacji i stwierdzeń („Jak trafne! Że też nikomu innemu nie wpadło to do głowy!"). Ciekawy nowych przygód cywilizacji, nie zachowywał się jak większość Polaków rzuconych w zachodnią Europę czy Amerykę, tylko obronnych, natężonych w negacji, bo inaczej nie mogliby się ostać. A zarazem był podejrzliwy i wybredny, jedyny bodaj Sarmata, który pokonał swoje urazy i znalazł się na równej stopie ze światem, zdobywając prawo do sądzenia. Nie potrafiłby tego gdyby nie wyjątkowa cnota umysłu i trzydzieści lat spędzonych przez niego na emigracji nie byłyby twórcze — do ostatka.

3. Późno, chyba dopiero przy końcu lat pięćdziesiątych, zrozumiałem, że mimo wszelkich różnic łączy nas ta sama obsesja. Podejrzewam, że „Ferdydurke" była przed wojną dla mnie i moich przyjaciół tym mniej więcej, czym są dzisiaj dla czytelników w Polsce utwory Gombrowicza tj. dobrym pisarstwem ironisty. W przedmowie do „Ślubu" w języku angielskim Jan Kott przypomina epizod z jakiejś uczty po godzinie policyjnej, podczas niemieckiej okupacji, kiedy nad ranem zobaczył Jerzego Andrzewskiego i mnie klęczących naprzeciwko siebie i toczących ze sobą pojedynek na miny, według wszelkich reguł pojedynku Miętusa z Syfonem. Ale od tego daleka jeszcze była droga do pełnego uświadomienia sobie co to znaczy jeżeli pojedynek na miny jest jedyną naszą, ludzką, rzeczywistością jaką możemy przeciwstawić nie-sensowi bytu — nie mówię: bezsensowi ani absurdowi, właśnie nie-sensowi. To zawieszenie w pustce rządzącej się jakimiś prawami dla nas nie do przyjęcia, przede wszystkim prawem

śmierci, to wczepianie się ludzi w ludzi, bo tak tylko są zdolni stworzyć swoją wypełnioną sensami szklaną kulę i mieszkać w jej wnętrzu, w „między-ludzkim kościele" — nic bardziej przeciwnego jakimkolwiek skłonnościom do braterstwa z Naturą. Gombrowicz jest tak anty-naturalistyczny jak to tylko możliwe. W tzw. obiektywnym świecie złożonym z kamieni, drzew, gwiazd, zwierząt pozbawionych świadomości nie ma dla nas żadnego ratunku i żadnej nadziei. Jedynym ratunkiem jest inny człowiek spotkany w jego niepojętej subiektywnej tonacji, królestwo nasze utrzymuje się jak napięty łuk świetlny pomiędzy ludzkim biegunem i biegunem. Słaby to ratunek, bo coraz to jeden z biegunów jest niszczony przez tamto, inne, wrogie, jak teraz został zniszczony Gombrowicz bo zatrzymało mu się serce.

Pisarzem którego należy czytać razem z Gombrowiczem jest Pascal. Ale byliśmy wszyscy we władzy nawyków, dramatyczność i tragiczność łączyły się nam z solennym, odświętnym tokiem tak zwanej wielkiej prozy i błazenada, choćby artystycznie znakomita, uchodziła za coś podrzędnego. Tymczasem błazenada Gombrowicza była decyzją rzekłbym stoicką, gdyby przymiotnik „stoicki" nie przywoływał skojarzeń z posłuszeństwem Naturze. Jeżeli nie mamy nic prócz nas samych, ludzi, nic prócz naszego przeraźliwie samotnego gatunku, z obcowania ze sobą próbujmy wykrzesać jakąś dobroć a nawet boskość. Jednak co ludzkie jest błazeńskie, a w każdym razie teatralne, poddane regułom aktorskiej gry — i trzeba zachować wierność tym regułom do końca. To tak jak z ostatnim listem jaki dostałem od Gombrowicza. Zamiast napisać: „umieram", napisał: „kapcanieję".

Gombrowicz jako mistrz parodii i groteski? Kto tylko to w nim znajduje, stawia go na poziomie nadwiślańskich kpiarzy, zrównuje go np. z jego rówieśnikiem Gałczyńskim, prekursorem cynizmu i moralnego chaosu. Obawiam się, że o Gombrowiczu będą pisać w Polsce nietrafnie, bo ponurym ich tam losem jest zatarcie hierarchii, utrata zmysłu pozwalającego rozróżniać rzeczy wyższe i niższe, ważne i nieważne.

Tak chyba być musiało, że dopiero kiedy gałęzie gombrowiczowskiej podstępnej metody przestały przesłaniać mi sam pień jego myśli, zostałem przygotowany do gorącej osobistej przyjaźni — po latach przyjaznego koleżeństwa z dystansu. Czuję wielki żal, że ta przyjaźń była tak krótkotrwała. I niestety naprawdę nie wiedziałem, że „kapcanieję" znaczy „umieram".

4. Przeróżne szały, heglowskie, marksistowskie, przejęcie się Historią z wielkiej litery. Ale przecież sednem ich bywa zwykle próba zaprzeczenia Naturze, próba zdobycia się na akt wiary w ludzki, przeciwstawiony jej, wymiar. Ostatecznie Gombrowicz jest

bardziej dostępny dla tych, co przez takie szały przeszli, choć to „chomąto", jak w zastosowaniu do mnie napisał, musiało być zrzucone. Trzeba przyznać, że kto stamtąd, z Polski, ląduje na Zachodzie, chce czy nie chce długo nosi chomąto i jeżeli potrafi nadać sens swojej czynności pisania po polsku, bez czytelników, to tylko po długich „samodzielnych bojach". Gombrowicz swoim przykładem dowiódł, że jest to możliwe. Najwybitniejsza powieść o tragikomedii polskiego zawęźlenia została napisana nie w Polsce ale na emigracji. Jest nią „Trans-Atlantyk". Bo nie Żeromski, nie Dąbrowska, nie Witkacy to umieli. Witkacy jest zadziwiający, ale zadziwiający jako zjawisko, jako eksperymentujący ze sobą i innymi Stawrogin (jak nazwał go Wat), i słusznie Gombrowicz podejrzewał, że nie dostawało mu pasji rasowego pisarza. „Trans-Atlantyk" nie był przez nikogo analizowany tak jak być powinien. Zawiera on podstawową rozprawę z Polską-zmorą i z polskim ceremoniałem nacjonalistycznego karlenia. Cała zresztą twórczość Gombrowicza zdaje się być dowodem, że istnieją stałe powołania poszczególnych literatur i że powołaniem polskiej jest, niestety, emigracja. Tamta emigracja otrzymała nazwę Wielkiej. Ale przecie politycznie była mała i śmieszna. To parę nazwisk przesłoniło jej śmieszność i małość. A żeby potwierdziła się raz jeszcze prawidłowość przebiegu, Gombrowicz dla emigracyjnych czytelników, z nielicznymi wyjątkami, był pyszałkiem, megalomanem czy wręcz wariatem. Jakie takie szczycenie się rodzimym geniuszem zaczęło się dopiero kiedy zyskał rozgłos w obcych.

5. Największą cnotą Gombrowicza była dzielność. Częsta u spadkobierców Samosierry kiedy chodzi o wystawianie się na kule wroga, jest niezwykle rzadka w sprawach ducha. Dzielność nie tylko umysłu, również charakteru, co zresztą najczęściej jest nierozłączne. Gombrowicz wyjechał z Polski latem 1939 roku, bo miał śmiałość przyznać się wobec siebie, że wie co będzie: że Polska zdoła opierać się Niemcom od tygodnia do dziesięciu dni i że branie udziału w tym co nastąpi później nie jest na jego siły. Ale iluż z tych, co zdali egzamin męstwa na polu walki okazało się tchórzami gdy przyszło do obrony innych, niewidzialnych, barykad prawdy i honoru? Iluż z nich wytrwałoby tak jak wytrwał Gombrowicz przez ponad dwadzieścia lat w Argentynie, nie odstępując ani na jotę od swego, nie napisawszy ani jednego zdania dla kompromisu? Zważmy, że każdy ma swoją, jemu tylko właściwą, słabość i że czyha na nią przeciwnik, kimkolwiek jest, innym człowiekiem czy układem warunków. U pisarza słabość pochodzi przede wszystkim z potrzeby uznania, diabelska pokusa dosięga go w postaci ludzkich krytycznych czy pochwalnych głosów. Podczas pobytu w Argentynie Gombrowicz był naj-

doskonalej pozbawiony pisarskiej rangi, jeżeli publikowała coś o nim emigracyjna prasa, to po to, żeby wydziwiać i wyśmiewać. Gdyby nie *Kultura,* nie mogłyby się też ukazywać po polsku jego książki. Jakiego przekonania o wartości tego co się robi trzeba w takiej sytuacji, żeby nie upaść, nie pójść na pisanie dla pieniędzy albo przynajmniej dla brawa?

Nie był megalomanem. Gdyby był, nie wdawałby się w oświecające nieprzygotowanych czytelników dyskusje. To jego przyjaciele (a siebie tutaj też zaliczę), którzy zżymali się trochę, że chce mu się tak pospolitować, mieli jakby pogardę dla umysłów naiwnych. Co zastanawia mnie w jego polemicznych starciach, to zupełna wolność od urazów, nieobecność ukrytej między słowami złości. Gombrowicz-moralista: jego moralne nauki ujawniania i w ten sposób przeganiania demonów odnosiły skutek, praktykował to na sobie samym. Był człowiekiem zdumiewająco czystym. Przyznając się otwarcie, że uważa siebie za wielkiego pisarza, że inni do niego nie dorośli, uzewnętrzniał, umieszczał niejako poza sobą to, co w innych jątrzy i truje od wewnątrz, co wyładowuje się wbrew nim samym w wybuchach agresywnej pychy.

Podziwiałem go. Przebywać z nim to było jak wchodzić w budynek o jasnej, przejrzystej architekturze. Pisząc przeciwko sztywnej, zastanej Formie ukształtował siebie, sam był dziełem przez siebie zbudowanym, w przeciwieństwie do tak wielu piszących, którzy wierzą, że ich brud i ciemność zostaną okupione przez ich literackie dzieło. Przygnębiał mnie kontrast pomiędzy Gombrowiczem i prawie wszystkimi literatami z Polski z jakimi miałem okazję rozmawiać. Ich gorycz, wściekłość, ich bełkot, ich babranie się we własnej rozpaczy jakże podkreślały Gombrowiczowski ład, dyscyplinę, kontrolę nad gospodarstwem osoby. Tak nieprawdopodobna odległość, jakby on i oni należeli do rzędu istot z innych planet. Przygnębiało mnie to — ale i napełniało optymizmem. Bo wskazywało, że rozum, jeżeli jest dobrze użyty, potrafi opanować i obrócić na swoją korzyść nawet odwieczne dziedzictwo pijackiego rechotu szlachciury (a Paska Gombrowicz uważał bodajże za najlepszego polskiego pisarza). Uznać wyższe i niższe jest może pierwszą zasadą rozumnych poczynań i bez kwestii przyjmowałem jego wyższość. W porównaniu z nim byłem kręty i zawiły, nie tyle posiadający ile posiadany przez moce niezależne od mojej woli. Ale w Vence dla mnie też, osobiście, jego przykład dawał nadzieję, że zdołam zaprowadzić porządek na moich ziemiach, jak on, zaiste, *un grand seigneur.*

Pierwszej nocy po dowiedzeniu się że umarł miałem sen. Śniło mi się, że żegluję z nim tratwą i że słyszę (za sobą) jego głos: „Nie lawiruj. Płyń prosto pod wiatr". Zawróciłem i wtedy przód tratwy zaczął tonąć ale wiedziałem, że muszę tak dalej

i obudziłem się. Nogi mi ziębły w śpiworze, więc sen miał i fizyczny odpowiednik, nie chcę udawać, że mam sny zanadto wzniosłe, ale ta obecność Gombrowicza (za plecami) o czymś przecie świadczy.

Jakie znaczenie ma gra literacka ocen i ostrzeżeń, jak w ostatnim wydrukowanym przed śmiercią fragmencie „Dziennika", wobec zawału serca? Ale ta gra jest naszą jedyną ochroną przeciw Innemu, poczynającą się z samej siebie, i treścią i granicą. Jak dama z wiersza Pawlikowskiej stawia się krok w nieskończoność z parasolką, pieskiem i różą. Trzeba stawiać ten krok wiedząc, że parasolka jest tylko parasolką. W tym fragmencie „Dziennika" Gombrowicza noty krytyki literackiej sąsiadują z lekkim, rzeklibyśmy lekkomyślnym, opisem własnego umierania. Czy ten zwycięski styl oznacza, że obce mu było przerażenie i rozpacz? Tak dzielny duch tak okrutnie pognębiony przez ciało — a jednak formą zakładający swój protest. Fortynbras uczcił księcia Hamleta jak umiał, sprawiając mu pogrzeb żołnierski. Może i Gombrowicza wypadałoby nieść do grobu na skrzyżowanych mieczach.

Czesław MIŁOSZ

Gombrowicz. Śmierć

Nie mogę odpędzić wrażenia, że pisząc i drukując o zmarłym, dlatego, że umarł, odprawiam pewien obrzęd i zabieg, którego znacznie jest ukryte pod znaczeniem konwencjonalnym.

Jeżeli pod nim ukryte, to znaczy z nim nie tożsame. Nie tożsame z uczczeniem pamięci, wyrażeniem żalu, podkreśleniem zasług.

Możliwe, że chodzi o ustosunkowanie się, o zajęcie jakiegoś stanowiska, o nakaz: zrób coś — wobec zjawiska śmierci. Jakkolwiek kusząca jest alternatywa przyjęcia śmierci za nicość doskonałą i wobec tego starania się, żeby ustosunkować się do niej nijako — silniejszy jest przymus, żeby nawet ze śmiercią coś zrobić, jakoś się zachować. Czyli przed śmiercią się bronić. Mieć inicjatywę (pożal się Boże). Nie uznać jej. Jakikolwiek obrzęd mój własny do tego się nadaje.

Ale nie może tylko o to chodzić — tylko o „użyciowienie" śmierci, o to, co zrobić z rękami w salonie, do którego weszła kostucha. Ona zawsze jest czyjaś, nigdy nie jest sama. Tu zaczyna się sprawa między mną, a tym, czyja śmierć.

Muszę powiedzieć, bo jak tego nie powiem, to nie mam prawa niczego powiedzieć, że ilekroć ktoś umiera, odczuwam rodzaj ohydnej ulgi. Za przeproszeniem osób, które nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, że wiele rzeczy odczuwa się jednocześnie. Rzeczy rozdzierająco sprzecznych między sobą.

Więc ta ulga — chyba stąd, że dla mnie każdy człowiek jest tyle moją raną, co moim zdrowiem, a przede wszystkim możliwością wszystkiego, nieobliczalnym producentem świata i tyle z niego dla mnie wynika bezpieczeństwa, co niebezpieczeństwa. Zresztą ten sam rodzaj ohydnej ulgi odczuwałem wobec siebie,

kiedy raz przez przypadek umierałem i także przez przypadek nie umarłem.

Podejrzewam, że obrządek, jaki odprawiam, odpowiada chęci zażegnania, opieczętowania zmarłego. O zmarłym pisze się: „był". Niby jakże pisać inaczej. A jednak perfidne to słówko.

Z Gombrowiczem łączył mnie Gombrowicz. Było w nim znacznie więcej istnienia, niż we mnie. Czasami, nie mogąc sprostać przewadze jego istnienia, uciekałem od niego.

Gombrowicz popełniał — notorycznie — przestępstwo, które ludzie wybaczają najtrudniej. Nie szanował, nie pieścił miłości własnej jego bliźnich. Chyba za to samo skazano na śmierć Sokratesa. Analogie są uderzające. Ta sama bezwzględna przyjaźń i życzliwość dla ludzi, tak właśnie bezwzględna, że ludzie nie mogli jej znieść. Gombrowicza nie dało się skazać, inne czasy, inne okoliczności i mam nadzieję, może jednak odrobinę inni już ludzie. Ale reakcje były takie same. Oburzenie, oskarżenie o kpiny, o zarozumiałość, o złośliwość, o szarganie, o błazeństwo wreszcie. Jeden i drugi najbardziej drażnili mędrców, ludzi uważających się za kogoś i za coś. Kto się przynajmniej za coś nie uważa.

Do wszystkich jego, Gombrowicza, oskarżycieli o cokolwiek — zwracam się z osobistą prośbą: Nie zmieniajcie o nim zdania, teraz, kiedy umarł. Jeżeli teraz zmienicie zdanie, to będzie znaczyło, że poddajecie się owej uldze, o której mówiłem na początku. Co się zmieniło? Tylko tyle, że umarł. A więc czujecie się bezpieczni. Nigdy już więcej nie urazi waszej miłości własnej, a więc — jeżeli nagle, w jednej chwili, zmienicie o nim zdanie, to znaczy, że witacie jego śmierć jako swoje wyzwolenie.

Wszystkie wasze *de mortuis nihil nisi bene* będą tylko pobożnym pozorem.

Ranić naszą miłość własną jest bardzo niebezpiecznie, dla tego, kto rani. Sami tego unikamy, staramy się tego nie robić nikomu, przynajmniej świadomie. I słusznie postępujemy, jeżeli chodzi nam o bezpieczeństwo. Nie trzeba sądzić, że on ani nie wiedział co robi, ani jak to jest niebezpieczne. On, tak świadomy.

Dlaczego to robił? Można się umówić, że człowiek ledwo żyje i wystarczająco zasługuje na litość, żeby go zostawić w spokoju. Nie pozbawiać go nędznych i śmiesznych skorupek, które sobie z mozołem kleci, żeby się w nie schować i jako tako przeczekać, aż się to wszystko skończy. Że nie trzeba mu tych skorupek ani odbierać, ani rozbijać. Cóż dziwnego, że stworzenie wyjęte z ciemnej norki, gdzie się schowało — na ostre światło — krzyczy, mruga oczkami i gryzie. Nie chcę w tej chwili dyskutować, czy wobec tego należy człowieka zostawić w małym, świętym spokoju, czy nie. Ale tak się złożyło, że on był jednym wielkim „nie" w tej sprawie.

Jeżeli kogoś bolał, niech ten ktoś pamięta, że ze sobą postępował podobnie. Byliśmy jego pacjentami i niektórzy z nas mają mu to za złe. Pomyślmy o chirurgu, który sam siebie operuje.

Niech sobie wyobrażę, że grałem z nim w szachy. Wstał i wyszedł z pokoju. Już nie wróci. Można mieć pokusę, żeby pomieszać mu figury, i zadać mu mata, którego tak trudno mu było zadać w życiu. Jemu? Sobie, bo przecież to ja byłbym tym, który przestawia jego figury. Jakiego mata. Zaśmiałby się tak, jak to miał w zwyczaju.

Sławomir MROŻEK

Dramat i anty-dramat

„W moim życiu i dziele dramat i anty-dramat splatają się nierozdzielnie". (Witold Gombrowicz, *Rozmowy*).

Kiedy Witold Gombrowicz rodził się w Małoszycach w roku 1904 niewiele się na wsi polskiej zmieniło od osiemnastego wieku, od czasu gdy wznoszono ten biały dwór z kolumnami. Kiedy umierał w Vence 24 lipca 1969 czynna już była na księżycu pierwsza, założona rękami człowieka, stacja badawcza. Rodzić się w epoce nieomal feudalnej, umierać na progu ery planetarnej — to los całego pokolenia. Ale nikt jak Gombrowicz nie odczuł rozmiarów tej rewolucji, jej konsekwencji dla świadomości człowieka i dla jego kultury.

Samo jego dzieło to rodzaj „Apolla" — rakieta międzyplanetarna wystrzelona na zaraniu wieku, wymierzona w wiek XXI. Co najdziwniejsze to że ten „futurologiczny" pocisk wydaje się sklecony z materiałów jakich pełno właśnie na dawnym wiejskim obejściu: ze słomy, drewna, rupieci, ziemi zebranej na klepisku. „Przewozić najaktualniejszą kontrabandę takimi landarami jak *Trans-Atlantyk* lub *Pornografia* — to mi odpowiada!" — mówił Gombrowicz. Bo też ten, na wskroś współczesny, proroczy umysł, wolny był od jakiegokolwiek modnego żargonu, niezależny od żadnego systemu, jego dzieło wyrosło z jego własnych odkryć, własnych odczuć, własnych przeżyć.

Dzieło Gombrowicza stwierdza na własną rękę to, co zaczyna odkrywać współczesna myśl — „śmierć człowieka" następująca po „śmierci Boga". Myśl współczesna wyszła poza okres redukcji tego co ludzkie do poziomu biologii i ekonomii (co było zamie-

rzeniem pozytywizmu i marksizmu). Epistomologia Foucault, strukturalizm Lévi-Straussa, psychoanaliza Lacana, neomarksizm Althussera mają jeden wspólny mianownik — odrzucają znaczenie świadomości na rzecz podświadomości, którą określa się dziś jako całość „ponadczasowych praw struktury" (Lévi-Strauss). „Odkrycie" lat sześćdziesiątych to pozbawienie człowieka inicjatywy myśli na rzecz tego co jest myślane. 30 lat wcześniej Gombrowicz pisał w *Ferdydurke:* „Odwrót. Przeczuwam (ale nie wiem czy już mogą to wyznać me wargi), że wkrótce nastąpi czas generalnego odwrotu... Wkrótce poczniemy obawiać się naszych osób i osobowości, stanie się nam jasne bowiem, że one bynajmniej nie są w pełni nasze. I zamiast ryczeć: 'Ja w to wierzę, ja to czuję, ja taki jestem — ja tego bronię' — powiemy z pokorą: 'Mnie się w to wierzy — mnie się to czuje — mnie się to powiedziało, uczyniło, pomyślało' ".

Gombrowicz zdawał sobie sprawę z tego, ile ma wspólnego z duchem czasu, do jakiego stopnia jest tu prekursorem. Był egzystencjalistą przed Sartre'm, strukturalistą przed Lévi-Straussem, i jednym i drugim mimo woli, jak molierowski Monsieur Jourdain, który nie wiedział że mówi prozą. Ale jest to prekursor, którego dzieło i myśl w żadnej z tych wizji świata nie zastyga, który zawsze im się wymyka, otwierając nowe drogi. W *Rozmowach* z Dominique de Roux stwierdza Gombrowicz, że jest prawie pewny ewolucji, która dzieło jego uczyni bliższym czytelnikowi: „Wszystkie znaki na niebie i ziemi o tym świadczą, kryzys ideologii, wzrastające zainteresowanie formą, tendencje najnowszej sztuki". Ale dodaje, że mu to nie wystarcza, że jeśli ten wzrastający formalizm (który jest jego dzieła sprzymierzeńcem) nie zostanie zrównoważony „bólem, poezją, pasją, na tej nowej Saharze zginę, ja i moje utwory". Stąd inne powiedzenie Gombrowicza w *Rozmowach:* „Jestem jak baryton w Dziewiątej Symfonii: Dość tej pieśni, niech inne zabrzmią tony".

Gombrowicz wiedział zawsze, że idee to sita, przez które życie przecieka. On który poezją, wcieleniem słowa badał tajemne dziedziny ludzkiej świadomości w sposób tak bliski współczesnej myśli, był wrogiem procesu odwrotnego — „najazdu nauki na sztukę". Jeśli jego dzieło tak wcześnie zapowiada centralne momenty współczesności — kryzys kultury, śmierć człowieka, konflikt pokoleń, to dlatego, że są to dla niego od najwcześniejszych lat centralne momenty osobiste. On, który określił stan „pomiędzy" jako swoją właściwą ojczyznę, czuł się jak ryba w wodzie w naszym okresie „pomiędzy"... Zamiast rozpaczać nad kryzysem kultury (czy się z niego cieszyć) sprawdzał czy ta kultura jest na naszą miarę skrojona i z nami na ziemi przebywa. Myślą jego przewodnią było: „Uznaj, pojmij, nie jesteś sobą, nigdy z nikim, w żadnej sytuacji". Ale na to odkrycie, że „ja" nie istnieje zareagował wolą, żeby być sobą. To jest kluczem do owego, tak źle zrozumianego: „Poniedziałek — ja, Wtorek — ja, Środa — ja, Czwartek — ja". Nacisk młodości charakterystyczny dla naszych czasów czuł on organicznie i naturalny rozwój ludzki od niedojrzałości do dojrzałości uzupełnił dążeniem wręcz odwrotnym, prącym w dół, z góry do dołu, od dojrzałości do niedojrzałości. Zaproponował nam nowy kontrakt bez złudzeń, ale i bez rozpaczy i do jego dzieła należy zastosować te słowa z *Ferdydurke:* „Wielkie odkrycia są nieodzowne — potężne ciosy wymierzone miękką ludzką dłonią w pancerz stalowy Formy — chytrość niesłychana i wielka uczciwość myśli i niezmierne zaostrzenie inteligencji — żeby człowiek umknął swej sztywności i zdołał pogodzić w sobie formę i bezformie, prawo i anarchię, dojrzałość i niedojrzałość rzeczywistą i świętą".

A jednak to ujęcie stosunku Gombrowicza z „Zeitgeistem" zubaża jego i jego dzieło. „Na szczęście" — oświadczył on w *Rozmowach* — „nie jestem teoretykiem tylko artystą... Sprzeczność, która jest śmiercią filozofa jest życiem artysty". Sprzeczności i antynomii jest w dziele Gombrowicza wiele. Pojedynkują się one ze sobą jak Miętus z Syfonem, Syntetyk z Analitykiem, sam Gombrowicz z „gran Escritorem" (Borgesem); gryzą się jak dzieła sztuki i książki w domu Gonzala.

Dwa zasadnicze nurty Gombrowicza są jednak tylko pozornie przeciwstawne; wydają mi się raczej wyrażać jego reakcje na kulturę „ponad" (i „poza") człowiekiem i na grozę i świętość natury „u podstaw" człowieka. Z jednej strony obrona „letniości" i „rozluźnienia", określenie własnej twórczości jako „aspiryny, usuwającej skurcz". Z drugiej strony „czerń, groza i noc. Noc przeszyta gwałtowną namiętnością, skażona miłością" *(Rozmowy)*. Warto może zwrócić uwagę na to, że w jego książkach narrator („Witold", „Gombrowicz") skłania się zazwyczaj ku tej „letniości" jaką nam poleca w *Dzienniku* „szlachcic polski ze wsi, z nieufnością wieśniaka, z chłopskim zdrowym rozumem, z chłopskim realizmem". Ale za narratorem stoi Doppelgänger, Alter-Ego, Fryderyk z *Pornografii,* Leon z *Kosmosu.* Fryderyka określa Gombrowicz w *Rozmowach* jako Krzysztofa Kolumba, wyruszającego na odkrycie lądów nieznanych... poetę o wielkiej, krańcowej świadomości". Leon — to przeraźliwa, przebrana za zramolałego urzędniczynę wersja Prospera z „Burzy" — demiurga. Zarówno Fryderyk jak Leon są wreszcie reżyserami, kapłanami tajnej celebracji. Jasno wynika z *Dziennika,* z *Rozmów,* że są oni wcieleniem „tragicznego erotyzmu" Gombrowicza, że celebrują „przepychy tej nędzy, jej świętość".

Gombrowicz-szlachcic polski chwalący Montaigne'a i zaleca-

jący letniość i Gombrowicz-artysta, olśniony Niższością i Pięknem służą jednemu celowi — „przedrzeć się poprzez Nierzeczywistość do Rzeczywistości". Z jednej strony chodzi o „anty-dramat" — o wykazanie jak często dziś „im mądrzej tym głupiej" w oparciu o to że „wszystko w życiu jest takie sobie... byle jakie... niezupełne... pomieszane... niedostateczne". Z drugiej strony — o dramat. O znalezienie źródła poezji w „rzeczywistości choroby", która jest rzeczywistością człowieka na równi z „rzeczywistością zdrowia".

◆

Myślę, że nie byłoby obce Gombrowiczowi takie ujęcie jego życia:

— Chłopiec „na uboczu, osobny, dowolny, nijaki, bezradny", a przede wszystkim wcześnie zraniony („Miłość została mi odebrana na zawsze i od samego zarania") z bohaterską odwagą przekuwa swą słabość na siłę. Tworzy wielkie dzieło.

— Chłopiec zakochany we własnej młodości, we własnej niedojrzałości, unikający literatów i literatury, przemykający się przez życie ciemnymi zaułkami, nocnym gąszczem parku Retiro, staje się niemal z dnia na dzień oficjalnym Gombrowiczem, kandydatem do nagrody Nobla.

Zamachy na formę i fascynacja niedojrzałością doprowadziły go do dzieła. Ale przez to samo doprowadziły go do formy i do dojrzałości. Miarą czujności Gombrowicza jest jego świadomość, że dokonanie było również pułapką. W *Dzienniku* z roku 1966 wyrzucał sobie jeszcze, że „nie potrafił wyrazić należycie swego przejścia z niższości w wyższość, tego przewekslowania z Gombrowicza nieznacznego na Gombrowicza znacznego". W dwa lata później w *Rozmowach*, „przemyśliwa nad rozmaitymi podstępami... by zbuntować się jeszcze raz, na stare lata, tym razem przeciw niemu, Gombrowiczowi", by „powrócić do pra-początku, skryć się znowu w gąszczu owej Niedojrzałości wstępnej".

Teraz, gdy nie ma już Witolda Gombrowicza, dylemat ten rozwiązany jest na zawsze. Wbrew zakłamaniom, sklerozom, tyraniom, dzieło jego przemyci, choćby w trumnie, jak Złodziejaszki z *Operetki* Albertynkę, „zwykłą, nieśmiertelną, Nagość wiecznie młodą, Młodość wiecznie nagą". Będzie dla przyszłych pokoleń lekcją prawdy i rzeczywistości, afirmacją swobody i poezji.

K. A. JELEŃSKI

Subskrypcja na «Dzieła Zebrane» Witolda Gombrowicza

Posiadając wyłączne prawa na język polski do całości twórczości literackiej Witolda Gombrowicza, Instytut Literacki zamierza przystąpić do wydania jego

DZIEŁ ZBIOROWYCH

Wydawnictwo to zawierać będzie wstępy oraz fachowo opracowane odnośniki, indeksy tematyczne i nazwiska (jeśli idzie o Korespondencję i *Dzienniki)*. Obliczone jest na 3 lata.

Całość obejmie 12 tomów:

1. *Ferdydurke*
2. *Trans-Atlantyk*
3. *Pornografia*
4. *Kosmos*
5. *Teatr* (Iwona księżniczka Burgunda, Ślub, Operetka)
6. *Opowiadania i nowele*

7-10. *Dzienniki*

11. *Artykuły i eseje*
12. *Korespondencja*

Poszczególne tomy nie zawsze będą się ukazywały w podanej kolejności.

Wydanie w warunkach emigracyjnych wielotomowych *Dzieł Zbiorowych* jest zadaniem trudnym i bardzo kosztownym. Dlatego też ogłaszamy subskrypcję wierząc, że dostateczna ilość czytelników doceni potrzebę tego wydawnictwa i dopomoże nam w realizacji ambitnego planu.

Nie możemy z góry ustalić ceny na całość Dzieł więc jedynie — tak jak to jest w zwyczaju przy tego typu subskrypcjach — precyzujemy że w roku 1969/1970 ukażą się co najmniej cztery tomy Dzieł: *Ferdydurke, Trans-Atlantyk, Pornografia* i *Kosmos*. Cena każdego tomu będzie dla subskrybentów o 30 % niższa od ceny sprzedażnej poszczególnych książek.

Prosimy Czytelników o nadsyłanie na adres:

INSTYTUT LITTERAIRE
91, Avenue de Poissy
78-Maisons-Laffitte (France)

zamówień na *Dzieła Zebrane* wraz z zaliczką w kwocie:

F. 100,00 lub dol. USA 20,00; dol. can. 22,00; £. 8.00.00.

Pod koniec 1970 roku, tj. po wydaniu pierwszych 4 książek, i ustaleniu na nie ceny sprzedażnej, rozliczymy się z subskrybentami z sum otrzymanych i poprosimy o dalszą zaliczkę.

◆

W związku z zamierzonym wydaniem tomu *Korespondencji* W. Gombrowicza zwracamy się z prośbą do Czytelników, którzy z nim korespondowali o nadsyłanie nam listów: oryginałów lub fotokopii. Oryginały zwrócimy po przepisaniu lub wykorzystaniu.

Hłasko

Hłasko. Hłaskower. Śmieciarz. Sokół.
Dlaczego Sokół?

Trudno powiedzieć. Bo on tak chciał. Bo coś mu się wiązało w czaszce w parabolę, w dowcip, w odniesienie, w parodię, w ironię. Ostatnio wolał Sokół. Bo przepadał za tym co miało swój dźwięk i ty już wiesz. Więc tak mówiliśmy o nim ostatnio przez telefon.

Ostatnio też, jak mi doniesiono, robił klops. Pieczeń rzymską. Własnoręcznie. Kupował mielone mięso na hamburgery w hollywoodzkim supermarkecie, wbijał jajka, kleił z miłością i zrozumieniem klops i wsadzał do pieca. Wychodziło coś, co głodnym nie sprawiało żadnej różnicy. Tyle miał z tego swojego Hollywoodu, który przez długie lata był dlań jak pański dwór dla Janka Muzykanta. A potem się jakoś spalił i nic klawego z niego nie wynikło. Ale nie narzekał. Ten kraj jest jak trzeba, mówił mi dzwoniąc z Los Angeles do Nowego Jorku, z nie swojego telefonu. Chłopcze, mówiłem, jest trzecia nad ranem i nikogo tu teraz nie interesuje polska konwersacja. Domyślam się, odpowiadał, ale ja jestem sam, pijany i chory. Co ci jest? Mam białaczkę. To mówiłeś w zeszłym tygodniu i Mroczkoszczak posłał ci nawet parę złotych na lekarstwa; zaślepiła go miłość. Dziwne, mówił z troską, ale moje oczy nie zobaczyły ani grosza z tych pieniędzy; widocznie Murzyni pocztę spalili; i ty wierzysz, że mnie ktoś by posłał coś w celu niesienia tzw. pomocy? Oczywiście, mówiłem, że ci posłał; ja tobie nie wierzę.

◆

Muskulator. Perła Kurortu.
Ale wierzyłem mu.

Nawet kłamiąc — a składał się z nieskończoności małych, czasem parszywych, czasem wspaniałych, czasem bezsensownych, czasem ślicznych kłamstw — zawsze przekazywał jakąś prawdę. Nieważną prawdę. Potrzebną prawdę. Zresztą, nie można było przymierzać go do siebie, lub przymierzać się do niego, na zasadzie wiary-nie-wiary. To były rzeczy bez znaczenia. Wymierzał ciosy obłędnie, na ślepo, elementarne, tą swoją nieprzykładalnością do porządku pojęć innych, nieprzystosowaniem do tego, co zawsze miał w zamiarze, schowane na kiedyś, zawinięte w chłopską książeczkę do nabożeństwa, wytartą, lecz schludną. Uważał się sam za człowieka niezwykle uporządkowanego, nawet pedantycznego, oddającego każdemu co jego. A przy tym kłamał i lżył i opluwał tak doszczętnie, a zarazem tak bezinteresownie, że z kłamstw i oszczerstw wyrastały nowe portrety prawdy, za które ludzie by mu się w pas kłaniali, gdyby ich tylko chciał odtwarzać. Było w nim niechlujstwo, nie było w nim śmieci. Było w nim błoto, nie było w nim brudu. Był człowiekiem z mułu i kurzu, jak każdy z nas jest, nawet ci wypolerowani i omaszczeni intelektualno-ideowym gnojem, z którego nikt nic nie ma. Z niego ludzie *mieli*. I curesy i ubaw i ból i jakieś przekonanie, że *to* jest właśnie *tak*, o jakie najbardziej chodzi tym, którym ciężko, głupio i niesłusznie. Chwalił się, że nie robił błędów gramatycznych i że zawsze wszystko mu się zgadza w konstrukcji opowiadania, aż do ostatniego szczegółu. Może i nie robił, może i mu się zgadzało, ale z małym ale. W konstrukcji i w wyprowadzających się z niej logikach był bezbłędny, lecz w dotknięciu Prawdy, tej najgłówniejszej i bezapelacyjnej i wszechwyjaśniającej, zawsze był jakby przesunięty, pośpieszny, spóźniony, obok. To, co malował, było wielkie przez swe cudowne, irytujące skrzywienie, deformację, skos. Był romantykiem, a więc mazał i upiększał.

◆

Marco — najprzystojniejszy pomocnik blacharza.

Nie każdy powinien czytać te słowa.

Wielu niczego z nich nie zrozumie, tak jak ja nie mogę jeszcze zrozumieć, że już trzeba w nich zawrzeć to wszystko kim był i co robił, że można go definiować. Ja zresztą nie mam niczego do dania, co wszyscy mogliby zrozumieć. Ja wiem swoje, a to co wiem, wie jeszcze paru ludzi i tylko z nimi należałoby siedzieć i mówić, bawiąc się zapałkami na mokrym stole. To się ma tak do rozumienia jak zapach. Jak rozumieć zapach? Słowa, te najprostsze, a więc najwymyślniejsze, i zdania, te formowane z pasją dotarcia i olśnienia, mają zapach i Hłasko kochał ich woń. Pamiętał ją. Wiedział, że w woni są mądrości, którymi nie zbawi się

nikogo, ani świata, ale które *coś* mówią. Mówią. Mówić. Czyli rozeznawać poprzez słowa. Jak on sobie lubił pogadać. Mówić. Przyszedłem kiedyś do *Po prostu*, na Wiejskiej, w 1956. Warszawska kamienica sprzed bomb, a więc wysokie sufity ze sztukaterią, wysokie, odrapane drzwi. Otworzyłem jakieś i on stał na krześle, z książką w ręku i kazał, zaś na podłodze klęczał jeden podchmielony, poeta-murarz, jak o sobie mówił, ręce złożone jak do modlitwy, wzrok wśrubowany w Śmieciarza, który mu czytał Dostojewskiego. Czytał po warszawsku, z owym *l* wbitym mocno w podniebienie, i kochał słowa, zdania, ich wonie. Żywy obraz, sam w sobie nic nie mówi, ani ucieszny, ani pouczający, ale coś się w nim tliło, coś ukrytego w zakątkach zdań, czego nie można przekazać. Zresztą nieważne, mógł to być Wierchowieński, mógł być Humphrey Bogart — groźba mądrości utajona w męce kształtowania zdań, rąbania ich w kostki, heblowania w strużyny była jego życiem. Przychodził do mojej kuchni na Bielanach, siadał na taborecie, jadł jugosłowiańskie sardynki i opowiadał co napisze. Nigdy mu nie ufałem, że zapamięta, ale potem, w druku, było tak jak mówił, albo i lepiej. Pisarze na ogół mówią lepiej o tym, co napiszą. Ich udręki polegają na niemożności odnalezienia własnych słów.

◆

Kochało się go zazwyczaj 24 godziny. Nie można było dłużej. Kilka pań próbowało, ale żadnej nie wyszło. Znaczne ilości innych koleżanek rozumiały instynktownie prawa gry. I te mają dziś piękne wspomnienia. On sam skarżył się i zawodził na kruchość i zwodniczość miłości, co w efekcie dało kilkaset przekonywujących stron druku. Nigdy nie rozumiał, że jest źródłem, początkiem, końcem i skutkiem wszystkich nieprawości. Miał do miłości stosunek rzewny, co sprawiło, że stał się jednym z najbardziej magicznych bardów rzetelnego, smutnego cynizmu swej literackiej epoki. To nie on odkrył szlachetność, głębię i ból kurewstwa — bo co tu było do odkrywania — ale nadał im jakąś rangę, nieznaną w polskiej literaturze. Nie umiał pogłębić, ani rozszerzyć tego swojego gniotąco klarownego rozeznania i tu dopadała go polskość, zachlapana komunizmem, co pchało to jego pisanie w nostalgie, gesty, sentymenty, pozy, maniery. Lecz rdzeń tego, o czym wiedział, sam szpik tego co chciał, był w dechę, taki co to ludzie odbierają i kupują i żywią się nim. Patrzyliśmy, zafascynowani, na te jego trzy karty nadziei, poniewierki i głodu słuszności, jak je chachmęcił i jak nie przegrywał. Mówiono, że udaje rozpacz. Ale jak genialnie udawał.

Każdy kto go napotkał — dziewczyna, starzec, dziecko, pies — popadał z nim w miłość nagłą i gwałtowną. Chciał być ko-

chany przez każdego, wdzięczył się, krygował i dopraszał miłości. Chciał ją także dawać, a przynajmniej święcie wierzył, że chce. Roztaczał kokieterie i uroki, którym nie można było nic przeciwstawić. Marzył o wiernościach i lojalnościach z żelaza i aż do końca, takich właśnie z Londona, Hemingway'a i hollywoodzkich scenariuszy. Może dlatego właśnie przestawał kochać w ciągu jednego litra i dwóch paczek „Sportów". Wybywał. Odchodził. Znikał bez słowa i bez westchnienia. Jego wczorajszą miłość i oddanie odnaleźć można było tylko w dzisiejszych szyderstwach, w karykaturalnej *mowie*. Była ona uświęceniem w tragedię, ta *gadka,* lub wyniesieniem w komedię, była życiem samym w sobie. Z jej interpretacji wychodził zawsze zwycięsko, to znaczy skrzywdzony niewiernością, złodziejstwem, przecherstwem, donosicielstwem, numerem, pogromem człowieczeństwa — które, jasne, przeobrażały się w triumf filozofii. Wydawało mu się, że wie wszystko o nikczemności, niskości, podłości, upadku. W gruncie rzeczy wiedział to, co jego kieszonkowy licznik Geigera wykrywał i natychmiast kwalifikował. Stąd krzywdził, nadużywał, płacił obojętnością za przywiązanie, obmową za pomoc, niewiernością za wierność. Ale wiedział, że coś jest nie za bardzo z monstrualnym wszech-silnikiem egzystencji i starał się go po warszawsku zaklepać, zamotać, powiązać szpagatem co wymagało szwejsowania, wstawić tekturę tam gdzie potrzebna była blacha. I cierpiał przez tandetę, ale tandeta i szmelc to już nie była jego wina, takich części dostarcza dziś światu jakiś Najpotężniejszy Zaopatrzeniowiec, o którym wiadomo, że nie ma co się z nim szamotać, bo On już wie, że inaczej nie można, i nigdy nie uda nam się wniknąć w jego dostawy, ani remanenty. Z tej wiedzy rodził się styl życia i pisania. Zaś w ramach stylu zawarta była możność rozwiązań ostatecznych, toteż przystawiony do ściany, z rękami w górze, na sekundę przed wsadzeniem mu gipsu w usta, umiał wyrwać się i krzyknąć głosem nieoczekiwanie jasnym i donośnym co jest dobre, a co złe. I gdy udało mu się umknąć strzałom, a przynajmniej ubiacko-literacko-organizacyjnym kopom w nerki i w jaja, poszedł tam dokąd nie chciał, czyli — jak mówią gówniarze z ironią — wybrał wolność.

◆

Wszedłem do mieszkania w mokrą, czerwcową, nowojorską noc i zadzwonił telefon, od razu. Jakiś facet z *New York Times'a* donosił, że Hłasko umarł. I pytał mnie o coś, mówił, że potrzebuje do sylwetki pisarza. Coś mu mówiłem, ale zrobiło mi się jakoś sucho i szmacianie, i potem on się wymeldował, a ja wyjąłem jakąś wódkę — nie dla stylu, ale żeby się skoncentrować

na zmartwieniu, bo to nie takie proste w takich chwilach i czasem człowiek myśli o przetartych sznurowadłach i o tym, że zapomniał wczoraj kupić banany. Potem zadzwoniłem do New Haven, do jednego faceta co był z Hłaską bardziej niż na ty, i słyszałem jak tamten zesztywniał, bo można to było usłyszeć, i ja się w takich chwilach zawsze boję o atak serca u tego drugiego. Potem zadzwoniłem do jednej dziewczyny, i ona już wiedziała, i była jakby przesiąkła płaczem, mimo, że Hłaski prawie nie znała, i ma swoje problemy, i w ogóle co można poza tzw. westchnieniem i ochronnym już tak to jest. Potem wyciągnąłem „Pięknych Dwudziestoletnich" i śmiałem się z tego z czego już kiedyś się śmiałem, i czułem własne łzy, chociaż ich jakby nie było. Potem przyszła inna dziewczyna, ni stąd ni z owąd, o wpół do trzeciej w nocy, bo znała Hłaskę i też już wiedziała, i ja miałem trochę spirytusu z wermutem, i siedzieliśmy i mieliśmy wszystkiego dosyć, i było nam rozpaczliwie kojąco, że coś nas *tak* jeszcze w życiu wzięło. Oczy mieliśmy wypalone przez noc, alkohol, zmęczenie, żal.

Potem, w parę dni później, siedziałem z jedną dziewczyną, Amerykanką, w hotelu Plaza i patrzyliśmy w telewizję, gdzie dawali *East of Eden,* i James Dean skręcał się i wił i gryzł własną duszę chcąc powiedzieć coś o czym on wiedział, a nikt ani tego, ani jego nie rozumiał, ani nie lubił, chociaż każdy oddałby palec, żeby Dean dał się lubić i właśnie się dla niego tak skręcał. Powiedziałem: Wyobraź sobie Dean'a metr osiemdziesiąt wzrostu i z cholernym poczuciem humoru, a będziesz miała tego człowieka co umarł w zeszłym tygodniu i *Times* o nim pisał; ta sama twarz. I ta dziewczyna powiedziała: Dziwne, znałam u siebie, w Minneapolis, jednego faceta, który zupełnie wyglądał i był jak Dean i też umarł około trzydziestki; widocznie oni umierają w tym wieku; coś w tym jest.

Ale dla mnie to nie załatwiało sprawy.

◆

Potem przyjechała jedna Polka z Los Angeles i opowiadała, że jej zdaniem on popełnił samobójstwo, bo gryzły go wyrzuty sumienia, że nie uratował Krzyśka Komedy od śmierci, bo razem pili wódkę kiedy Komeda tak fatalnie upadł i uderzył się w głowę, i Hłasko, jak podobno miał sobie wyrzucać, zamiast go zatargać za tę skaleczoną głowę do szpitala, jeszcze snuł się z nim na jakichś spacerach po pijacku. To wydaje mi się nieprzekonywujące, nie dlatego, że sumienie i wyrzuty to bajka, bo Hłasko był wrażliwszy na sumieniu od wielu znanych mi jako subtelni, przepastni, rozedrgani, wibrujący, czego nawet dowodzić nie trze-

ba, i na pewno układał sobie różne konfiguracje koszmarów na ten temat w bezsenności. Ale w międzyczasie pojechał do Izraela w sprawie tego filmu. Nawet nie, żeby pisać scenariusz, ale — jak mówił — za rzeczoznawcę. Czego znowu dowodzić nie trzeba, bo wpierw trzeba zobaczyć Izrael, aby zrozumieć jaką strunę ruszył, i co mu o tym kraju i jego ludziach w pisaniu zaśpiewało. Z Izraela kablował pogodne pocztówki, dawał wywiady, a gdy go ktoś chciał sfotografować dla prasy, powiedział: O, przepraszam, co to to nie, prawo do fotografowania mnie ma wyłącznie policja w Los Angeles. I jeszcze z Niemiec doszedł nas krótki wink, że niebawem tu będzie z powrotem i schlamy się za jego grosze.

Nie, samobójstwo, ani zapaść przez gołdę, oderwana szajba, czy nawet najprecyzyjniejsze diagnozy psychoanalityczne mnie jakoś nie trafiają do przekonania. Trzeba go było znać, oczko miał na siebie uważne, zanim zażył, długo oglądał Seconal pod światło, czy nie uda się go podzielić na pół. A wódka? Ci, którzy robią z jego picia wielkie eschatologie, to są ci sami co o wszystkim w życiu wiedzą połowę. I to zawsze tę mniej ważną. Prawdziwym pijakom pęka wątroba, zrywa się mięsień sercowy, śledziona wypływa przez uszy. A on był pozer, hipochondryk i trochę tchórz. I dzięki Bogu, że taki był. Tylko tchórze wiedzą o mękach odwagi, tylko hipochondrycy znają upojenia braku obaw, tylko pozerzy zżerani są głodem aby być kimś innym, lepszym, większym. Tylko dlatego tyle wiedział i był mądry, tak, po prostu mądry — choć nigdy nie umiał być mądrym dla siebie samego.

Więc co to było?

Nie wiem i chyba nigdy już nie będę wiedział. Nawet gdy znajdą niezbite dowody na to, że było właśnie tak i tak, to i to — ja nadal nic wiedzieć nie będę.

◆

Jego romantyzm — romantyzm wiedzy o życiu.

To brzmi koślawo, ale właśnie takim pisarzem był. Romantyzm jest jak kino: każdy, kto czyta romantyka, czy coś romantycznego, chce to właśnie robić o czym rzecz jest, tak czuć i przeżywać, tam być. Każda nędza, dno i brzydota są w kinie takie, że chce się tak samo i każdy sam siebie od razu w tym wyobraża. On odtwarzał Polskę zaplutą i straszliwą, nurzał ją w ohydach i w tym co nie do wytrzymania — i ciągle mu ta Polska wychodziła urzekająca jak w kinie. Cała w ciemnych, przetłuszczonych brudem, potem i udręką kolorach, nabrzmiała krzywdą i nieszczęściem, ale jakaś filmowa, nęcąca, modna. Każda dziewczyna w Warszawie chciała być Agnieszką z „Ósmego Dnia Tygodnia", z pełną zgodą na wszystko co się Agnieszce przytrafia, co ją je, co jej duszę truje i co ją ciągnie za włosy w samozniszczenie, autopogardę i tzw. bagno. Jakże wiedział o tym łaknieniu gestu w swoich odbiorcach, jakże umiał im wymyślać tło, role, ornamentacje. Jak uczciwie mówił im: To straszne, ale zarazem jakie ozdobne i godne twojej własnej sceny życia; weź na siebie ciężar pozy, a przeistoczy się ona w autentyk dramatu. Psychozy i zmagania moralne romantyzmu są bardziej rzeczywiste niż cokolwiek w literaturze, stąd ich odwieczna hegemonia w konsumentach, co nie znaczy, że przestają być wystrojem, a stają się logicznym rozbiorem istnienia. Wszyscy chwalili go za brutalny realizm, zaś on podawał nam do ust prawdy upiększone, choćby najbardziej gorzkie, ale przebrane w frapujące kostiumy cudowności ohydy, szlachetności brzydoty, uskrzydlonych uroków nikczemności, łagodnych mądrości gwałtu. Komunizm wychodzi z jego pisarstwa nie bardzo naruszony, trochę go tam nie ma. To, co w prozie jest *ciekawe* przez człowieka i dla człowieka, rzadko potrafi skutecznie rozszczepić uwarunkowania, mało pomaga w wiwisekcji epoki, w surowej analizie zinstytucjonalizowanych struktur. Nowelistyczne tragikomedie Hłaski mogłyby się przydarzyć wszędzie wszystkim z równym ładunkiem pragnienia imitacji i identyfikacji. Prawda o komunizmie w komunizmie polega nie na alienacji i jej portretowaniu, lecz na włączeniu, wsiąknięciu, wmazaniu się w komunizm bez rehabilitacyjnych akcesoriów dla samego siebie, dla bohatera. Jest anty-alienacyjna i unicestwiają ją najrealistyczniejsze ozdobniki, najokrutniejsza nadzwyczajność, najczarniejsza barwność. Komunizm to gnój. Ludzie nie widzą ubiaka na oczy, a tak ugniatają się wzajemnie, tak duszą i dławią własnymi rękami, że życie staje się kloaką. Egzystencjalna gówienność bez blasków wyjątkowości, prosta, czasem wręcz smętna swą przydrożną ludowością, i tylko pod skromnie polaną wapnem pokrywą płynie sobie nie za wartko, leniwie, bez efektownych wirów i pian, cuchnący potok komunistycznego życia. I toną w nim wszyscy, my i oni, szarzy i barwni, kozacy i pokorni. Lepkość i szlamowatość istnień, spaćkanych mazią i przylegających do siebie wzajemnie na zasadzie tej gnojności. Jakieś siły rozpętane zostały, które zmontowały Golema Nędzy-Giganta, a ten już dawno wymknął się kontroli wszystkich — obserwatorów, ofiar, budowniczych, współudziałowców. Jakieś operacje na duszy ludzkiej, których sensu jeszcze nikt nie pojmuje, których skutki dławią jak homunculusy i Frankensteiny.

Stąd schludny, zgrzebny, niemal pogodny „Dzień Iwana Denisowicza" jest dla komunizmu tym, czy miecz św. Jerzego dla smoka. Czytając powtarzamy: Boże! tylko nie tam, nie tam...

Zaś jedno z nieskończoności obłąkań komunizmu polega na tym, że nie pozwala Hłaskom pisać o sobie źle.

◆

Siedziałem raz na przyjęciu obok ambasadora Izraela, który znał polski— rzecz nierzadka wśród ambasadorów tego śródziemnomorskiego kraju. Powiedziałem mu, że Hłasko jest jednym z współtwórców izraelskiej literatury narodowej. Żachnął się i oskarżył mnie o przesadną skłonność do paradoksalnych żartów. Powiedziałem mu: Niech go pan sobie trochę poczyta. Spotkałem ambasadora po jakimś czasie na *party*. Podszedł do mnie i powiedział: Wie pan, coś jest na rzeczy.

Ja wiem, że tak jest. Ten wysoki, krzywo uśmiechnięty blondyn, polsko-rosyjski (bo tak lubił się widzieć, z wyrafinowanie snobistycznymi referencjami do burłaków, nadwołżańskich ballad, braci Karamazow, Wiertyńskiego i upojnego czaru terminu *bladź*), idealny prototyp postrachów małomiasteczkowych Żydów z ery pogromów, zrozumiał i ukochał pewien styk, który rozbestwieni ćwierć-inteligenci chcą wymazać z Polski, a który znalazł schronienie w Tel-Avivie. Żeby nie wiem jak moczarowski bandziorchytrusek tego pragnął i do tego dążył, już nie wymaże żydowskości ze współczesnej, potocznej polszczyzny, owej przedziwnej melancholii bezradnego cwaniactwa, które zhumanizowało świętą polską mowę i sprowadziło ją z wyżyn parafialnych uprzejmości i gamoniowatego ułańskiego do rzędu muzycznych instrumentów codzienności, bogatych w nieskończoność ekspresji i intonacji. Zaś w Haifie i Tel-Avivie Bóg jeden wie jak długo będą jeszcze ludzie, tonący beznadziejnie w nostalgii rozważań na temat polskiej poziomki, którym polski byt kawiarniany określił świadomość, zaś polskie normy przyzwoitości i honoru wypełniły światopogląd. Najlepsza polska restauracja na całym świecie jest dziś w Jaffie, ostatnie schronienie tego co wstrząsające i wzniosłe w polskim gotowaniu — i Hłasko pojął to i ukochał.

Lecz literatura narodowa Izraela to nie liryczne remanenty polskości. Trudno bić się o tę rangę dla niego, gdy tak mało ludzi, których literatura ta ma być własnością, czytało ją, ale ci co czytali, wiedzą, że pod podejrzaną ornamentyką spraw ladacznic, kombinatorów i kanalii skrystalizowało się w niej jakieś dotąd niezamanifestowane człowieczeństwo tego narodu, jakieś nowe, żarliwe piękno tego kraju, którego nowe, nie zawsze gustowne formy przedziwnie i fascynująco splotły się z wzruszeniami pradawności. „Tam gdzie nie ma człowieka — bądź człowiekiem..." pisało w Babilońskim Talmudzie. Rzecz jasna, ludzie zawsze *są*, lecz trzeba ich jeszcze odnaleźć. Jest rzeczą narodowych literatur

odnajdywać ich z miłością w określonym punkcie ziemi, pod tym a nie innym niebem i słońcem. I on to właśnie robił w Izraelu.

◆

Domyślam się jak to tam się będzie rozlegało, w gazetach, w radio, w rozmowach literackich gówniarzy. Że pisarz polski, polskiemu, polskiego, nad Wisłą, tu miejsce, taki zawsze koniec, złudy, pozory, i jedno wielkie puste nic w zamian za pogoń za blichtrem wolności i sportowych samochodów.

Zaś on pokochał Kalifornię miłością jasną i smutną. Kalifornia nie dała mu niczego, wręcz przeciwnie — skopała go dotkliwie po najtkliwszych nadziejach. I już naprawdę, po tych wszystkich szamotaniach się z ciekawości i rozpędu po całej Europie, tam tylko chciał być i zostać. To proste. Gdy mu się w Kalifornii nie fartowało, to *rozumiał* dlaczego, i z tym można żyć. Jeśli zaś w Polsce nie mógł niczego, to *wiedział dlaczego* — i ta wiedza jest nie do wytrzymania.

◆

Panna Czaczkies. Kto ją teraz zawoła po nazwisku?

◆

Zaś z Polski jedna dziewczyna pisze:

„Płaczę i płaczę po nim, uspokoić się nie mogę i sama nie wiem dlaczego..."

Leopold TYRMAND

Kamienie wołać będą...

Mało kto z nieobeznanych w życiu, choć coraz mniej już takich, w tę historię uwierzy.

Bohater tego zdarzenia i pod względem fizycznym jak lew, tak to powiadają w pewnych stronach gdzie nikt lwa na oczy nie widział; postury silnej, wysoki, rozrosły w plecach, a psychicznie również nie żaden mięczak, bo życie miał nielekkie i niesłodkie. Choćby fakt, że z tak zwanej „reakcyjnej rodziny" się wywodzi, więc początki miał trudne... Mimo to wysoko zaszedł, studia zaocznie ukończył, po latach, nawet niedługo czekał, został dyrektorem niedużego zakładu produkcyjnego, właściwie to raczej kierownik, mały zakład, jednostka podrzędna, ale tak się utarło — dyrektor. Czekają go jeszcze większe awanse. Tak różni kompetentni prorokują. Oczywiście partyjny, mocno partyjny, żeby tak się wyrazić, to znaczy umiał w odpowiednim momencie postawą, słowem i czynem swoją pozycję partyjną umocnić. A też życiowo rozsądny. Kiedy proponowano mu karierę po linii politycznej odmówił stanowczo, tłumacząc się umiłowaniem zawodu. Z zawodu jest inżynier magister, jak sam to podkreśla, mechanik. I nie mogli się przyczepić, został po dawnemu w swojej branży. A te kamienie jednak go wykończyły, tyle strachu i zdrowia kosztowały.

Było to jak następuje: Po tych niepokojach studenckich w marcu, w czasie gdy poczęto już czynić przygotowania do pochodu pierwszomajowego, wezwano go do komitetu stołecznego na naradę. Tam otrzymał polecenie partyjne, podane w sposób bardzo poważny, wręcz z naciskiem podkreślającym wagę tego zadania. Został przydzielony do ekipy organizacyjnej majowego pochodu, sztabu, jak mówiono, a odpowiedzialność otrzymał za grupę porządkową.

Właśnie tu dochodzi się do tych kamieni i cegieł, bo w jego gestii znalazła się trasa pochodu pod kątem oczyszczenia z wszelkich przedmiotów, mogących służyć w razie nieprzewidzianych zajść jako broń w rękach wichrzycielskich elementów.

Z początku nawet specjalnie się tym nie przejął. Mało to razy dostawał polecenia z aparatu. Podczas zajść studenckich też miał zadanie, kolumnę ormowców kazali mu poprowadzić. Głupia rola, bo syn przecież na studiach (tyle że w innym mieście i chwalić Boga zachował rozsądek, nie przyskrzynili go, ani nic) i tak na oczach zebranej tłumnie publiczności... Ale poprowadził, z tym, że podczas akcji 3/4 ludzi mu się rozbiegło...

Więc teraz te kamienie. Wrócił z narady do domu. Zwyczajny wieczór. W kinie nawet był z żoną. Na jakiejś komedii francuskiej. Tytułu nie pamięta. Niezłe to, łóżkowe sprawy i śmieszne. Podczas seansu śmiał się głośno i klepał po kolanach. Następny dzień też mu się zwyczajnie zaczął. Później, tak koło południa pojechał do komitetu. Tam spotkał się z przydzieloną mu grupą aktywu. Solidni i odpowiedzialni ludzie, sądząc z wyglądu. Ustalili i rozpracowali plan działania. Uzgodnili współpracę z Zakładem Oczyszczania Miasta odnośnie trasy. Z własnej inicjatywy pewne rozszerzenie zakresu swojej akcji wprowadzili. Mianowicie rozchodzi się o ławki. Ławki, doszli do wniosku, należy dalej od trasy pochodu odsunąć. Niech nie korcą. Ławki mogą w zapalczywości, o ile taka zapalczywość wybuchnie, porozbijać i z każdej takiej ławki są deski w zajściach ulicznych odpowiednie i groźne. Zresztą doświadczenie to wykazało. W marcu właśnie były w użyciu. Najbardziej koło pomnika Mickiewicza.

— Doświadczenie uczy, towarzysze — podsumował on to spostrzeżenie dosyć żartobliwym tonem.

Następnie podzielił trasę na odcinki. Dokładnie według planu miasta, dwa tysiące metrów wychodziło. Przydzielił poszczególnym aktywistom po takim odcinku... I wrócił do domu. Niby nic jeszcze. Ale już zaczęły, jak to się mówi, różne myśli chodzić mu po głowie. Tyle a tyle dni do pochodu. Tyle a tyle metrów każdy odcinek trasy. Tylu a tylu ludzi do dyspozycji. Na razie tylko taka matematyka chodziła mu po głowie. Technicznego wykształcenia jest przecież, ścisły umysł po prostu. A nazajutrz był do niego telefon. Dzwonił sekretarz od propagandy i zawiadomił go poufnie o pewnych raportach dotyczących politycznych fermentów w środowiskach studenckich.

Więc zaraz po pracy poszedł na obchód trasy. Ucieszył się, że robotnicy już ładują na ciężarówki ławki z pobliża trasy. Akcja przebiegała sprawnie. Zauważył jednak z niepokojem w dwóch miejscach na bocznych ulicach wykopy, jakieś przewody ciągną, w tych miejscach stosy kamieni, połamane płyty chodnikowe.

Bardzo niedobre miejsca. Postanowił również w tej sprawie zwrócić się do odpowiednich czynników. Zanotował nazwy ulic.

Wraca do domu, a tu żona z wyrzutami, że spóźnił się na obiad. Ledwie opanował się, żeby nie powiedzieć jej coś niegrzecznego. Zjadł obiad nogi bolały go po tym chodzeniu, miał ciasne buty kupione niedawno, położył się na tapczanie i nim zdążył przejrzeć *Ekspres,* znów telefon. Sekretarz propagandy. Wzburzony głos. Odkryli w jednym z akademików przygotowane przez studentów transparenty na pochód pierwszomajowy o hasłach obelżywych, krytycznych, wręcz antyustrojowych.

— Może być gorąco... — mówił sekretarz, a zakończył tak — ... Pamiętajcie o tych kamieniach, wy jesteście osobiście odpowiedzialni. — Tak zakończył.

On zapalił papierosa. Zamyślił się ponuro. Żona z oburzeniem do niego że strząsa popiół na dywan. Ofuknął ją brutalnie. Ona nie pozostała mu dłużna. I od słowa do słowa pokłócili się. Zajadle, coraz bardziej zajadle. O nic. Wzburzony poszedł do swojego pokoju. Chciał ochłonąć i oderwać się od tego wszystkiego. Najlepiej poczytać coś lekkiego. Znalazł kryminał. Czyta. Ale gdzie tam. Treść wcale go nie wciąga. Żona chodzi po mieszkaniu i specjalnie hałaśliwie zamyka drzwi. Zamyślając się ponuro, sięgając do kryminału i odkładając go znów, dotrwał do wieczora.

A wieczorem poszedł na obchód. Dużo chodzenia, bo przecież trzeba też obejść te boczne dojścia poszczególnych dzielnic do centrum. Tak jak rzeka i rzeczki-dopływy. Tyle tych dzielnicowych zbiórek w różnych dalekich miejscach. Nóg już nie czuł. I sam osobiście co jakiś kamień znalazł czy kawałek cegły, to odrzucał ten niebezpieczny przedmiot daleko, właściwie wpierw odchodził w bok spory kawałek i ciskał, najchętniej w podwórkach do śmietnika pakował taką cegłę czy taki kamień. Kosze od śmieci też sprawdzał. Świństwo ohydne te kosze, smród zgniłych owoców, warzyw, Bóg wie czego... Ale sprawdzał rzetelnie. Wpierw po kolei, później na wyrywki, co pięć, siedem koszy zabierał się do wglądu. Kosze to akurat dla rozrabiaczy takie magazynki podręczne... Chociaż pocieszające, że podczas obchodu napotkał pięciu ze swojej ekipy porządkowej, sumiennie sprawdzali powierzone sobie odcinki pracy. Spotkawszy się, popalili, postali i rozeszli się. W trakcie ostatniego spotkania wpadł na dobry pomysł i kazał szczególną uwagę zwrócić na te odcinki trasy, które przechodzą w pobliżu domów studenckich. Ostatni spotkany aktywista uśmiechnął się chytrze. — Sam o tym pomyślałem — powiedział. — Inwigiluję ich już drugi dzień.

Też nie gapa, wie że są to najbardziej zapalne punkty.

Wrócił do domu po północy, zmordowany i ciągle niespokojny. Żona jeszcze nie spała. Dopadła go jak nakładał piżamę w łazience.

— To już wiem o co chodzi... — zaczęła podniesionym głosem — ... Ty kogoś masz... — I w bek.

Zdenerwował się.

— Stuknij się w ten głupi łeb... — zaczął ordynarnie i wściekle. Ale zmiękł zaraz na widok jej nieszczęsnej, zapłakanej twarzy i powiedział o tych kamieniach. Bardzo się przejęła.

Następnego zaś dnia w pracy przetelefonował do wszystkich swoich ludzi, polecił im zwrócić uwagę na akademiki, z Z.O.M.-em też się skonsultował w sprawie dokładnego objechania trasy i załatwił również sprawę likwidacji wykopów na bocznych ulicach. Potem pojechał na naradę do komitetu. I ledwie wrócił, zwalili się z wizytą szwagrostwo.

— Zrobiliśmy wam najście i będzie rodzinny miły wieczór... — śmiał się szwagier.

— Jakie ładne, przyjemne kinkiety — szczebiotała jego żona — ... Gdzie kupiłaś, Zosiu?

— Rodzinny, miły wieczór — powtórzył on, ale z taką goryczą, aż szwagier przyjrzał mu się podejrzliwie. Na szczęście ten mały zgrzyt zatuszowała żona zdwojoną serdecznością.

Bo naprawdę wizytę szwagrostwa ledwie mógł przetrzymać. Nadrabiał miną i starał się potakiwać, brać jakiś udział w rozmowie, chociaż gestami i pomrukami. Ale raz po raz zapadał się w głąb. A szwagier taki honorowy i nadęty. Trzeba z nim uważać. Wielki pan doktor, niedawno ordynatorem go mianowali. I pycha z tego powodu aż go rozsadza. Jego żona znów bez przerwy trajkocze, zanosi się śmiechem, takim wrzasko-piskiem wypełnia pokój.

— ... Wyobraźcie sobie, dzwonię do Mirka do szpitala, pielęgniarka mówi, pan doktor na obchodzie, będzie za godzinę, drugi raz dzwonię, to samo, pewnie romansuje sobie z przystojnymi pacjentkami, oj Mirku, bo zrobię inspekcję... — I grozi mu żartobliwie palcem. Teraz jego żona coś mówi.

Jak one mogą sobie takie bzdury opowiadać? Chwilami ledwie chwytał sens rozmowy, jakby zapadał się w siebie i zostawał zupełnie samotny z tymi cholernymi kamieniami. I ocknąwszy się nagle, już zagubiony w wątku rozmowy, próbował włączyć się znów i zadawał głupie pytania, które dziwiły niewymownie szwagra, bo przecież akurat przed chwilą o tym mówił. Żona jakoś ratowała sytuację. Zagadywała szwagra, podsuwała jedzenie, zapraszała gościnnie. A jego nawet specjalnie nie zainteresowała informacja szwagra o znajomości z facetem najważniejszym od samochodowych talonów. Tak ważna przecież wiadomość, od dawna już ma zamiar kupić sobie jakiś wózek. Tym razem nie ożywiło

go to jednak. Udało mu się tylko skurczyć twarz w niby uśmiechu, a jego żona zaczęła gorąco dziękować szwagrowi za pamięć o nich. Wreszcie skończyła się ta wizyta-tortura. Przeszło trzy godziny trwała. Poszli sobie. Ledwo tylko drzwi zamknęły się za nimi, on też szybko kapelusz na głowę, teczkę w rękę i na obchód. Ostatnia przecież noc przed pochodem. W ogóle była to ruchliwa noc. Inne ekipy wywieszały hasła, obijały płoty plakatami i wizerunkami wodzów. Kończono też przystrajać trybunę na placu defilad. Światła reflektorów oświetlały trasę, dużo ludzi, stuk młotków, głosy. A dla niego była to noc lunatyczna. Obchodził trasę kilkakroć. Jego ludzie też byli na posterunkach. Też z teczkami. Okruchy cegieł, nieliczne kamyki chowali do tych teczek. Czynili ostatnie kosmetyczne zabiegi. On najwięcej uwagi poświęcił odcinkowi trasy przed trybuną. Z opuszczoną głową wodził bacznym spojrzeniem po chodnikach i jezdni. Niby wszystko w porządku, ale nie czuł spokoju. Zaniepokoiły go na przykład stragany pozostałe z kiermaszu sprzedaży sprzętu turystycznego. Drewniane. Taka kupa desek. Choć znów odległość od od trasy znaczna. W głębi placu stoją. Pięćdziesiąt metrów. Chyba nie w zakresie jego odpowiedzialności. Na pewno. Pokręcił stanowczo głową. Więc jeszcze raz zaczął obchód od początku placu. Jeszcze chwilę przyglądał się widocznym z daleka konturom straganów. Szarzało już, gdy postanowił wrócić do domu. Więc już wraca.

„Osobiście Jesteście Odpowiedzialni" — przypomniał sobie słowa sekretarza i aż skręcił się od jakiejś prawie fizycznej udręki wewnątrz. Machinalnie zajrzał do najbliższego kosza na śmiecie i sprawdził jego zawartość.

Seweryn KWARC

Cudzoziemiec

Ten młody cudzoziemiec z zachodu jest u nas już szósty miesiąc jako stypendysta. Lewicujący, z rodziny przemysłowców o intelektualnym rodowodzie, dziad poeta, również stryj zajmuje się filozoficzną eseistyką, bardzo podobno ceniony. On sam slawista z wykształcenia, poznaje tutaj język. Przez te sześć miesięcy my przeżyliśmy serię antysemickich wystąpień, Czechosłowację... Wstyd, bezsilność i obrzydzenie nieustannie towarzyszyły naszym ostatnim doświadczeniom. On był z nami w tym

okresie. Jeśli początkowo był taki niefrasobliwy, promiennie uśmiechnięty i oczarowany walorami Polaków, ich wolnościowym uporem, romantyzmem, a także ironią wobec własnej sytuacji i umiłowaniem sprawiedliwości, to teraz już mniej się zachwycał, rzadko nawet uśmiechnięty.

Byłem w jego hotelowym pokoju. Piliśmy White Horse z PeKaO, paliliśmy Senior Service. Rozmowa skąpa i zdawkowa. Gospodarz zerkał coraz na obrazki zdobiące ściany, wywietrznik, kaloryfery i telefon.

— Chcę Ci powiedzieć... — zniżył głos do szeptu jak szmer.

Urwał, wstał i szybkim krokiem podszedł do łóżka, chwycił stamtąd poduszeczkę, wrócił do stołu, zestawił telefon na podłogę, przykrył go poduszeczką, patrzył chwilę na swoje dzieło z ukosa, i po namyśle zabrał poduszeczkę, rzucił ją na łóżko a stamtąd wziął dużą poduszkę. I teraz szczelnie otulił telefon tą dużą poduszką w niebieskiej powleczce.

— Podsłuch... — wyjaśnił nadal stłumionym głosem, teraz nie ufając żyrandolowi, ściennym obrazkom pokazującym odbudowę Warszawy, i kaloryferom.

A co najśmieszniejsze — w tej poufnej rozmowie nie miał nic szczególnego do powiedzenia: jakieś nowe aresztowania studentów, protestujących przeciw inwazji na Czechosłowację, wrażenia z pobytu w Szwecji, gdzie był na urlopie, tam pogardliwie i z niechęcią mówią o nas...

Seweryn KWARC

Ukazała się nowa, bogato ilustrowana książka
EDWARDA RACZYŃSKIEGO

„PANI RÓŻA"

historia życia matki autora, wydana przez Oficynę Poetów i Malarzy. Zawiera świadectwa ludzi, którzy ją znali, m.in. Marii Czapskiej, Karoliny Lanckorońskiej i amb. Kajetana Morawskiego.

Do nabycia w księgarniach polskich i u autora:
8 Lennox Gardens, London, S.W.1. Cena z przesyłką £.1.16.0 ($.5)
Luksusowe wydanie numerowane na papierze czerpanym £.4 — $.10.

Archiwum polityczne

Stare wino w nowych beczkach

W rozmowach z młodymi ludźmi z Kraju padają nieodmiennie dwa stwierdzenia: a) po co mówić o polityce kiedy jest tyle innych ciekawszych tematów? Oraz — b) po co mówić o polityce kiedy my i tak na to nie możemy nic poradzić. Wielu moich rozmówców dodaje jeszcze uwagę, że *Kultura* udziela rad rządzącym a nie rządzonym i jeżeli prowadzimy dialog to raczej z Gomułką i z partią a nie ze społeczeństwem.

W pokoju w którym pracuję znajdują się setki książek i czasopism. 80 % owych wydawnictw nie można by przewieźć do Kraju. Na przeszkodzie stoi polityka. Ze względów politycznych Jasienica zamilkł a Kołakowski wykłada zagranicą zamiast w Warszawie. Byłoby krzywdzące powiedzieć, że w Polsce czy w Rosji nie ukazują się interesujące książki. Lecz nie ulega wątpliwości, że w innym systemie politycznym literatura i sztuka kwitłyby w obu cytowanych krajach podczas gdy dziś zaledwie wegetują.

Dla wielu polityka jest nudna. Lecz życie w Polsce nie stanie się bardziej interesujące dopóki nie zmienimy systemu politycznego, który jest źródłem polskiej nudy. Prasa polska jest jedną z najnudniejszych na świecie. Zeszyty *Kultury* mają wysoką cenę na czarnym rynku w Kraju nie dlatego, że *Kultura* daje jakąś czarodziejską receptę na rozwiązanie obecnej sytuacji — lecz dlatego, że jest to pismo żywe i interesujące.

Nuda jest „społecznym złodziejstwem". Fakt, że *Kultura* nie może ukazywać się w Warszawie oznacza, że tysiące ludzi okradziono z dobrego pisma. Miliony ludzi w Polsce i w Rosji okradziono ze wspaniałej literatury, która powstałaby w innym ustroju. Owym milionom ukradziono historię, filozofię, socjologię — ukradziono kontrowersyjną, czasem dziwaczną lecz zawsze fascynującą i przebogatą, problematykę dwudziestego wieku. To jest typ zbrodni, której nie można wyrównać w stosunku do danego pokolenia. Za dwa czy trzy lata przewrót może przynieść wolność i demokrację. Lecz polski inteligent na prowincji liczący dziś 40

czy 45 lat, który nie miał dostępu do książek zachodnich — jeżeli za trzy lata wybuchnie wolność — choćby „wyczytał" swoje oczy, nie zdoła przeczytać tego co mógłby był przeczytać gdyby przepędził życie w innym ustroju. Z pewnych istotnych wartości okradziono go nieodwracalnie i na zawsze. Jeżeli za kilka lat zniesiona będzie cenzura — setki współczesnych pisarzy nie napisze już tych książek, które napisaliby, gdyby dziesięć lat temu istniała wolność.

Czy istotnie na to wszystko nie możemy nic poradzić?

Lecz nim odpowiem na to pytanie spójrzmy na sytuację Polski niejako z lotu ptaka. Jak dawniej jesteśmy pomiędzy Rosją a Niemcami. Nasze położenie uległo pogorszeniu ponieważ nasi obaj sąsiedzi są dziś znacznie potężniejsi niż w przeszłości. Na Zachodzie mamy sympatyków lecz nie mamy sojuszników. Jedyny problem w Europie Środkowej, który w pewnej mierze interesuje mocarstwa zachodnie to jest Berlin i zjednoczenie Niemiec. Lecz na tym koniec.

W tej chwili na scenie światowej dominującą pozycję zajmują dwa super-mocarstwa, tzn. Stany Zjednoczone i Rosja. Należy jednak podkreślić, że super-mocarstwowość nie jest wyłącznym wynalazkiem Amerykanów i Rosjan. Super-mocarstw będzie przybywać. Kandydatami na tej liście są Japonia, Niemcy i Chiny. Nie można wykluczyć, że za 50 lat super-mocarstwami będą Indie i Brazylia. Przypuszczam, że małe i średnie państwa łączyć się będą w federacje, unie celne i bloki gospodarcze, by móc konkurować z super-mocarstwami na rynkach światowych.

Siła w polityce jest pojęciem relatywnym. Z chwilą gdy Rosja będzie jednym z czterech czy pięciu super-mocarstw nie będzie miała tego statusu, który posiada dziś. Lecz to jeszcze nie wszystko. O statusie super-mocarstwa decyduje w znacznej mierze polityka zagraniczna. Ubezpieczenie granic, sojusze, korzystna w danym rejonie równowaga sił, a nawet kwestia wojny czy pokoju — wszystko to stanowi przedmiot polityki zagranicznej. Istnieje ścisły związek funkcjonalny pomiędzy polityką zagraniczną i wewnętrzną. Jeżeli w danym kraju 20 partii w parlamencie skacze sobie do gardła — jeżeli rządy zmieniają się co kilka miesięcy, a czasem co kilka tygodni — jest oczywiste, że państwo tego typu nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

W Rosji nie ma dwudziestu partii a rządy nie zmieniają się co parę tygodni — lecz tym niemniej ustrój państwowy jest anachronizmem co odbija się na polityce zagranicznej. Związek Sowiecki nie ma i nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

Czechosłowaków — którzy byli najbardziej pro-rosyjskim narodem w Europie — Rosjanie zdołali przekształcić w najbardziej anty-rosyjski naród w Europie. Blok państw satelickich w koncepcji Stalina miał na celu chronić Sowiety przed Niemcami i ich sojusznikami. W okresie Stalina państwa satelickie były bezwzględnie posłusznymi pionkami trzymanymi przez Moskwę żelazną ręką. Obecnie terroru jest mniej lecz nie oznacza to, że terror zastąpiła obopólna dobra wola i współpraca. Pewne pań-

stwa satelickie — jak Rumunia czy Węgry — są dziś bardziej samodzielne niż w przeszłości. Wydaje się prawdopodobne, że ów proces częściowej emancypacji satelitów będzie postępować. Gdyby wzrost tej emancypacji oznaczał poprawę stosunków pomiędzy Rosją a jej sojusznikami — wówczas byłby to sukces sowieckiej polityki zagranicznej. Wiemy że tak nie jest.

Satelici będą w przyszłości stanowili coraz większy problem dla Związku Sowieckiego. Przywódcy typu Gomułki i Ulbrichta są na wymarciu. Oprócz tego system satelicki nie spełnia swojego zadania. W razie wybuchu wojny Moskwa nie mogłaby liczyć na żadną z armii satelickich. Polacy walczyliby przeciwko Niemcom — lecz przeciwko Amerykanom nie walczyłby nikt. W razie wybuchu konfliktu zbrojnego w państwach satelickich nastąpiłaby seria przewrotów i rewolucji. Zamiast wału obronnego, który miał chronić Sowiety od Zachodu — Rosja miałaby pożar wzdłuż swoich granic.

Ponieważ w Rosji nie nastąpiły poważniejsze przemiany drogi komunizmu sowieckiego i komunizmu zachodnioeuropejskiego rozchodzą się coraz bardziej. Polityka zagraniczna Sowietów traci jeden ze swoich głównych atutów.

Skłaniam się do przypuszczenia, że komuniści włoscy będą partią współrządzącą w obrębie dziesięciu lat a może wcześniej. Gdyby w Moskwie sprawował władzę rosyjski Dubczek — nie byłoby żadnego sporu i nieufności pomiędzy komunistami włoskimi i sowieckimi. Dziś Rosjanie określają włoską partię komunistyczną mianem „socjal-demokracji". Moskwa ma trudności w znalezieniu wspólnego języka nie tylko z zachodnioeuropejskimi komunistami lecz również z komunistami azjatyckimi i afrykańskimi.

Do czego zmierzają powyższe uwagi?

Chciałem wykazać, że Rosja nie jest w stanie prowadzić dobrej polityki zagranicznej i w konsekwencji jest więcej niż prawdopodobne że jej status zacznie maleć. Można by tu oczywiście dodać sprawy gospodarcze, narodowościowe itp. Ograniczam się jednak tylko do jednego aspektu tego złożonego zagadnienia to jest polityki zagranicznej. Twierdzę, że jeżeli w Rosji nie nastąpią radykalne przemiany sowiecka polityka zagraniczna z każdym kwartałem będzie coraz bardziej reakcyjna, coraz mniej owocna, coraz bardziej carsko-tradycyjna.

Czytelnik zuważy w tym miejscu: jeżeli rozpoczął się już zmierzch Rosji — nie ma powodu do zmartwienia. Wystarczy cierpliwie czekać bo czas pracuje na naszą korzyść.

Nie podzielam tego optymizmu. Historia się nie powtarza lecz pewne schematy historyczne powtarzają się z przerażającą dokładnością.

Może wyjaśnię łatwiej moją tezę posługując się anty-tezą. Wyobraźmy sobie, że rewolucja reformatorska objęła nie tylko Czechosłowację lecz stopniowo rozszerzyła się na Polskę, Węgry i zatriumfowała również w samej Rosji. Wówczas odwieczny schemat historyczny zostałby wreszcie przełamany i z czasem

pogrzebany. Pomiędzy Polską a przebudowaną nową Rosją nastąpiłoby rzetelne wyrównanie stosunków i żaden Polak pisząc sojusznicza Rosja, słowa „sojusznicza" nie ujmowałby w cudzysłowy.

W Historii nie ma żadnej ciągłości. Istnieje tylko ciągłość przemian. Wczorajsi sojusznicy stają się wrogami — wrogowie sojusznikami itd. Lecz warunkiem przemiany jest zawsze przełamanie poprzedniego schematu. Niemcy są dziś sojusznikami Francji. Totalna klęska przypieczętowana bezwarunkową kapitulacją Trzeciej Rzeszy przełamała schemat historyczny trwający od Sedanu.

Nie zawsze wojna przełamuje schemat historyczny. Czasem ów schemat grzebie rewolucja, upadek imperialnej potęgi, brak adaptacji do zmienionych warunków itp.

Musimy przełamać historyczny schemat stosunków polsko-rosyjskich. Ten schemat nie został przełamany ani w roku 1920 — kiedy zwycięzcami byli Polacy — ani w roku 1945 kiedy zwycięzcami byli Rosjanie.

W porównaniu z b. zaborem rosyjskim PRL jest semi-wolna i semi-niepodległa. W Warszawie nie rządzi gubernator rosyjski, ulic nie patroluje policja rosyjska, nie wywozi się ludzi na Sybir ani nie wiesza się patriotów polskich na stokach cytadeli. Niemniej schemat polsko-rosyjski nie uległ zmianie na jotę. Jednym z istotnych i klasycznych aspektów owego schematu jest potencjalna groźba porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Wielu Polaków na Emigracji, zwłaszcza starszego pokolenia — uważa, że Rosję trzeba wyprzeć z Europy. Kto ma to zrobić? Jedynym narodem o potencjalnych możliwościach w tym względzie są Niemcy. Niemcy są kandydatem na liście przyszłych super-mocarstw i już dziś posiadają dostateczną bazę przemysłową by podjąć poważny program zbrojeń atomowych. Któż zaręczy czy za 20 lat Niemcy owego programu nie zrealizują?

Wroga można pobić albo można się z nim porozumieć. Gdyby kiedyś doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego Polska straciłaby nie tylko ziemie zachodnie lecz utraciłaby również możliwość rozwoju gospodarczego i politycznego. Natomiast Rosjanie w porozumieniu z Niemcami dominowaliby nad całym kontynentem Europy.

Dążeniem polskiej polityki w jakimkolwiek wydaniu musi być stworzenie układu, który wyłączałby porozumienie rosyjsko niemieckie czyniąc je zbędnym. Gdyby kiedyś powstała federacja polsko-czechosłowacka — lub luźniejszy związek polsko-czechosłowacko-węgierski — to tego rodzaju zgrupowanie mogłoby być pełno-wartościowym partnerem Rosji. Federacja polsko-czechosłowacka chroniłaby Rosję przed Niemcami a z drugiej strony byłaby zbyt potężna, by jej kosztem Moskwa mogła porozumieć się z Niemcami. Wtedy, lecz dopiero wtedy, ów schemat polsko-rosyjski, którego istotą jest potencjalne porozumienie rosyjsko niemieckie kosztem Polski — zniknąłby z naszych dziejów.

W roku 1939 po czwartym rozbiorze Polski — Mołotow wy-

raził radość, że ów „brzydki karzeł traktatu wersalskiego" zniknął z mapy Europy. Mołotow wyraził się ordynarnie, lecz zgodnie z tradycją.

Polacy uważali Rosję za rywala — nigdy za partnera. Rywala trzeba oczywiście rozbić i zlikwidować. Mołotow myślał po tych samych liniach. Uważał Polskę za rywala, którego trzeba podzielić i wymazać z mapy Europy. Pokonany rywal nie przestaje być rywalem, ponieważ decyduje w tej sprawie tradycyjne nastawienie całego narodu. Przykładem tej postawy było Powstanie Warszawskie, które było wojskowo wymierzone przeciwko Niemcom a politycznie przeciwko Rosji.

Nie wybielając Rosjan — co nie byłoby zadaniem łatwym — należy jednak pamiętać, że ich nastawienie do nas jest w pewnej mierze odbiciem naszego nastawienia do nich. Pokonany rywal rodzi powstańców i kolaborantów. Komitet Lubelski to byli kolaboranci, a żołnierze AK w Warszawie to byli powstańcy. Ani kolaboranci ani powstańcy nie stanowią materiału na partnerów i Rosjanie nie ufają tak jednym jak i drugim.

Ponieważ jesteśmy nie partnerem Rosji lecz tylko pokonanym rywalem — określenie Mołotowa nie straciło niczego ze swej aktualności. W razie wybuchu konfliktu Rosjanie będą się starali tradycyjną metodą wykupić Niemców z koalicji anty-rosyjskiej. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że Rosjanie mają czym Niemcom zagrozić i mają również czym Niemcom zapłacić. Piąty rozbiór Polski byłby w takiej sytuacji z punktu widzenia Rosji logicznym rozwiązaniem — jeżeli tym posunięciem można by kupić neutralność Niemiec.

Obaj nasi sąsiedzi od 200 lat dążą do finalnego rozwiązania kwestii polskiej. Hitlerowska „Generalna Gubernia" i PRL stanowią najświeższe przykłady w tym względzie. PRL jest nową beczką, która zawiera stare imperialne wino. Dzieje się tak dlatego, że Polska jest zbyt słaba by prowadzić politykę pod hasłem „ani z Rosją ani z Niemcami". Stanowimy natomiast bramę wypadową tak Niemiec przeciwko Rosji jak i Rosji przeciwko Niemcom. Polska jest bardzo ważnym elementem w systemie bezpieczeństwa zarówno Rosji jak i Niemiec. Stąd tendencja obu naszych sąsiadów albo do zagarnięcia całego polskiego przedpola — albo do jego podziału pomiędzy oba zainteresowane mocarstwa.

Historia się nie powtarza lecz ten sam zespół przyczyn który tworzy dany schemat historyczny — powoduje skutki podobne w formie i identyczne w treści. Czwarty Rozbiór Polski dokonany przez Hitlera i Stalina różnił się w formie od trzeciego rozbioru — lecz w treści był identyczny — oznaczał bowiem utratę niepodległości. Tezą niniejszego szkicu jest pogląd, że ów schemat historyczny, który w odstępach czasu produkuje rozbiór Polski trwa nadal. Piąty rozbiór Polski jest historycznie nieuchronny jeżeli ów schemat nie zostanie przełamany.

Czytelnik zauważy, że rozbiór nam nie zagraża ponieważ PRL

nie jest państwem niepodległym tylko państwem satelickim wchodzącym w skład imperium sowieckiego.

Jeżeli przyjąć tezę, że pozycja Rosji na skutek jej archaicznej polityki będzie słabnąć — pozycja Niemiec będzie proporcjonalnie rosnąć. Rosji będzie coraz trudniej przeciwstawiać się gospodarczemu „Drang nach Osten" jednej z największych potęg ekonomicznych świata. Zwalczanie reformistów, rewizjonistów i rewolucjonistów w krajach satelickich będzie również coraz trudniejsze i coraz mniej wydatne.

Jeżeli sytuacja przybierze obrót naszkicowany powyżej — politycy na Kremlu będą musieli dojść do prostego wniosku, że jedynym zabezpieczeniem rosyjskiego imperium we Wschodniej Europie jest porozumienie rosyjsko-niemieckie.

W okresie kiedy Niemcy były okupowane i przemysł niemiecki leżał w gruzach — Rosjanie przypuszczali, że koncepcje zaboru zrealizują sami — to znaczy bez udziału Niemiec. Rewizjonizm terytorialny współczesnych potężnych Niemiec nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak przypomnieniem pod adresem Moskwy, że polityka zaborcza wymaga tradycyjnego współ-udziałowca. Gdyby Niemcy otrzymali to czego się domagają — zabór byłby gwarantowany zarówno przez Rosję jak i przez Niemcy — ponieważ zmiana układu w Europie Wschodniej nie leżałaby wówczas w interesie polityki niemieckiej.

Jeżeli Rosja będzie zdecydowana prowadzić politykę imperialną — rozbiór Polski — jak podkreśliłem uprzednio — wydaje się nieuchronny bo tylko porozumienie rosyjsko-niemieckie może zabezpieczyć satelizację Europy Wschodniej. Niemcom nic nie zależy na tym by w Warszawie obradował demokratyczny parlament — tylko zależy im na odzyskaniu Wrocławia. Za tę cenę byliby gotowi pomóc Rosji w „żandarmowaniu" Europy Wschodniej.

Wielu Polaków sądzi, że rozbicie jednego z owych kamieni młyńskich — tzn. Rosji albo Niemiec — wywiodłoby Polskę z tego historycznego potrzasku. Doświadczenie nie potwierdza tej tezy. W rezultacie drugiej wojny światowej Niemcy zostały powalone lecz Polska niepodległości nie odzyskała. Jeżeli w wyniku ewentualnej trzeciej wojny światowej Rosja zostałaby rozbita a Niemcy byłyby jednym z mocarstw zwycięskich — w moim przekonaniu nie odzyskalibyśmy również niepodległości. Musiałaby się powtórzyć sytuacja z roku 1918 — kiedy oba kamienie młyńskie były w rozsypce. Lecz tego rodzaju układ może się nigdy nie powtórzyć i byłoby naiwnością wiązać z nim jakiekolwiek nadzieje.

Europa Wschodnia by mogła przeciwstawić się swoim sąsiadom musi być inaczej zorganizowana. Trzeba mieć możność przeciwstawienia się sąsiadowi, by z owym sąsiadem móc żyć w unormowanych stosunkach. Federacja polsko-czechosłowacka wydaje się rozwiązaniem najkorzystniejszym. Federacja winna być związkiem otwartym umożliwiającym w przyszłości przystąpienie do związku innym państwom naszego rejonu Europy.

Na temat federacji polsko-czechosłowackiej napisano setki artykułów i sporą ilość książek. Autorzy tych prac omówili i przeanalizowali wszystkie aspekty tego złożonego zagadnienia. O Federacji wiemy wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, a mianowicie jak ją powołać do życia? W tej sprawie entuzjaści federacji zachowują dyskretne milczenie. Czytelnikowi daje się do zrozumienia, że federacja powstanie gdy koniunktura międzynarodowa ulegnie korzystnej przemianie.

Osobiście obawiam się, że gdyby „korzystna zmiana koniunktury" wyraziła się nową edycją 1918 r. — Polacy, i prawdopodobnie Czechosłowacy, doszliby do wiosku, że federacja nie jest im potrzebna. Budowalibyśmy wówczas Polskę suwerenną i mocarstwową niepomni dawnych doświadczeń.

Gdyby Polska i Czechosłowacja mogły żyć i rozwijać się jako niezagrożone znikąd suwerenne państwa — federacja byłaby wówczas piękną koncepcją lecz nie koniecznością. Federacja jest koniecznością ponieważ nasi sąsiedzi tak liczbowo jak i w potencjałach przemysłowych rosną szybciej niż my i sami w pojedynkę nie zdołamy się im przeciwstawić.

W czasie pierwszego rozbioru Prusy Fryderyka II liczyły około 4 milionów ludności. Rosja Katarzyny II około 20 milionów a Rzeczpospolita Polska około 12 milionów. Innymi słowy stosunek naszych sił do obu naszych sąsiadów przedstawiał się jak 1 : 2. Owa proporcja w roku 1930 wyrażała się stosunkiem 1 : 8. Obecnie owa proporcja wyraża się stosunkiem 1 : 10. W okresie pierwszego rozbioru nasi sąsiedzi przerastali nas dwukrotnie — dziś przerastają nas dziesięciokrotnie. Lecz powyższe cyfry — raczej przerażające — nie zapadły w świadomość narodu. Polacy kochają tradycję i tradycję identyfikują z historią. Historii często nie rozumieją i dlatego niewiele się z niej uczą.

W świetle powyżej przytoczonych cyfr jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy nie mogą osiągnąć niepodległości inaczej jak łącznie i wspólnym wysiłkiem. Jeżeli narody ujarzmione nie będą działać solidarnie — indywidualnie nie osiągną niczego.

Ewolucję w kierunku jedności utrudnia fakt, że narody ujarzmione — z wyłączeniem Czechosłowaków — nie mają ani tradycji ani wyrobienia demokratycznego. Daleko trudniej jest ujarzmić naród demokratyczny niż naród bez tradycji demokratycznej. Naród bez wyrobienia demokratycznego nie ma wiary w moc ludu. Posiada natomiast nieograniczoną wiarę w moc policji i aparatu przemocy.

Polacy mają uzasadnioną historycznie opinię nieustraszonych żołnierzy. Gdyby Rosjanie zechcieli podjąć inwazję Polski na wzór Czechosłowacji — Polacy prawdopodobnie chwyciliby za broń. Lecz ci sami Polacy, których łatwo sobie wyobrazić walczących na barykadach przeciwko potędze Związku Sowieckiego, uważają Gomułkę czy Moczara za niezwyciężonych.

Nie namawiam Polaków w Kraju do powstania — pragnę natomiast zilustrować tezę, że najłatwiej jest ujarzmić naród, który

nie jest dogłębnie przekonany, że rządzić można tylko w oparciu o społeczeństwo.

Ci, którzy rządzą są zawsze silniejsi od rządzonych. Tak jest nie tylko w Polsce lecz również w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, wszędzie. Obserwując od ćwierć wieku demokrację brytyjską doszedłem do wniosku, że jej siłę stanowi fakt, że każdy dom robotniczy jest w tym kraju aktywną instytucją demokratyczną. W lecie br. (1969) toczyła się długotrwała debata pomiędzy związkami zawodowymi a rządem w sprawie nowego ustawodawstwa strajkowego. Rząd wykazał wielką mądrość wycofując częściowo swój projekt, choć oznaczało to dla rządu przegraną. W Anglii z robotnikami i związkami zawodowymi na dalszą metę nikt nie może wygrać i wszyscy to wiedzą. Nie chodzi mi w tym wypadku o istotę cytowanej debaty, lecz o podkreślenie faktu, że robotnik brytyjski jest świadom, że demokracja zaczyna się od niego.

Natomiast w Kraju i na emigracji przeciętny Polak uważa, że polityka, sprawy ustrojowe, reformy — to wszystko dotyczy innych ludzi lecz nie jego. Owa postawa zmienia się dopiero w chwili zagrożenia z zewnątrz. Wówczas każdy Polak uważa, że obrona kraju jest jego sprawą.

Nie jestem pesymistą, ponieważ człowiek zaangażowany nie może być pesymistą. Niemniej, w mojej ocenie, sytuacja Polski jest zła i będzie się stale pogarszać. Nasi sąsiedzi przerastają nas dziś dziesięciokrotnie. Za 50 lat będą nas przerastali piętnastokrotnie. Żadna „zmiana koniunktury międzynarodowej", z którą starsi panowie na emigracji wiążą wszystkie swoje nadzieje, nie odwróci tego procesu. Niektórzy Polacy wyobrażają sobie, że kiedyś wybuchnie wojna. Wówczas Rosjanie unicestwią Niemcy a Amerykanie unicestwią Rosję. Na takie cuda nie możemy liczyć. Historia nie jest robiona na polski obstalunek.

Wydaje mi się, że przed Wschodnią Europą istnieją tylko dwie możliwości. Albo obszar o którym mowa zostanie politycznie i gospodarczo scalony — albo zostanie podzielony. Rosjanie nie zdołają utrzymać swoich europejskich zdobyczy i będą zmuszeni szukać wyrównania stosunków z Niemcami kosztem podziału.

Polska od 200 lat znajduje się na równi pochyłej choć Polacy nie są ani lepsi ani gorsi od innych narodów. Czesi być może górują nad Polakami pewnymi cnotami obywatelskimi, lecz i oni dzielą dziś z nami ową równię pochyłą. W gruncie rzeczy już od bardzo dawna pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na mozaikę małych i średnich niepodległych państw. Niepodległość można by zapewnić tym państwom gwarancją międzynarodową. Koncepcja pasa neutralnego — wysuwana swego czasu przez *Kulturę* — zmierzała ku temu celowi. Wadą tego typu rozwiązań jest fakt, że jest w nich coś sztucznego. Gwarancja trwa tak długo, jak długo utrzymuje się dany „porządek rzeczy". Wersalski „porządek rzeczy" trwał zaledwie 20 lat. Nie wydaje mi się również by Stany Zjednoczone zechciały w przyszłości zwiększać swoje zobowiązania w Europie — zwłaszcza w Europie Wschod-

niej, gdzie „każdej chwili może się coś stać", jak określił to kiedyś Lippmann.

Rozmowy z Polakami krajowymi przekonały mnie, że w Polsce nikt nie liczy na pomoc Zachodu. Sojusze egzotyczne nie uchroniły nas przed klęską ani nie przywróciły nam niepodległości. Jesteśmy sam na sam z naszym niełatwym losem, wtłoczeni pomiędzy dwa potężne liczebnie i przemysłowo narody, które z każdą dekadą przerastać nas będą coraz bardziej.

W naszej sytuacji nie ma magicznych rozwiązań. Wielu Polaków sądzi, że ewolucja czy rewolucja miałaby szansę sukcesu tylko wówczas gdyby rozpoczęła się w Rosji. Nie podzielam w całej rozciągłości tej opinii, lecz przyznaję, że zasadnicze przemiany ustrojowe w Rosji, bez względu na metodę, byłyby rozwiązaniem idealnym.

Rosja jest najpotężniejszym krajem wschodnioeuropejskim, lecz nawet w skali wschodnioeuropejskiej jest krajem najbardziej opóźnionym w rozwoju. Rosjanie cenią sobie gdy mogą przyjechać do Polski i w rozmowach z Polakami nie tają, że Polskę uważają za Zachód. Warszawa to wprawdzie nie Paryż — lecz niewątpliwie Warszawa a nie Moskwa w pewnym sensie podobna jest do Paryża. Rosjanie podkreślają, że tylko niebo nad Warszawą jest rosyjskie — wszystko inne jest zachodnie. Byłoby więc czymś logicznym i naturalnym gdyby rewolucja czy reformacja przyszły do Rosji z Zachodu — to znaczy z Warszawy i z Pragi.

W drugiej połowie dwudziestego wieku trudno mi uwierzyć w rewolucję typu rewolucji październikowej z tłumami szturmującymi siedzibę KC w Warszawie. Nowoczesna rewolucja jest dziś przede wszystkim prądem umysłowym i programem stopniowej reformy ustroju. W tym sensie rewolucja czechosłowacka posiadała wszystkie znamiona nowoczesności.

W mojej książce „Neurozy Polityczne", w szkicu pt. „Rozprawa o Metodzie", starałem się przeanalizować błędy przywódców powstania węgierskiego. Czechosłowacy popełnili również poważne błędy. Błędem było nadawanie specjalnych programów radiowych po ukraińsku, ponieważ słuszne posunięcie, ale dokonane przedwcześnie — jest zawsze błędem. Lecz zasadniczym błędem rewolucji czechosłowackiej był fakt, że od samego początku pomyślana była jako „odwrotność" powstania węgierskiego. Nie zarzucam Czechom, że w chwili gdy ulice Pragi zaroiły się od czołgów sowieckich nie podjęli walki. Uważam natomiast za kardynalny błąd, że na wiele tygodni przed inwazją czechosłowackie przywództwo partyjne podjęło decyzję, że w żadnym wypadku siła nie zostanie użyta. Rosjanie o tej decyzji oczywiście wiedzieli. Podjęcie inwazji niczym im nie groziło. Gdyby Czesi głosili od początku, że pragną rozwiązać kryzys na drodze negocjacji i przyjaznych rozmów — lecz na siłę odpowiedzą siłą — być może Breżniew nie uzyskałby większości w Politbiurze dla swoich planów inwazyjnych.

Polacy krajowi, z którymi rozmawiałem, podzielali moją opinię, że rewolucja typu czechosłowackiego podjęta równocześnie w Polsce i w Czechosłowacji miałaby znaczne szanse sukcesu bez rozlewu krwi. Lecz przywódcy polscy i czechosłowaccy musieliby wyrazić gotowość rozmów z Moskwą zaznaczając spokojnie i bez prowokacji, że na siłę odpowiedzą siłą.

Federacja polsko-czechosłowacka nie zostanie ogłoszona i podpisana przy biciu dzwonów w Warszawie i w Pradze. Taka federacja musi wpierw zapuścić korzenie w świadomości szerokich mas obu narodów. Polacy i Czechosłowacy muszą zrozumieć — od czego jak dotąd są bardzo dalecy — że pewien stopień niepodległości możemy odzyskać tylko łącznie, nie oddzielnie.

Dzieli nas wiele spraw, między innymi problem niemiecki. Polacy mają spór z Niemcami o granice na Odrze i Nysie. Czechosłowacy i Węgrzy nie chcieliby obciążać swych przyszłych stosunków z Niemcami solidaryzując się z polskim punktem widzenia. Winniśmy przekonać tak Czechosłowaków jak i Węgrów, że nasz wspólny polsko-czechosłowacko-węgierski spór z Rosją jest stokroć ważniejszy i istotniejszy niż indywidualny spór polsko-niemiecki.

Niemcy, podobnie jak Rosja, odnoszą się zawsze z największą podejrzliwością do wszystkich projektów scalenia Europy Wschodniej ponieważ silna gospodarczo i politycznie federacja polsko-czechosłowacka wyłączałaby politykę podziału w porozumieniu z Rosją.

Nie mamy wiele czasu przed sobą. Jeżeli bowiem pozycja Rosji będzie słabnąć — jeżeli doszłoby do zaostrzenia konfliktu rosyjsko-chińskiego — jeżeli inicjatywy Moskwy zorganizowania europejskiej konferencji bezpieczeństwa spalą na panewce — wszystko to przyspieszy porozumienie rosyjsko-niemieckie wraz z jego konsekwencjami.

Rosja dążyć będzie do „odprężenia" w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi w nadziei, że na tej drodze sparaliżuje wpływy tych polityków w Ameryce, którzy proponują zbliżenie pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Polityka „odprężenia" grałaby na korzyść Niemiec ponieważ załatwienie „kwestii niemieckiej" jest jedynym warunkiem wysuwanym pod adresem Moskwy przez Zachód. Istnieje „kwestia niemiecka" — lecz nie istnieje „kwestia polska" czy „kwestia czechosłowacka".

PRL nie jest na pewno finalnym kształtem Polski. Lecz nie wiemy czy alternatywą PRL będzie Polska wolna i niepodległa. Jeżeli Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy w bliskiej przyszłości nie zdobędą się na przemyślany i odważny wysiłek wydobycia się z potrzasku — jeszcze za naszego życia doczekamy się porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Wówczas losy Wschodniej Europy będą przypieczętowane na bardzo długo.

◆

Rosjanie wystąpili z całą brutalnością przeciwko reformacji czechosłowackiej lecz nacjonal-komunizm PRL w pełni aprobują.

Nacjonal-komunizm z jednej strony daje upust dynamice narodowej — z drugiej strony wyłącza scalenie. Nacjonalizm dzieli a nie łączy. Z tych przyczyn sądzę, że Rosjanie będą popierali nacjonal-komunizm w Europie Wschodniej. Antysemityzm, totalizm o charakterze „narodowo-endeckim", pseudo-mocarstwowość, front narodowy jako nowa forma „OZONu" — wszystko to stanowi realizację marzeń polskiej reakcji. Klaudiusz Hrabyk miał rację twierdząc, że komuniści robią dziś „naszą" politykę. Ideowych komunistów jest coraz mniej, ale na reakcjonistów można liczyć zawsze. Z rosyjskiego imperialnego punktu widzenia wszystko co dzieli jest dobre — wszystko co łączy jest złe. Nacjonal-komunizm jest groźny w Chinach lecz nie w Polsce czy w Rumunii.

Na emigracji większość moich rówieśników mniema, że kiedyś naród powstanie przeciwko najeźdźcy. Komuniści, nacjonal-komuniści, byli endecy, antysemici, i masy polskich nacjonalistów bez politycznego wyznacznika, z obecnego stanu rzeczy w Polsce są w większej lub w mniejszej mierze zadowoleni. Niezadowoleni są tylko aktywni i potencjalni rewolucjoniści — oraz większość proletariatu robotniczego.

Komunizm w krajach którym brak głębszej tradycji demokratycznej ewoluuje w kierunku narodowego, totalnego „socjalizmu" czyli faszyzmu. Stawka na anty-komunistyczną kontrrewolucję straciła wszelki sens, ponieważ kontrrewolucja jest w toku. W Czechosłowacji — która posiada tradycje demokratyczne — komunizm ewoluował w kierunku socjalizmu demokratycznego. Ten proces został zdławiony kontrrewolucyjnymi siłami Breżniewa-Ulbrichta-Gomułki.

Stalinowców w Rosji czy w Polsce łączy z nacjonalistami wspólna postawa totalistyczna i wspólna nienawiść do demokratycznego socjalizmu.

Polityka niepodległościowa polska, czechosłowacka czy węgierska może być tylko socjalistyczna ponieważ tylko socjalizm stanowi antytezę zarówno komunizmu jak i nacjonalizmu względnie stalinizmu, który stanowi zlepek komunizmu z nacjonalizmem.

Jednym z największych atutów komunistów w Polsce jest fakt, że bardzo znaczny procent Polaków w Kraju i na emigracji uważa socjalizm za kuzyna komunizmu. Działa w tym wypadku zarówno rodzima ciemnota jak i koncepcje tzw. frontów ludowych. Trzeba jednak pamiętać, że poprzez fronty ludowe komuniści nigdzie w Europie Zachodniej nie zdobyli władzy — natomiast poprzez sojusz z nacjonalistyczną reakcją w Polsce utrzymują się przy władzy. Nie socjaliści popierają „zmoczarowany gomułkizm" lecz ową rodzimą formę faszyzmu popierają paxowcy, ex-endecy i hurra-nacjonaliści.

W warunkach polskich nie można być anty-komunistą i anty-socjalistą równocześnie. Kto jest anty-socjalistą — czy chce czy nie chce — jest *de facto* sojusznikiem komunistów, którzy socjalistów demokratycznych uważają słusznie za swoich głównych wrogów.

Wydaje mi się, że istnieje przed nami tylko jedno wyjście. Anty-stalinowcy — tak w partii jak i poza partią — winni szukać platformy wspólnego porozumienia. Jeżeli anty-stalinowskie podziemie działa aktywnie w Sowietach — dlaczego nie miałoby działać w Polsce? Jeżeli w Sowietach krążą podziemnie książki, manuskrypty, manifesty, listy otwarte — dlaczego w Polsce Ludowej miałoby to być niemożliwe? Trzeba jeszcze dodać, że podziemie anty-stalinowskie w Sowietach jest całkowicie izolowane. Nie byłoby izolowane gdyby w Polsce i w Czechosłowacji doszli do władzy zwolennicy komunizmu z ludzką twarzą.

Jestem przeciwnikiem wszelkiej spontaniczności w polityce. Musi się działać planowo w ramach konkretnej koncepcji.

Zarówno komunizm włoski jak i jugosłowiański określić można mianem komunizmu z ludzkim obliczem. Ewolucja jaka dokonała się w Jugosławii jest szczególnie godna podkreślenia ponieważ, w przeciwieństwie do Włoch — komuniści są partią rządzącą w Jugosławii.

Reformacja czeska była próbą zorganizowania modelu komunistycznego z ludzkim obliczem w sferze wpływów Sowietów. Jedną z przyczyn upadku reformacji czechosłowackiej była jej całkowita izolacja. Koncepcja była słuszna lecz uznać należy za pewnik, że żadne państwo satelickie w Europie Wschodniej nie może zapewnić sukcesu ewolucji, rewolucji czy powstaniu — w izolacji.

Polska i Czechosłowacja nie mają powodu budować identycznych ustrojów socjalistycznych. Pomiędzy włoskim a jugosłowiańskim komunizmem istnieją poważne różnice. Lecz obie partie łączy anty-stalinowska postawa co powoduje, że tak włoscy jak i jugosłowiańscy komuniści odrzucają doktrynę Breżniewa.

Polscy i czechosłowaccy anty-stalinowcy winni szukać porozumienia tylko w najszerszej lecz i zasadniczej płaszczyźnie. Istotny jest tylko jeden punkt tzn. odrzucenie stalinizmu (totalizmu) i zaangażowanie się po stronie komunizmu z ludzkim obliczem.

Różnorodność jest do osiągnięcia tylko poprzez jedność. Inaczej mówiąc Polacy i Czechosłowacy będą mogli realizować i obronić swoje indywidualne modele socjalizmu wówczas — gdy w podstawowych punktach będą zgodni i gotowi do solidarnej akcji.

Reformacja czechosłowacka była dziełem ewolucjonistów a nie rewolucjonistów. Osobiście jestem ewolucjonistą lecz nie typu czechosłowackiego. Ewolucjoniści muszą być przygotowani do demonstracji siły — muszą być gotowi do przedzierżgnięcia się w rewolucjonistów, jeżeli sytuacja tego wymaga. Ewolucja i rewolucja — jak podkreślałem to wielokrotnie — nie są celami same w sobie tylko metodami działania. Liczy się nie metoda lecz realizacja programu. Ewolucjoniści, którzy z góry rezygnują z użycia siły, bez względu na układ sytuacyjny — rezygnują w rzeczywistości z realizacji swojego programu na drodze pokojowej. Stalinowcy bowiem — mogą zrezygnować z użycia siły przeciwko postępowcom i reformatorom tylko wówczas, gdy

przywódcy w Moskwie będą pewni, że odpowiedzią na siłę będzie siła.

Gdyby w Polsce i w Czechosłowacji zwyciężył z czasem komunizm z ludzką twarzą — powstałby potężny blok „komunizmu otwartego", który obejmowałby komunistów polskich, czechosłowackich, jugosłowiańskich, włoskich, brytyjskich i — nie wątpię francuskich. Wówczas anty-stalinowskie podziemie w Związku Sowieckim mogłoby podnieść głowę.

Program piękny — zauważy w tym miejscu Czytelnik krajowy — ale „czym to się je", jak to się robi?

Przemian społecznych, przebudowy ustroju, jeśli trzeba — rewolucji — nie robią „inni" ludzie, tylko Ty, Czytelniku. W Polsce nie będzie nigdy demokracji dopóki Ty, Czytelniku, nie uświadomisz sobie w pełni, że demokracja zaczyna się od Ciebie i walka o nią, a następnie jej obrona, nie jest zadaniem „innych ludzi" tylko Twoim. Ustroju demokratycznego nigdzie nie budowano inaczej i innej drogi do demokracji nie ma.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

KSIĘŻYC I HUMANIŚCI

600 milionów ludzi (z Londyńczykiem włącznie) w 47-miu krajach śledziło na ekranach telewizyjnych lądowanie Apollo 11 na księżycu. Było to najkosztowniejsze widowisko telewizyjne w dziejach, które wykazało, że dobrym programem można zjednoczyć jedną piątą ludzkości.

Następnego dnia w artykułach wstępnych wielkich dzienników Zachodu, rozpoczął się „rachunek sumienia". Posypały się pytania i zastrzeżenia. Czy należy wydatkować gigantyczne sumy na program kosmiczny gdy jedna trzecia mieszkańców naszej planety głoduje, gdy konflikty społeczne i rasowe toczą jak rak społeczeństwa — jednym słowem czy należy sięgać po księżyc, gdy z naszą własną planetą nie umiemy sobie poradzić.

Misja Apollo 11 była popisem mistrzowskiej technologii. Obserwując lądowanie statku kosmicznego na księżycu oraz powrót na ziemię odnosiło się wrażenie, że to jest rutyna a nie pionierska przygoda. Nastrój grozy i oczekiwania był wywoływany sztucznie poprzez komentarz. Podkreślano bez przerwy, że jeżeli motory bliźniaczego statku „Eagle" zawiodą, astronauci podzielą los pana Twardowskiego i pozostaną na wieki na księżycu. Nikt w to nie wierzył i słusznie. „Eagle" oderwał się od powierzchni księżyca z punktualnością, której nie osiągnęły do tej pory pasażerskie linie lotnicze. Fachowość, precyzja, rutyna tej niezmiernie skomplikowanej misji — wywarły największe wrażenie. Technologia objawiła się 600 milionom ludzi w całym swym niesamowitym majestacie.

Panowie Breżniew i Kosygin musieli sobie pomyśleć, że jeżeli Amerykanie z równą precyzją technologiczną przeprowadziliby wojnę nuklearną przeciwko Sowietom — szanse przetrwania byłyby równe zeru.

W artykułach prasowych, w dyskusjach i komentarzach — przebijały się dwie reakcje. Pierwszą z nich można ująć następująco. Technologia wyrasta ponad nasze głowy — staje się niejako nową religią, która być może zjednoczy ludzkość lecz nie na zasadzie równi z równymi.

Druga reakcja była nieco bardziej złożona. Nie należy postępu identyfikować z dobrem — ponieważ nie każdy krok naprzód jest krokiem we właściwym kierunku. Gdyby Amerykanie tę samą energię, znakomitą organizację i środki finansowe, które łącznie złożyły się na sukces Apollo 11 — skierowali na cele społeczne postąpiliby właściwiej.

Co to jest postęp? Jeżeli przez postęp rozumieć rozwój nauki to należy stwierdzić, że postęp z definicji jest dobry i pozytywny. Rozszerzenie naszego horyzontu w jednej dziedzinie rzuca nowe światło na inne dyscypliny naukowe. W ramach amerykańskiego programu kosmicznego dokonano wielu odkryć nie tylko w naukach ścisłych lecz również w psychologii i w medycynie. Kawałki skał i ziemi z księżyca przywiezione przez astronautów — mogą dać odpowiedź na wiele pytań, na które nauka do tej pory odpowiedzi nie miała.

Program kosmiczny jest kosztowny lecz w przeliczeniu na głowę mieszkańca, przeciętny Amerykanin więcej wydaje na papierosy a nawet na lody niż na program kosmiczny. Prof. Hermann Bondi obliczył, że program kosmiczny kosztuje podatnika amerykańskiego 3 i pół szylinga tygodniowo. Papierosy kosztują znacznie więcej.

Dyskusja wokół misji Apollo 11 ujawniła podstawowe nieporozumienie. Twierdzenie, że ci sami ludzie, którzy wysyłają astronautów na księżyc nie są zdolni rozwiązać problemu murzyńskiego — jest nonsensem. Podobnym nonsensem jest porównywanie sukcesu księżycowego z brakiem sukcesu w rozwiązywaniu problemów społecznych tu na ziemi.

Technologia osiąga wręcz niewiarygodne rezultaty, ponieważ realizuje konkretne i jasno zdefiniowane cele. „Lądowanie na księżycu" — to są trzy słowa, które w pełni określają zadanie i wyłączają jakąkolwiek wieloznaczność.

Co to jest problem Murzynów w Stanach Zjednoczonych? Jest tyle definicji tego zagadnienia ilu jest przywódców murzyńskich w Ameryce.

W Stanach Zjednoczonych około 10 milionów ludzi cierpi niedostatek a pewien procent wykazuje nawet objawy chronicznego niedożywienia. Co należy z tym robić? Czytałem kilkanaście projektów rozwiązania tego zagadnienia. Sprawy społeczne są źle definiowane, niedostatecznie przeanalizowane i wskutek tego dyskutuje się na ich temat wiele a robi mało.

Rewolucja w jakimkolwiek kraju jest policzkiem wymierzonym socjologom i politykom. Przywódcy rewolucyjni definiują swoje cele z technologiczną jasnością. Hasło „burżuje na latarnię" jest brutalnym uproszczeniem lecz owemu programowi nie można zarzucić wieloznaczności. To jest zadanie równie jasne i konkretne jak misja Apollo 11.

Technologia jest nauką stosowaną. Socjologia jest w zbyt małym stopniu nauką stosowaną i w zbyt wielkim stopniu dyscypliną teoretyczną. Ekono-

miści wywierają daleko większy wpływ na praktyczną gospodarkę niż socjologowie na sprawy społeczne.

Krytyczne oceny programu kosmicznego wypowiadane przez wybitnych humanistów zdradzają niepokój i bezradność. Lewis Mumford przyrównał Apollo 11 do egipskich piramid jako przykład „perwersyjnie użytej energii". „Badanie przestrzeni kosmicznej" — pisze Mumford — „stanowi tylko próbę ucieczki od ludzkiej rzeczywistości — próbę podjętą przez ludzi o psychologii z okresu egipskich piramid — psychologii, która wyraża się fantastyczną żądzą absolutnej władzy nad naturą i ludzkością".

Ile w tych słowach 73-letniego filozofa zapiekłej niechęci i pogardy dla technologów, których Aldous Huxley nazwał romantykami naszych czasów.

Nie przeżywamy okresu „Drugiego Oświecenia", ponieważ istnieje przepaść pomiędzy rozwojem technologii i humanistyki, pomiędzy dziedzinami alfa i beta. Owa dysharmonia jest niepokojąca — być może złowróżbna. Lecz winę za ów stan rzeczy — jeżeli można w tym wypadku mówić o winie — ponoszą humaniści a nie technologowie. Nie jest „winą" technologów, że nie mamy dziś Kantów, Heglów czy... młodego Marksa.

KLUCZ DO GOMUŁKI

Nakładem Longmans Green & Co Ltd. ukazała się w lipcu br. książka Lorda Nicholas Bethell pt. „Gomułka, His Poland and His Communism".

Tytuł jest trafny ponieważ definiuje zagadnienie. Mówi o Polsce Gomułki i o jego komunizmie. Istnieje oczywiście inna Polska i inny komunizm.

Jak twierdzą Anglicy zadaniem opozycji jest oponować, i w konsekwencji Czytelnik emigracyjny a w jeszcze większym stopniu Czytelnik krajowy — skłonny jest sądzić, że *Kultura* nie może być obiektywna ani w stosunku do Gomułki ani w stosunku do jego Polski i jego komunizmu. Nie generalizując, należy stwierdzić, że w tym szczególnym wypadku ów sąd jest fałszywy. Byliśmy jedynym politycznym ośrodkiem na emigracji, który warunkowo poparł Gomułkę. Staraliśmy się bez uprzedzeń dopatrzyć się nowych pozytywnych wartości w imię których potępiono Drugą Rzeczpospolitą. Cofnęliśmy nasz kredyt udzielony Gomułce nie dlatego, że był komunistą. Cofnęliśmy nasz kredyt ponieważ Gomułka zdradził socjalizm.

Trudno zgodzić się z opinią Lorda Bethell, że rok 1968 przyniósł Gomułce jego Waterloo. Trudno również zgodzić się z opinią, że gdyby sądzić Gomułkę do roku 1967 — ocena jego działalności wypadłaby zupełnie inaczej. Lord Bethell uważa, że do swego Waterloo w roku 1968 — Gomułka był patriotą, który nieznośny stalinizm przeobraził w socjalizm. W owym socjalizmie większość przyzwolitych ludzi mogła prowadzić przyzwoite życie.

Zamknięcie „Po Prostu", obostrzenie cenzury, procesy polityczne, sprawa Kuronia i Modzelewskiego, całkowita likwidacja Października — tego wszystkiego dokonał Gomułka na wiele lat przed rokiem 1968.

Prawdą natomiast jest, że Gomułka przeciwstawił się odważnie projektom Żdanowa na konferencji komunistycznej w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 r. Chodziło wówczas o powołanie do życia kominformu na miejsce zlikwidowanego kominternu. Gomułka dopatrzył się w propozycjach sowieckich, motywu, który znalazł pełny wyraz w wiele lat później w doktrynie Breżniewa.

Prawdą jest również, że w roku 1956 Gomułka poparł Nagy'ego i jego politykę liberalizacyjną. Popierał Węgrów jeszcze 2 listopada 1956 — to znaczy w dniu w którym Nagy zdeklarował wystąpienie Węgier z Paktu Warszawskiego. W dwa dni później wojska sowieckie wkroczyły do Budapesztu. Gomułka natychmiast odciął się od Nagy a kardynał Wyszyński wezwał Polaków do zachowania spokoju.

W roku 1947 w Szklarskiej Porębie, kiedy jeszcze żył Stalin, Gomułka przeciwstawił się ówczesnej wersji „doktryny Breżniewa". W roku 1968 Gomułka nie tylko zaakceptował tę doktrynę — lecz według autora omawianej książki był głównym poplecznikiem planu inwazji Czechosłowacji.

Gdzie leży klucz do owej przemiany towarzysza Wiesława?

W styczniu 1964 w Lańsku na Mazowszu odbyło się spotkanie Gomułki z Chruszczowem. W czasie rozmowy Chruszczow powiadomił Gomułkę, że planuje podróż do Bonn w celu osiągnięcia porozumienia sowiecko-niemieckiego. Rewelacja Chruszczowa uderzyła w Gomułkę jak piorun z jasnego nieba. Kilka miesięcy później wylądował w Bonn zięć Chruszczowa. Gomułka nie byłby Polakiem swego pokolenia gdyby planów Chruszczowa nie kojarzył z nowym wydaniem paktu Ribbentrop-Mołotow, oczywiście kosztem Polski.

Jeżeli prawdą jest, że lęk przed porozumieniem sowiecko-niemieckim stanowi klucz do Gomułki i jego polityki — to wypada stwierdzić, że towarzysz Wiesław z prawdziwych faktów wyciągnął całkowicie fałszywe wnioski.

Nie rozmawiałem ani z Chruszczowem ani z Kosyginem — nie mniej jest dla mnie jasne, że potencjalne niebezpieczeństwo porozumienia rosyjsko-niemieckiego nie zostało zażegnane. Gdyby jednak istotnie tak było, że kluczem do metamorfozy Gomułki jest widmo nowego rozbioru Polski — jego polityka musiałaby wyglądać inaczej.

Gomułka odciął się od Nagy'ego z chwilą kiedy było wiadomo, że Węgry poniosą klęskę. Nagy pod naporem skrajnych kół popełnił wiele błędów. Wystąpienie z Paktu Warszawskiego, wysłanie ultimatum do armii sowieckiej, ogłoszenie neutralności — to były poważne błędy. Gomułka nie chciał być udziałowcem w klęsce i pragnął świeżo odbudowanej Warszawie zaoszczędzić losu Budapesztu. To była polityka w danych warunkach zrozumiała, choć daleka od romantyzmu.

Sprawa Czechosłowacji kształtowała się zupełnie inaczej. Dubczek nie ogłosił, że Czechosłowacja występuje z Paktu Warszawskiego i przyjmuje status państwa neutralnego, Gomułka w Szklarskiej Porębie chciał obronić polską drogę do socjalizmu — Dubczek w 20 lat później chciał obronić czechosłowacką drogę do socjalizmu. Lecz Gomułki ze Szklarskiej Poręby już dawno nie było. Gomułka z 1947 r. byłby poparł Dubczeka. Gomułka z 1968 r. domagał się od Rosjan interwencji zbrojnej i likwidacji czeskiej drogi do socjalizmu.

Nie wątpię ani na chwilę, że widmo porozumienia sowiecko-niemieckiego niepokoi czasem Gomułkę. Lecz to nie jest klucz do jego metamorfozy.

Na uroczystym posiedzeniu Sejmu PRL w dniu 21 lipca 1969 r. (25-ta rocznica tzw. Manifestu Lipcowego) — Władysław Gomułka wygłosił przemówienie w którym powiedział m.in.:

> „Od chwili rozbiorów Polski w końcu XVIII wieku, na przestrzeni dwóch stuleci — najwyższym sprawdzianem stanowiska wszystkich klas

naszego społeczeństwa i wszystkich ugrupowań politycznych była sprawa odzyskania niepodległości. Najbardziej reakcyjne warstwy społeczne, przede wszystkim wśród magnaterii, poszły na ugodę z zaborcami, za cenę zachowania i ochrony swych klasowych przywilejów".

W powyższym tekście wystarczy słowo „magnateria" zastąpić słowem „stalinowcy" by otrzymać pełny obraz Polski Ludowej. Wino jest to samo tylko beczka jest nowa. Oto nowa wersja tekstu Gomułki:

„Najbardziej reakcyjne warstwy społeczne — przede wszystkim stalinowcy poszli na ugodę z zaborcą za cenę zachowania i obrony swoich klasowych przywilejów".

Istotą klasowego przywileju stalinowców jest władza, którą — za cenę ugody — zaborca utrzymuje i chroni. Czy tak nie jest?

Gomułka był kiedyś ideowym komunistą i wyznawcą „polskiej drogi do socjalizmu". Przeraził go „Październik", który Lord Bethell nazwał „jednym z niedocenionych wydarzeń bieżącego stulecia". Polscy komuniści nigdy nie kojarzyli socjalizmu z rzetelną demokracją. Ponieważ nie znali demokracji z własnego doświadczenia uważali, że demokracja jest ściśle związana z ustrojem burżuazyjnym. Idea suwerenności ludu, która stanowi fundament demokracji — jest nie do przyjęcia dla komunistów-totalistów, ponieważ mandat udzielony przez lud może być cofnięty. Mandat udzielony przez zaborcę wydaje się pewniejszym fundamentem władzy.

17 maja 1969 r. Gomułka wysunął propozycję unormowania stosunków polsko-niemieckich w oparciu o uznanie przez NRF granicy na Odrze i Nysie. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że w tak drażliwej sprawie jak kwestia niemiecka Gomułka nie działał z własnej inicjatywy. Przemówienie Gomułki z 17 maja 1969 stanowi fragment polityki sowieckiej, zmierzającej do stopniowego rozwiązania problemu niemieckiego według planów Moskwy. Sowieccy przywódcy musieli przekonać Gomułkę, że uregulowanie kwestii niemieckiej stanowiłoby maksymalne zabezpieczenie terytorialnego i politycznego *status quo* w Europie Wschodniej. Komuniści w Polsce z Gomułką na czele rządziliby wówczas w Polsce za zgodą i poparciem zarówno Rosji jak i Niemiec.

Sowiety kokietują socjal-demokratów niemieckich — co stanowi odstępstwo od tradycji. Głoszą również, że problem zjednoczenia Niemiec jest sprawą Niemców i tylko Niemców. W migawkowym skrócie sowiecki plan europejski wygląda następująco: NRF podpisuje traktat z PRL analogiczny do układu PRL z NRD z roku 1950. Wówczas w Europie nie ma „kwestii spornej" i można przystąpić do europejskiej konferencji bezpieczeństwa. Ameryka nie miałaby żadnych zobowiązań w stosunku do Niemców ponieważ NRF dobrowolnie zgodziłaby się na wszystko łącznie z traktatem pokojowym z Polską. W konsekwencji nastąpiłoby „odprężenie" pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją — co w przyszłości prowadziłoby do wspólnej gwarancji bezpieczeństwa i obecnych granic w całej Europie. *Status quo* w Europie Wschodniej wraz z Gomułką zostałby finalnie zaakceptowany i przypieczętowany.

Gdyby Gomułka wiedział, że utrzymać się przy władzy może tylko za cenę korektury granicy na Odrze i Nysie — jakby postąpił?

Rosjanie mogą wywrzeć niepomiernie większy nacisk na Gomułkę niż na Bonn. Niemcy zdają sobie z tego doskonale sprawę, że PRL nie ma własnej polityki zagranicznej. Decyzje zapadną w Moskwie a nie w Warszawie. Rosjanom zależy na uregulowaniu kwestii niemieckiej. W przyszłych negocjacjach Moskwa może uznać, że „korektura" granicy polsko-niemieckiej nie jest ceną zbyt wysoką jeżeli na tej drodze zabezpieczyć można realizację planów sowieckich.

W moim przekonaniu Gomułka byłby gotów zapłacić kawałkiem polskiego terytorium za dalsze poparcie Moskwy, ponieważ dzisiejszy Gomułka może zrezygnować ze wszystkiego tylko nie z poparcia Moskwy. Jeszcze dwa lata temu zawahałbym się wyrazić powyższy pogląd. Lecz człowiek, który uporczywie domagał się od Rosjan zgniecenia czołgami czechosłowackiej drogi do socjalizmu tylko dlatego, że sukces Dubczeka mógł zagrozić jego pozycji i władzy — zdolny jest do wszystkiego. Gomułka nienawidzi Dubczeka, ponieważ Dubczek był tym — kim Gomułka mógłby być, gdyby nie zdradził polskiego Października i siebie samego ze Szklarskiej Poręby. W Gomułce aparatczyk i tępy stupajka wziął górę nad patriotą i socjalistą. Wydaje mu się, że jest działaczem w międzynarodowym ruchu komunistycznym. W rzeczywistości jest pionkiem w rękach Moskwy i jeżeli będzie żył dostatecznie długo przekona się o tym sam w goryczy i upokorzeniu.

SOWIECKA SINOLOGIA

Rosjanie nie wiedzą nic o Chinach. Do takiej opinii doszedł dr S. Liu, rodowity Chińczyk — dalekowschodni korespondent *Newsweek*. Dr Liu na zaproszenie sinologów sowieckich odwiedził w lipcu br. Moskwę i przewodniczył specjalnemu chino-znawczemu seminarium. W Moskwie przechodnie na ulicach zapytywali go ustawicznie czy jest Japończykiem, a Rosjanie doradzali mu by miał zawsze przy sobie swój paszport. Dr Liu stwierdził, że w słynnej niegdyś moskiewskiej restauracji Pekin nie ma dziś chińskich potraw i trzeba się zadowolić rosyjską wódką i szaszłykiem.

Rosja jest całkowicie odcięta od Chin i sowieckie przedstawicielstwa w wolnym świecie skupują wszystko co ukazuje się na temat Chin. Skupują książki, periodyki a nawet materiały propagandowe wydawane na Formozie.

Głównym problemem w ocenie dr. Liu jest brak sinologów. Sowiety mają około 300 sinologów. Stany Zjednoczone dysponują sztabem liczącym około 5.500 sinologów. Na uniwersytetach w Moskwie i w Leningradzie tylko kilkadziesiąt osób studiuje język chiński. Rosjanie zaczęli wysyłać młodych sinologów do Chin dopiero w roku 1957. Ci młodzi ludzie byli zbyt krótko w Chinach, by mogli zdobyć gruntowną wiedzę w swojej specjalności.

W okresie ubiegłej wojny światowej było w Sowietach niebezpiecznie przyznać się, że się zna język niemiecki. Podobnie jest dziś z językiem chińskim. Młodzi boją się studiować język chiński ponieważ bezpieczniej jest nie mieć z Chinami nic wspólnego.

Sowiecka szpiegomania uniemożliwia rozbudowę sztabu sinologów na wzór amerykański. Wypowiedzi przywódców Chin komunistycznych, teoria i praktyka „rewolucji kulturalnej", nasłuchy radiostacji chińskich — cały ów materiał dostępny jest tylko dla zaufanego, nielicznego grona specjalistów.

Co myślą owi zaufani specjaliści? W ich ocenie Chiny w roku 1970 będą miały nie tylko bronie atomowe lecz również *delivery system* (pociski rakietowe z głowicami atomowymi dalekiego zasięgu itp.) „Musimy coś zrobić dopóki nie jest za późno" — powtarzali wszyscy „seminarzyści" dr. Liu, lecz żaden z nich nie chciał jasno sprecyzować co właściwie Rosja powinna zrobić. Wszyscy zgodnie podkreślali, że obecnie ani Stany Zjednoczone ani nawet Niemcy nie są głównym problemem Związku Sowieckiego tylko Chiny. Specjaliści sowieccy uważają również, że byłoby naiwnością wiązać jakiekolwiek nadzieje z młodym pokoleniem w Chinach. To pokolenie zostało wychowane w fanatycznej nienawiści do Rosji, w nienawiści do wszystkiego co obce i w przeświadczeniu, że Chińczycy są pierwszym i przodującym narodem świata.

Po dłuższym pobycie w Moskwie — i po wielu dyskusjach z elitą sinologów sowieckich — dr Liu doszedł do przekonania, że Sowiety w gruncie rzeczy nie mają żadnej polityki w stosunku do Chin. Optymiści na Kremlu liczą, że ze śmiercią Mao nastąpią zmiany — pesymiści sądzą, że zmiany mogą być tylko na gorsze a nie na lepsze.

Zagadnienie chińskie posiada również wydźwięk rasowy. Inwazja Czechosłowacji w ubiegłym roku podkopała, a według pewnych znawców przedmiotu — niemal zlikwidowała wpływy Sowietów wśród czarnych ludów Afryki. W razie konfliktu zbrojnego sowiecko-chińskiego ludy kolorowe w Afryce i częściowo w Azji — opowiedziałyby się w większości po stronie Chin.

Sowiety czekają, choć na Kremlu nikt nie wie, czy w tym szczególnym wypadku czas pracuje na korzyść Rosji czy na korzyść Chin.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Rola biurokracji w bloku sowieckim

WZROST ZNACZENIA ŚREDNIEJ KADRY KOMUNISTYCZNEJ W ZSSR I KRAJACH EUROPY WSCHODNIEJ A WALKA O WŁADZĘ W POLSCE

1. Umocnienie systemu totalitarnego w wyniku postalinowskich reform w ZSSR i krajach Europy Wschodniej

Ostatnie wydarzenia w Polsce, a w szczególności walka dwóch frakcji o władzę, której towarzyszyło zaktywizowanie tendencji nacjonalistycznych w szeregach średniej kadry partyjno-rządowej, znajduje swe źródła w przemianach jakie miały miejsce w połowie lat pięćdziesiątych w partiach komunistycznych Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego.

Likwidacja stalinizmu, tak jak ją rozumiał Chruszczow, a której pełniejszy wyraz dali jego następcy Kosygin i Breżniew, oznaczała świadome utrwalenie systemu totalitarnego przy jednoczesnym uwolnieniu go od terroru policyjnego w rozmiarach stosowanych przez Berię i jego aparat. Terror policyjny i samowola MWD stawały się czynnikiem coraz groźniejszym dla istnienia samego systemu komunistycznego, ponieważ działalność organów bezpieczeństwa ZSSR godziła we wszystkie warstwy, nie wyłączając najbardziej oddanych zwolenników komunizmu. U wielu światlejszych działaczy dojrzewała świadomość tego, że terror policyjny w warunkach totalitarnej władzy ekonomicznej i politycznej Państwa jest w istocie nie tylko wysoce szkodliwy, ale i niepotrzebny. Że władza centralna, która kontroluje wszystkie dziedziny życia — w tej liczbie produkcję przemysłową i rolną, rynek pieniężny i towarowy, prasę i naukę, może zmusić obywateli do posłuchu bez uciekania się do represji policyjnych, które stały się normą dnia codziennego. Drastyczne środki zapobiegawcze w postaci masowych aresztowań i zsyłek należało, według nich, stosować tylko na wypadek sytuacji szczególnych, gdyby zwykła

kontrola państwa przy użyciu środków ekonomicznych lub administracyjnych nie wystarczała. W Związku Sowieckim i w krajach Demokracji Ludowych takich szczególnych sytuacji od czasu wojny i krótkiego okresu powojennego nie było. Dlatego od drugiej połowy lat pięćdziesiątych totalitaryzm komunistyczny bez przerostów policyjnych stał się normą uzdrowionego postalinowskiego systemu. Śmierć Stalina była tu jedynie elementem wyzwalającym i przyśpieszającym zmiany. Gdyby w społeczeństwie sowieckim działały dostatecznie silne czynniki społeczne zainteresowane w kontynuowaniu terroru, zgon Dyktatora nie mógłby położyć kresu dotychczasowej wszechwładzy organów bezpieczeństwa i stosowanych przez nią praktyk.

Epoka ta przyniosła ważne zmiany w strukturze aparatu władzy i w profilu społecznym rządzącej klasy. W większym stopniu niż dotychczas dopuszczone zostały do głosu średnie warstwy biurokracji. I ich udział stanowi charakterystyczny rys ostatnich lat. W postalinowskim systemie wolnym od policyjno-beriowskich wypaczeń, zwłaszcza zaś od momentu gdy usunięty został Chruszczow, władza nie pozostaje już wyłącznie w rękach wszechwładnego Politbiura i Sekretariatu. Obydwie te instancje muszą się liczyć z opinią „szarej masy"; oczywiście nie szarej masy narodu, ale komunistycznej biurokracji. Doświadczył tego na sobie Nikita Chruszczow, który w końcowym okresie, poprzedzającym jego upadek, próbował rządzić jak samowładca, doprowadzając do coraz ostrzejszych konfliktów z biurokracją. Ona to właśnie zmiotła go na jesieni 1964 roku, umacniając ostatecznie nowy system władzy. W ograniczonym sensie nastąpiło pewnego rodzaju wewnętrzne „zdemokratyzowanie ustroju". Średnie warstwy komunistycznej biurokracji, które za Stalina były jedynie posłusznym narzędziem w rękach najwyższych czynników, wywierają obecnie pewien wpływ na kierunek rządów i przyszłość państwa sowieckiego. Warstwy te, które w skróceniu nazywać będę „średnią warstwą", przeciwstawiając się stalinowskiemu terrorowi, oponują jak najbardziej stanowczo jakiemukolwiek zliberalizowaniu systemu i rozszerzeniu marginesu wolności. Nie bez racji uważają one, że tego rodzaju próby równałyby się w bliskiej perspektywie rozbiciu monopolu państwa i zniszczeniu komunistycznej biurokracji jako jego głównej podpory. Wszelkie przypuszczenia na temat ewolucji ustroju sowieckiego w kierunku coraz pełniejszej liberalizacji, które pojawiały się dość często w publicystyce zachodniej we wczesnych latach sześćdziesiątych okazały się bezpodstawne. Ewolucje systemów społecznych nie są darem niebios. Nie mają też charakteru psychologicznej eskalacji o żywiołowym przebiegu, gdzie ważny jest tylko pierwszy krok, pełniący funkcje zapłonu. Warunkiem zarówno zmian ewolucyjnych jak i rewolucyjnych, liberalizujących ustrój sowiecki, musiałoby być działanie potężnych sił społecznych, rozbijających postalinowski totalitaryzm. Sił takich nie ma. W szczególności nie można do nich zaliczyć sowieckiej inteligencji technicznej. Zatrudniony w produkcji sowiecki technik lub inżynier jest zadowolony z tego,

że wraz z nastaniem nowej epoki może pracować bez obawy zsyłki do obozu za niepopełniony sabotaż. Oczywiście fakt, że sytuacja taka trwa blisko od 14 lat, że do produkcji weszły młodsze roczniki, którym stalinowski terror w ogóle nie był znany, stępia już nieco te uczucia zadowolenia i spokoju. Oczywiście sowieccy technolodzy zatrudnieni w instytutach naukowych i na wyższych uczelniach muszą na te sprawy patrzeć inaczej niż inżynierowie pracujący na budowach lub w fabrykach. Choć margines swobody badawczej sowieckiego technologa jest nieporównywalny z sytuacją humanisty, ciężki klimat sowieckich placówek naukowych stanowi zmorę dręczącą przedstawicieli całej nauki. Tyle tylko, że do tej zmory przyzwyczaja się znacznie łatwiej ten któremu reżym sowiecki pozwala pracować niż ten z którego pracy badawczej Partia robi karykaturę. Technolodzy sowieccy razem z humanistami powitaliby w Rosji reformy dubczekowskie z maja 1968 roku z radością, ale co innego witać, a co innego w coś się czynnie zaangażować. Zwłaszcza obecnie gdy z czechosłowackiego Programu Akcji zostało wspomnienie, a rządy w Pradze objął reakcyjny gang, prześcigający się w deklaracjach wierności wobec Kremla.

Dlatego pragnienia sowieckich technokratów, zwłaszcza tych którzy zatrudnieni są w produkcji koncentrują się coraz bardziej wyłącznie na podniesieniu ich standardu życiowego. Do totalitaryzmu swego ustroju przywykli na tyle, że traktują go jako zło konieczne. W ciągu 52 lat jego istnienia zmiany przychodziły z góry. Jedyne rewolucje jakie zna ustrój sowiecki — to rewolucje pałacowe na Kremlu. Ponury realizm rosyjskiego społeczeństwa nabiera w tych warunkach cech fatalizmu.

Wydaje się czasem, że publicyści Zachodu, nie rozumieją tego, że określenie „totalitaryzm" nawet z dodatkiem: „komunistyczny" nie jest bynajmniej pojęciem ani jednorodnym ani jednoznacznym. W rezultacie nie doceniają oni należycie różnicy między warunkami bytowania w systemie policyjnego terroru a warunkami życia jakie stwarza monopol politycznej i ekonomicznej władzy Państwa, które samo przez się nie implikuje wszechwładzy policji i ustawicznej presji organów bezpieczeństwa. Do pierwszych — które są codziennie wiszącą groźbą zsyłki lub fizycznego unicestwienia, przywyknąć nie podobna. Drugie — mogą stać się normą życia zwłaszcza dla ludzi, którzy żadnych innych norm, po za tą jedną, nie znają. Przy tym wszystkim, jeśli się nawet uwzględni niezaspokajane przez Państwo pragnienia podniesienia standardu życiowego, to związek przyczynowy między położeniem sowieckiego technika a strukturą ekonomiczną jego kraju nie jest dla niego bynajmniej jasny. Propaganda komunistyczna, która nazywa totalitaryzm sowiecki prawdziwą wolnością, a demokrację burżuazyjną — niewolą, pogłębia tylko zamęt w jego głowie. Niepoślednim też czynnikiem zamętu są schematy agitacyjne propagandy antykomunistycznej na Zachodzie. Propaganda ta jest nieporównanie bardziej skuteczna wobec zwolenników komunizmu w krajach kapitalistycznych niż wobec

obywateli Związku Sowieckiego. Podstawową bowiem sprawą nie jest tu kwestia odmienności poglądów politycznych ale nawykowe pojmowanie pewnych elementarnych zasad ludzkich wspólnot społecznych, które wynikają z warunków sowieckiego życia i powstałych na jego gruncie obyczajów.

Podstawą sowieckiego technika i inżyniera wobec problemów wolności politycznych z zastrzeżeniami dotyczącymi odmienności ich trybu życia można rozciągnąć na sowieckiego rolnika. Zainteresowania obydwóch leżą w sferze spraw ekonomicznych z tym, że dla mieszkającego na wsi kołchoźnika, posiadającego niższy standard ogólnego wykształcenia, kwestie politycznych swobód wkraczają niemalże w dziedzinę czwartego wymiaru.

Inny jest natomiast do tych spraw stosunek inteligencji humanistycznej — w tej liczbie naukowców, pisarzy, filmowców, artystów oraz nauczycieli i wychowawców sowieckich. Bez względu na to jak przedstawia się ich sytuacja materialna, profesja ich wymaga szerokiego dopływu świeżego powietrza w duszny klimat totalitarnego Państwa. Dobrowolnie przyjętym powołaniem tych ludzi zwłaszcza zaś naukowców, nauczycieli i wychowawców jest odnajdywanie prawdy i przekazywanie jej młodszym pokoleniom. Obecny system uniemożliwia im po prostu wykonywanie ich zawodu. Dlatego tym ostatnim nie wystarcza już ani usunięcie stalinowskiego terroru ani obietnice lepszych warunków materialnych. Ich większy stopień ideologicznego zaangażowania w porównaniu z innymi warstwami wynika po prostu z charakteru ich społecznych i zawodowych obowiązków. Niestety, ta grupa ludzi stanowi w Państwie sowieckim siłę pozbawioną większego znaczenia i nie mogącą samodzielnie wywierać żadnego wpływu i ani tym bardziej presji na kierunek rządów. Obserwacje powyższe można uogólnić na wszystkie kraje Europy Wschodniej z wyłączeniem Czechosłowacji. Aparat partyjny solidarnie z całym narodem przystąpił tam do reform, które w końcowym efekcie musiałyby doprowadzić do likwidacji komunistycznego systemu władzy. Oczywiście dzieje czechosłowackiego zrywu stanowią obecnie już przeszłość[1].

1. W pewnym skrócie, ponieważ temat ten, jak sądzę, spotkał się i spotka z szeregiem poważnych analiz i opracowań, można powiedzieć jedno: Biurokracja Novotnego pozostawała w swej postalinowskiej ewolucji bardziej zapóźniona niż jakakolwiek warstwa aparatczyków w bloku państw komunistycznych. Nawet najbardziej prostalinowsko usposobiony Ulbricht przemodelował przynajmniej ekonomicznie swój system. Novotny wytrwale opierał się wszelkim zmianom. Jeszcze nie tak dawno likwidował swych domniemanych politycznych przeciwników (Barak) w trybie wybitnie przypominającym czasy stalinowskie. Degradacja gospodarki czechosłowackiej, kompletny zastój w skostniałym aparacie administracyjnym spowodowały alienacje w łonie samej warstwy biurokratycznej, której bardziej postępowa część, nie widząc innych dróg wyjścia, związała się z inteligencją humanistyczną i masami narodu. W sytuacji czeskiej z roku 1968 reformy nie mogły się już ograniczyć do „uzdrowienia" samego systemu biurokratycznego. Musiały uderzyć w sam system. Zbyt wielka była presja narodu i rozmiary dywersji w łonie samej warstwy biurokratycznej. Upór i tępota kierownictwa sowieckiego, które do ostatnich chwil starało się utrzymać Novotnego przy władzy, przyśpieszyły kryzys. Gdyby Czechosłowacja przeżywała normalny okres odwilży w latach pięćdziesiątych, polaryzacja sił antybiurokratycznych z jednej strony a czynników zachowawczych — z drugiej, nie doprowadziłaby przypuszczalnie do kryzysu, który spowodował sowiecką interwencję wojskową. W każdym razie nie nastąpiłby on jeszcze w roku 1968.

Z wyjątkiem tego kraju społeczeństwa Związku Sowieckiego i państw Europy Wschodniej poddaje się obecnie totalitarnej władzy systemu bez większego oporu i prób aktywnego sprzeciwu. Sytuacja taka jest zrozumiała. Wieloletni okres rządów biurokracji, jej monopolistyczna kontrola wszelkich dziedzin ludzkiego działania, możliwość stosowania wielorakich środków represyjnych musiały doprowadzić do apatii.

Dodatkowym elementem, paraliżującym myśl o zorganizowanym proteście, jest istniejący podział świata, całkowicie zaakceptowany przez dwa wielkie supermocarstwa nuklearne. Biorąc pod uwagę te elementy, stopień ryzyka między możliwością sukcesu a prawdopodobieństwem klęski, pociągającej za sobą zniszczenie podstaw bytu u człowieka, uwikłanego w konflikt z władzą, jest tak wielki, że przekreśla myśl o wszelkiej walce. W tych warunkach konformizm staje się postawą człowieka kierującego się zdrowym rozsądkiem. Mimo wszystko, nie oznacza to, aby perspektywa konfrontacji między ludnością a komunistyczną hierarchią została ostatecznie pogrzebana. Zarzewia buntu tliły się i tlą się bez przerwy.

Podobnie jak w Związku Sowieckim potencjalnym siedliskiem oporu jest inteligencja humanistyczna, a przede wszystkim czołowa jej grupa intelektualiści. Jeśli się jednak porówna ciężar gatunkowy tej warstwy w komunistycznym państwie z funkcją społeczną biurokracji, bilans wzajemnych sił nie pozostawia żadnych złudzeń. Inteligencja może działać, spełniając jedynie funkcje zapłonu. Jeśli aktualna sytuacja nie sprzyja poruszeniu innych warstw narodu, próby rebelii skazane są na niepowodzenie. To czego biurokracja komunistyczna najbardziej się lęka, to sojuszu inteligencji z robotnikami. Aktywne przymierze tych dwóch warstw zmieniłoby radykalnie układ sił w każdym kraju tej strefy. Szybka akcja organów bezpieczeństwa w czasie zaburzeń studenckich w Polsce w marcu 1968 roku, wprowadzenie na Uczelnie tzw. Ochotniczej Rezerwy Milicji, złożonej z aktywistów partyjnych a mającej rzekomo reprezentować klasę robotniczą, dowodzi, że biurokracja komunistyczna jest w pełni świadoma niebezpieczeństw, jakie czyhają na nią w wypadku nawet krótkotrwałego aliansu robotników i inteligencji. W Czechosłowacji, gdzie przymierze robotników i inteligencji było już nie tylko niebezpieczeństwem, ale stało się faktem, na wprowadzenie do akcji Milicji Ludowej było już za późno. Jej samej groziło zresztą rozwiązanie. Jedynym ratunkiem okazała się interwencja wojsk Paktu Warszawskiego.

2. Analogie między obyczajami i umysłowością drobnej burżuazji i średniej warstwy komunistycznej

Dla komunistycznej warstwy średniej, która wyłania się jako poważna siła polityczna w ZSSR i krajach Europy Wschodniej, wróg nie musi być ani na prawicy ani na lewicy. Jest wszędzie tam, gdzie rodzi się protest przeciwko „Komunistycznemu *establishment*" lub tam, gdzie tlą się zarzewia tego buntu. Średnia warstwa, tak jak wszystkie średnie klasy w historii, pragnie za wszelką cenę utrzymać istniejący porządek i wyrosłe na jego gruncie obyczaje i sposób życia. Nienawidzi ona nie tylko intelektualistów za ich krytykę skierowaną przeciwko monopolowi Partii. Jest ponadto wrogiem intelektualizmu jako postawy skłaniającej człowieka w komunistycznym państwie do głębszego myślenia; oceny motywów postępowania środowiska społecznego, w którym żyje oraz czynników, które oblicze tego środowiska kształtują. Średnia warstwa jest rzecznikiem umysłowego spauperyzowania ludności, której intelektualny poziom chce zredukować do umiejętności przyswajania sobie przeżutych na mdlącą papkę sloganów. Nienawidzi nowatorstwa w literaturze, sztuce i naukach humanistycznych, ponieważ mogą one podważyć jej ubogie schematy myślenia przy użyciu których usiłuje sprawować „Rząd Dusz". Panicznie lęka się rozruchów studenckich, nie tylko u siebie, ale i na Zachodzie, ponieważ brodaci i długowłosi ekstremiści, występując przeciwko kapitalistycznemu *establishment*, zagrażają pośrednio jej własnemu.

Średnia warstwa komunistyczna ma inną genealogię i inna jest jej funkcja w strukturze komunistycznego państwa niż drobnomieszczaństwa w kapitalizmie, ale wiele jej cech, obyczajów jest łudząco podobnych do obyczajów drobnej burżuazji. Tak jak i ona jest pełna hipokryzji i lęka się prawdy, która zagrozić może jej dogmatom i wierzeniom. Podobnie jak drobna burżuazja jest siedliskiem najbardziej zapiekłego w swej zawziętości szowinizmu i nienawiści rasowej, których nie może ujawniać publicznie w imię oficjalnie wyznawanych haseł solidarności międzynarodowej. Te rasowe lub narodowościowe nienawiści, tłumione latami, dojrzewają w ukryciu, aby w sprzyjającej koniunkturze politycznej owocować nagle w formie antychińskiej, antyżydowskiej lub antyrosyjskiej nagonki.

Zawężone horyzonty myślowe średniej klasy doprowadzają przedstawicieli jej oficjalnej propagandy do stanu tak niewiarygodnego ogłupienia, że przeciętnie wykształcony człowiek, żyjący w drugiej połowie XX stulecia, który bez trudu wykrywa prymitywne kłamstwa drukowane w komunistycznych gazetach, nie jest w stanie pojąć celów, którym mają one służyć[2].

2. Przykładów, tej zadziwiającej w swym prymitywizmie głupoty, można cytować wiele, wystarczy jednak kilka z dziejów ostatniej interwencji w Czechosłowacji. Pierwszy przykład — to niedołężnie sfabrykowane kłamstwo o liście podpisanym rzekomo przez oddanych członków KP Czech, którzy zwrócili się z prośbą do krajów Paktu Warszawskiego o ratunek. Drugi — to broszura wydana przez sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych pt. „Wydarzenia w Czechosłowacji", przetłumaczona na wiele języków i rozpowszechniona na całym świecie przez placówki dyplomatyczne ZSSR. Na okładce broszury — zdjęcie czołgów sowieckich witanych przez ludność czeską na ulicach Pragi. Treść broszury sugeruje, że są to czołgi, które wkroczyły do Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku. W istocie, bez trudu można rozpoznać, że zdjęcie to pochodzi z roku 1945 i że przedstawia wyswobodzenie Pragi z okupacji hitlerowskiej przez Armię Sowiecką.

Zwulgaryzowane tezy klasyków marksizmu podane w formie katechizmowej stanowią jej wyznanie wiary. W istocie jednak średnia warstwa komunistyczna, wbrew pozorom, nie ma żadnego światopoglądu podobnie jak jej poprzedniczka drobna burżuazja. Dogmaty, które komunistyczna biurokracja zaakceptowała, są inne; często krańcowo odmienne od dogmatów drobnomieszczaństwa. Nie świadczy to jednak bynajmniej o zbyt głębokich różnicach w historycznej roli tych dwóch warstw. Przy pomocy odmiennych dogmatów można wcielać zbliżone do siebie historyczne cele — zwłaszcza, jeśli tymi celami jest zachowanie istniejących porządków społecznych.

Średnia warstwa komunistyczna potrafi zdegradować każdą teorię naukową, którą wprzęga do swych celów. Marksizm, bez względu na sprzeciwy, które budził był przez dziesiątki lat potężną dźwignią wyzwolenia ludów dla kilku pokoleń rewolucjonistów. To, co uczyniła z niego komunistyczna biurokracja w okresie stalinowskim i postalinowskim, świadczy o tym, że potrafi ona obedrzeć z wszelkiej wartości każdą ideologię, która ma jej służyć. Hasła, które zdolne były poruszyć miliony ludzi, wulgaryzuje i zohydza w sposób budzący odrazę. Taki los zgotowała marksizmowi, który w wykładni oficjalnych komunistycznych interpretatorów, a przede wszystkim w stosowanej praktyce, przestał już dawno być instrumentem wyzwolenia człowieka. W ostatnim okresie swych dziejów biurokracja komunistyczna stała się antytezą króla Midasa. Czegokolwiek dotknął się król Midas, zamieniało się w złoto. Biurokracja komunistyczna zamienia wszystko w mierzwę.

Stalinizm był systemem terroru. Przytłaczał i niszczył ludzi swą grozą. Średnia warstwa komunistyczna niszczy ludzi swą miernotą, z którą wszystko chce zrównać. Odpowiadają temu postacie nowych przywódców. Miejsce demonicznego Stalina zajął ideał przeciętności — Kosygin ze zmiętą twarzą zgorzkniałego buchaltera.

3. Immunitet społeczny średniej warstwy komunistycznej

Mimo uderzającego podobieństwa w obyczajach, umysłowości, a nawet stylu życia drobnomieszczaństwa i komunistycznej warstwy średniej, różnice w położeniu tych warstw, roli społeczno-

ekonomicznej, przede wszystkim zaś ich genealogii historycznej, są zbyt głębokie, by można było wyjść poza granice scharakteryzowanych przeze mnie analogii.

Średnia warstwa biurokratyczna mimo, iż liczebnie niewielka w stosunku do zaludnienia całego kraju, odgrywa w komunistycznym państwie bez porównania donioślejszą rolę niż drobna burżuazja w ustroju kapitalistycznym. Średni aparat obsadza pozycje w przemyśle, administracji, handlu, finansach, propagandzie, informacji, wreszcie — w wojsku, w którym średnia kadra oficerska stanowi integralną część nowej klasy. Jeśli posłużyć się przykładem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, to do nomenklatury średniej warstwy, bez pretensji do zachowania ścisłości i adekwatności zakresu, możemy zaliczyć cały aparat partyjny na prowincji i w stolicy z wyjątkiem egzekutyw wojewódzkich i Komitetu Centralnego, tzw. aktyw partyjny w instytucjach administracyjnych, zakładach usługowych, fabrykach wraz z kierownictwami większych zakładów pracy. Dalej — aparat propagandowy w całym kraju, aktywy ministerialne z wyłączeniem najwyższej kierującej grupy i szarej masy urzędniczej, wreszcie średnia kadra oficerów wojska i milicji. Jeśli chodzi o dwa uprzywilejowane resorty MSW i MSZ — to do warstwy średniej aparatczyków należy włączyć zapewnie i funkcjonariuszy zaszeregowanych stosunkowo dość nisko. W sumie liczebność tej warstwy nie przekracza w Polsce 300.000 stanowiąc około 1 % ludności. Takie same proporcje istnieją zapewne w innych krajach Europy Wschodniej i ZSSR.

Odmienność położenia średniej warstwy w komunistycznym państwie, w porównaniu z rolą drobnej burżuazji w kapitalizmie, pociąga za sobą dalsze konsekwencje. W przeciwieństwie do drobnomieszczaństwa w ustroju kapitalistycznym, średnia warstwa w totalitarnym systemie komunizmu chroniona jest immunitetem nietykalności. Immunitet ten sięga tak daleko, że sama teza o istnieniu biurokracji komunistycznej jako wyodrębnionej siły społecznej obłożona jest zakazem i nie mogłaby się ukazać w druku w żadnym kraju komunistycznym włączając obecnie i Czechosłowację. Negowanie własnego istnienia jest, jak się wydaje przedstawicielom biurokracji, najskuteczniejszą formą obrony. W jednym ze swych wcześniejszych pism Lew Trockij wyraził zdumienie, iż marksiści, którzy specjalizowali się w wykrywaniu procesów w państwach kapitalistycznych, okazują zadziwiającą ignorancję, jeśli chodzi o śledzenie zmian w ich społeczeństwie, zbudowanym przez nich samych. Wydaje się, że postawa taka jest najzupełniej naturalna. Popieranie tego rodzaju ignorancji należy do typowych cech nadbudowy, która wyrasta z komunistycznej bazy ekonomicznej i społecznej. Określenie: „Dyktatura ciemniaków", użyte w czasie słynnego zebrania Związku Literatów Polskich w styczniu 1968 roku, mimo pewnej lapidarności, oddaje wiernie podstawowe tendencje wychowawcze biurokracji zwłaszcza zaś jej warstwy średniej, wykorzystującej w pełni przywileje immunitetu przed krytyką.

W ciągu dziesiątków lat obyczaje drobnej burżuazji, kodeks moralny mieszczucha, nacechowany kłamstwem i hipokryzją, ciasnota jego horyzontów, chciwość i skąpstwo były przedmiotem wyszydzających ataków i krytyki kilku pokoleń pisarzy, filozofów, artystów i radykalnych polityków. Drobnomieszczaństwo i jego wsteczną rolę w historii potępiano i ośmieszano nieraz do przesady.

Średniej warstwie komunistycznej to wszystko nie grozi. Od czasu wydarzeń w marcu 1968 r. w Polsce i budzącej podziw całego świata walczącej samotnie Czechosłowacji, jedynymi przejawami buntu są odosobnione wystąpienia pisarzy i naukowców, kilkuosobowe demonstracje intelektualistów na Placu Czerwonym w Moskwie, pisma ulotne, których pewna ilość przedostaje się zagranicę oraz przemówienia emerytowanego generała Grigorenki na pogrzebach.

Nie umniejszam wagi tych zjawisk i nie to jest nawet najważniejsze, że demonstranci na Placu Czerwonym dostają zaledwie kilkuletnie wyroki, które, według standardu sowieckiego wymiaru sprawiedliwości są bardzo niskie, ale to, że w okresie stalinizmu myśl wyrażenia publicznego protestu nie przyszłaby żadnemu obywatelowi państwa sowieckiego do głowy. Nic też dziwnego, że i obecnie przedstawienie niektórych przejawów krytyki jako symptomów choroby umysłowej znajduje wiarę wśród pewnej części sowieckiej opinii publicznej.

Przy ocenie wagi i skutków przejawów protestu, występujących w społeczeństwie sowieckim należy jednak stosować podwójne kryterium. Z jednej strony, dla opinii publicznej, przywykłej do surowej dyscypliny, są one czymś nowym, a dla niektórych obywateli sowieckich, być może nawet i — szokującym. Nie ze względu na treść protestu, ale na sam jego fakt. Z drugiej strony, jest rzeczą zupełnie jasną, że władze kontrolują w pełni przejawy niezadowolenia i gdyby zechciały, mogłyby je stłumić przy pomocy znacznie surowszych wyroków i innych środków represyjnych. Środki te zniechęciłyby nawet najbardziej odważnych zarówno do demonstrowania na Placu Czerwonym jak i do powielania pism ulotnych. Faktem jest, że organa bezpieczeństwa, które są obecnie całkowicie podporządkowane kierownictwu partyjnemu, tolerują obecne przejawy niezadowolenia i tolerować będą tak długo póki nie wykraczają one poza pewne granice. Jest to cena, którą biurokracja komunistyczna płaci za usunięcie terroru stalinowskiego jako metody rządzenia. Cenę tę władza sowiecka płaci zupełnie świadomie.

Okres terroru lat trzydziestych, których ofiarą padły setki tysięcy działaczy i funkcjonariuszy Partii Komunistycznej, był wczesnym etapem rozwoju biurokracji. Wraz z tworzącą się potęgą przemysłową nabierała ona dopiero kształtów nowej klasy. Izaak Deutscher w posłowiu do swej trzytomowej biografii politycznej Lwa Trockiego cytuje opinię, według której ten gigantycznych rozmiarów terror był ze strony Stalina próbą zapobieżenia

okrzepnięciu nowej warstwy, która stać się mogła groźbą dla despotycznej władzy jego samego i grupy oddanych mu palladynów.

Hipoteza ta jest jedną z wielu. Jest warta zastanowienia, ale trudna do zaakceptowania. Stalin jako realista i pragmatyk powinien był rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny, że w warunkach zantagonizowania wszystkich warstw społecznych przeciw władzy, musiał się on oprzeć na jakiejś uprzywilejowanej i wpływowej grupie, która by stanowiła substytut klasy społecznej w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Tą grupą mógł być tylko aparat partyjno-państwowy, ewentualnie jego górne warstwy[3]. Terror lat trzydziestych, który w ograniczonej formie przetrwał lata powojenne, nie jest dostatecznie wyjaśniony. Znane są tylko fakty i jego skutki. Zapisał się on jednak w pamięci ludzi sowieckich tak głęboko, że wspomnienie o nim trudno jest dotychczas zatrzeć.

Średnia warstwa komunistyczna zarysowała się najwcześniej jako element społeczny w ZSSR głównie dlatego, że ZSSR jest najstarszym państwem komunistycznym świata. Równocześnie jednak okazała się ona mniej aktywną w swych aspiracjach od warstw średnich w państwach satelickich, w tej liczbie — polskiej warstwy średniej, o której mowa będzie w następnym paragrafie. Przyczyny tego ostatniego są wielorakie. Pierwsza — to pamięć terroru, który w formie potencjalnej możliwości wisi jak miecz Demoklesa nad ludnością sowiecką i którym, jak doświadczenia przeszłości okazały, zagrożeni są najbardziej ludzie zaangażowani w aparacie władzy. Druga przyczyna — to fakt, że rosnące w warstwach sowieckich klerków niezadowolenie z despotyzmu i ekstrawagancji Chruszczowa, który nigdy wprawdzie nie stał się obiektem otwartej krytyki, zostało w porę rozładowane przez Kosygina i Breżniewa. Usunęli oni Chruszczowa, trafnie wyczuwając dezaprobatę biurokracji, zanim zdołała ona wejść w fazę, grożącą społecznym fermentem.

Kraje satelickie nie miały za sobą okrutnych doświadczeń lat 1937-39. Aczkolwiek terror stalinowski stanowił ich zmorę w okresie powojennym, nigdy nie osiągnął rozmiarów masowych egzekucji i zsyłek, jakich ofiarą padła Rosja. Dlatego na równo z ludnością średni aktyw partyjny w krajach satelickich nigdy nie żył w takim panicznym strachu przed najwyższymi władzami państwa jak aparatczyk sowiecki.

Lata 1956-67 przyniosły osłabienie kurateli sowieckiej nad rządami satelickimi. Oczywiście do pewnych granic. Oznaczało to w praktyce, że Kreml starał się kontrolować zasadnicze kierunki w polityce zewnętrznej i wewnętrznej, nie dyktując decyzji wykonawczych tak jak to było w zwyczaju za czasów Stalina[4]. Wynikał stąd większy margines suwerenności, oczywiście nie dla narodów satelickich, ale dla kierujących nimi rządów komunistycznych.

3. Zdziesiątkowanie biurokracji w latach trzydziestych w ZSSR przez Stalina nasuwa pewną analogię z Rewolucją Kulturalną w Chinach przynajmniej, o ile chodzi o jej hipotetyczne cele. W Chinach grupa Mao uderzyła w Partię e.i. w aparat, ale Mao, z wyjątkiem nielicznych wypadków, nie niszczył fizycznie partyjnej biurokracji, a co ważniejsze — oszczędził korpus oficerski, który w dużej części udzielił mu swego poparcia. Stalin — przeciwnie, w swojej niemal samobójczej pasji, uwzględniając rychłe niebezpieczeństwo wojny, zdziesiątkował kadrę oficerską.

Sytuacja taka, przy pewnych niewątpliwych korzyściach dla ludności poszczególnych krajów, spowodowała pewne niezamierzone skutki. Do roku 1954-56 kierownicy państw satelickich byli niemal w dosłownym sensie wielkorządcami Kremla, realizującymi nie tylko jego politykę, ale wypełniającymi jego szczegółowe polecenia. Obecna forma „autonomii" kierownictwa, która mogła mu przynieść pewną popularność w oczach opinii publicznej krajów satelickich[5], obniżyła jego respekt w oczach aparatczyków, do których w gruncie rzeczy przemawia tylko siła. Pierwszy Sekretarz, który jest pełnomocnikiem Moskwy, jest z oczywistych względów bardziej dla polskiego, bułgarskiego czy węgierskiego aparatczyka nietykalny niż osobnik tolerowany przez Kreml, ale który nie jest w pełni namiestnikiem moskiewskiego Politbiura. Dlatego, między innymi, obydwaj konkurenci do władzy w Polsce — Moczar i Gomułka, deklarując wiernopoddańczość wobec wschodniego sojusznika, adresowali swe apele również do partyjnego aktywu. (Takie stanowisko aparatczyków koliduje zapewne z uczuciami ich nacjonalizmu, ale po to się jest aparatczykiem, żeby pewne uczucia w sobie tłumić). Splot wydarzeń w Polsce, procesy alienacyjne w łonie biurokracji uczyniły z tego kraju przykład, ilustrujący aspiracje warstwy komunistycznych klerków.

4. Udział polskiej średniej warstwy komunistycznej w walce o władzę w Partii

Ostatnie wydarzenia w Polsce świadczą dobitnie o potęgującej się roli warstwy średniej w łonie komunistycznej biurokracji. Mechanizm dawnych zmian, polegający na decyzjach Biura Politycznego, którym podporządkowywała się bez szemrania cała masa partyjna, został zastąpiony innym. Kryzys władzy w Polsce w lecie i na jesieni 1968 roku uwidocznił fakt, że warunkiem przesunięć w organach władzy i zmian politycznych musi być zdobycie poparcia szerokiej kadry aparatu partyjnego i państwowego.

Walka o władzę dwóch współzawodniczących ze sobą frakcji zmusiła konkurentów do ubiegania się o względy i popularność średniej warstwy. Znalazło to swój wyraz w kampanii przedzjaz-

4. W wypadku Rumunii ta częściowa kontrola zakończyła się ze strony Moskwy przynajmniej częściowym niepowodzeniem.

5. Można uznać za zasadę, że w opinii wszystkich narodów łatwiej znosi się własną tyranię od obcej. Z tego powodu Pierwszy Sekretarz Rumuńskiej Partii Pracy mimo całkowitego totalitaryzmu w polityce wewnętrznej cieszy się większą popularnością w Rumunii od swych poprzedników.

dowej. Tym razem wybór delegatów nie przebiegał wedle ustalonego z dawna trybu, polegającego na tym, że konferencje partyjne akceptowały posłusznie wyznaczone przez Kierownictwo kandydatury. W kilku wypadkach doszło do zajadłej walki i odrzucenia takich delegatów jak Kliszko i Starewicz, z których pierwszy był członkiem Biura Politycznego, drugi zaś — Sekretariatu. Obydwaj, aby otrzymać mandaty delegatów na Zjazd — musieli ponownie uczestniczyć w konferencjach w innych województwach, na których zetknęli się, z bardziej życzliwie usposobionym do siebie aktywem i na których zostali ostatecznie wybrani. Był to cios w prestiż Kierownictwa, a zarazem rys, świadczący o potęgującym się wpływie warstwy średniej na skład personalny władz i kierunek polityki. Drugi rys — to środki jakie w specyfice polskiej użyte zostały dla zdobycia poparcia w masie tzw. aktywu przez dwie zwalczające się frakcje Gomułki i Moczara.

Kwestia zastąpienia starych kadr młodszymi, czekającymi z dawna na awans i wynikające na tym tle konflikty bywają zjawiskiem typowym dla wielu ustrojów. Przy zhierarchizowaniu jakiejkolwiek drabiny państwowej występuje zawsze inercja i opór starej generacji, która dąży do zachowania swej pozycji. Nie to więc było typowe dla okresu przedzjazdowego w Polsce. Charakterystyczny natomiast był fakt, że żądaniom zmiany kadr na tle walki o władzę towarzyszyła erupcja nacjonalizmu i szowinizmu, których tradycyjnym siedliskiem w przedwojennej Polsce była przede wszystkim drobna burżuazja. Nie twierdzę bynajmniej, że szowinizm jest wyłącznie właściwością warstw średnich. Żaden naród nie jest wolny od ksenofobii. Wydaje się jednak, że uczucia niechęci do innych grup etnicznych lub rasowych nabierają cech bardziej brutalnych w pewnych szczególnie podatnych na nie warstwach społecznych. W tym wypadku element konkurencji i walki ekonomicznej odgrywa niepoślednią rolę, przytępiając uczucia tolerancji wobec przedstawicieli innych ras lub narodowości, żyjących na jednym terytorium we wspólnocie społecznej.

Tradycyjnymi uczuciami polskiego drobnomieszczaństwa był antysemityzm, rusofobia i niechęć do Niemców. Ta ostatnia była w historii ostatniego pięćdziesięciolecia czynnikiem najbardziej zmiennym, uzależnionym od stosunków z zachodnim sąsiadem. Antysemityzm i wrogie uczucia wobec Rosjan były animozjami trwalszymi, które rozkwitały najbardziej wśród polskiego drobnomieszczaństwa. Nowa komunistyczna warstwa średnia przejęła te stare uprzedzenia i nienawiści. Geneza i tradycje tych dwóch fobii były oczywiście odmienne. Ich wspólną cechą w okresie Polski powojennej było to, że średnia warstwa komunistyczna, kierowana autorytatywnie z góry, musiała w sobie te uczucia tłumić. Powstałe w wyniku tego kompleksy krzyżowały się z niezaspokojonymi ambicjami awansu w aparacie administracyjnym i w Partii. Droga do tego typu awansu, teoretycznie łatwa, bo nie wymagająca wysiłku zdobycia rzetelnej, fachowej wiedzy, była w

praktyce zablokowana starą kadrą, której część, zwłaszcza w latach 1948-56, stanowiła znaczna liczba Polaków pochodzenia żydowskiego.

Do szczególnego rodzaju frustracji, której obiektem była średnia kadra polskich aparatczyków, dochodził jeszcze jeden bardzo ważny moment. Ludzie, o nieprzekroczonym czterdziestym roku życia, którzy stanowili w tej warstwie w roku 1967-1968 masę najbardziej niecierpliwych i domagających się awansu, byli w latach 1949-1951 tą częścią młodzieży, którą w swe szeregi zwerbowała Partia z myślą o stworzeniu i wychowaniu własnego socjalistycznego aparatu władzy. Werbunek ten w okresie ówczesnego stalinowskiego apogeum odbywał się przy wyłącznym zastosowaniu kryteriów społecznego pochodzenia oraz absolutnej wierności i posłuszeństwa wobec Stalina i Partii. Kryteria te doprowadzano wówczas do granic absurdu, a nawet niejednokrotnie granice te przekraczano. Czujność wobec wroga klasowego była jedyną wartością, która się wówczas liczyła. W ten sposób centryfuga partyjnej kontroli i doboru najbardziej zaufanej kadry odwirowywała z powodzeniem elementy bardziej zdolne, w stosunku do których mogło powstać uzasadnione podejrzenie, iż mogą kiedykolwiek podjąć wysiłek samodzielnego myślenia.

Na zdolnych i ambitnych karierowiczach opiera się często powodzenie systemów politycznych i wielu ludzkich przedsięwzięć. Ideowcy niekoniecznie bywają solą ziemi. Sytuacja jednak Polski, a zapewne i innych krajów Europy Wschodniej uczyniła z kryteriów wyboru instrument, który wyplenił z życia publicznego karierowiczów zdolnych, zastępując ich tępymi. W swojej późniejszej służbie nadrabiali oni braki intelektu i rzetelnego wykształcenia innymi umiejętnościami, które nabywali w szkole partyjnego życia. Należały do nich serwilizm wobec zwierzchników, brutalność wobec podwładnych. Wierność do litery i martwego schematu i strach przed wszelką dociekliwością. Ta ostatnia sygnalizowała wroga.

Fala odwilży późnych lat pięćdziesiątych, ferment 1956 roku oraz wstrząsy jakie przeżywała Polska, doprowadziły kadrę wciąż jeszcze młodych aparatczyków do przekonania, że zostali zdradzeni. Wypuszczony z więzienia Gomułka, typowany na wodza przez polską radykalną inteligencję i zamianowany przez Partię, wzmógł w nich podejrzenia, że nowe kierownictwo zamierza oprzeć się na masach ludności, co w praktyce oznaczało wyrzucenie ich na śmietnik. Tym się tłumaczy początkowy opór i nieufność znacznej części aparatu przeciwko Gomułce. Wkrótce jednak z ulgą przekonali się o swojej pomyłce. Gomułka i najbliżsi jego współpracownicy oparli się na pewnej i trwałej opoce — biurokracji partyjnej. Kadra, zwerbowanych w latach 1949-1951 aparatczyków, przetrwała. Przywrócono jej rangę, obdarzono pełnym zaufaniem, ale jej posłuszeństwo i ślepa wierność została zachwiana. Nie nauczyli się niczego, ale zaczęli po trosze wątpić w partyjny katechizm. Rosła w nich też nienawiść do sprytnych polityków i żydowskich partyjnych inteligentów, którzy potrafili,

według nich, zręcznie wykpić się z każdej sytuacji. Stare, niewykorzenione nawyki i przesądy, przywiezione z małych miasteczek, ze środowisk chłopskich i chałupniczych, do których z rzadka tylko przedzierały się podniosłe XIX-stowieczne idee o naprawie świata i zrównaniu ludzi, pozostawiły ich tym czym w istocie byli: małomieszczanami z balastem nienawiści i przesądów. Świat komunistycznej biurokracji nauczył ich jeszcze jednego: że hasła są do głoszenia, a prawa dżungli do praktykowania. Do 1955 roku niektórzy z nich byli naiwnymi fanatykami. Po 1956 roku nie było już miejsca na fanatyzm. Stali się cynikami, ale był to najgorszy cynizm — ludzi tępych i ograniczonych. Na tej mierzwie uczucia nienawiści do Żydów i intelektualistów, próbujących naruszyć fundament ustalonego państwowego porządku, musiały się szybko rozwinąć.

Nabrzmiewające konflikty między walczącymi o władzę frakcjami w górnych szczeblach hierarchii partyjno-rządowej musiały wyjść ze stadium chronicznego w ostrą fazę otwartej walki. Koniunktura polityczna, będąca wynikiem wojny na Bliskim Wschodzie, podziałała już tylko jako zapłon. Doprowadziła do pierwszej fazy kryzysu w lecie 1967 roku, który został chwilowo załagodzony i przytłumiony. Mówiono wówczas, że nieprzewidziane wydarzenia na Bliskim Wschodzie zastały frakcję Moczara nieprzygotowaną do objęcia rządów. „Partyzanci" nie dysponowali „gabinetem cieni". Innymi słowy, nie przygotowali kadry ludzi, która miała objąć tysiące wolnych stanowisk po wypędzonych aparatczykach pochodzących z klucza starej gomułkowskiej gwardii. Rozruchy studenckie w marcu 1968 roku zastały grupę Moczara przygotowaną już o wiele lepiej do rozgrywki[6].

Frakcja tzw. partyzantów, której skład i genealogia polityczna była bardzo złożona, przystąpiła do frontalnego uderzenia. Taktyka jej była nieskomplikowana. Ambitni działacze tej grupy posłużyli się hasłami antysemickimi, wiedząc doskonale, jaki odzew znajdą one w warstwie aparatczyków. To co przez długie lata objęte było surowym zakazem, mogło obecnie zakwitnąć swobodnie pod warunkiem użycia eufemicznej formułki antysyjonizmu. O to jaki oddźwięk kampania antysemicka znajdzie w narodzie, ani zwolennicy Moczara ani Gomułki nie dbali. Wiedzieli doskonale, że walka o władzę w Partii nie będzie się odbywać ani w Partii ani w Narodzie tylko w tzw. aktywie partyjnym.

Dla warstwy aparatczyków, po latach oczekiwania i tłumionej nienawiści za upokorzenia doznane w okresie tzw. Polskiego Października, otwierała się jednoczesna perspektywa rewanżu i awansu. Rewanż oznaczał cios w te środowiska radykalnej polskiej inteligencji, które 12 lat temu usiłowały zniszczyć biurokrację partyjną, wierząc, że istnieją drogi uzdrowienia i wyjścia ze ślepej uliczki upodlenia i absurdów, w jakiej znalazł się ruch komunistyczny. Awans oznaczał objęcie stanowisk po usuniętych rewizjonistach, którzy w znacznym procencie okazali się ludźmi pochodzenia żydowskiego. Stanowić to miało dowód, że wrogami Partii i Polski Ludowej są w przeważającej masie ludzie etnicznie obcy. W ten sposób w średniej warstwie tłumione przez lata kompleksy mogły zostać rozładowane. Prasa polska skwapliwie też podjęła dzieło odgrzebywania starego bierutowskiego mitu, tym razem w wydaniu Gomułki i Moczara. Do „Jedności moralno-politycznej Narodu" dojść miał jeszcze element rdzennie polskiego monolitu nieskażonego żadną obcą przypadłością. Niestety, czasy były już inne. Mity przestały działać. Wierzył w nie chyba jeden z najzagorzalszych ich szermierzy Janusz Wilhelmi, redaktor naczelny warszawskiej *Kultury*, która w gorących miesiącach, gdy ważyły się losy dwóch frakcji, licytujących się w demaskowaniu syjonizmu i rewizjonizmu, rozsiewała infantylne i prymitywne kłamstwa.

W istocie jednak, walka, którą wszczęły frakcje partyjne po rozruchach studenckich, nie była ani kampanią przeciw syjonizmowi ani kampanią przeciwko rewizjonistom. Slogany te stanowiły kryptonimy innej akcji, skierowanej przeciwko inteligencji humanistycznej, koło najbardziej światłych w Polsce ludzi oraz młodzieży studenckiej. Środowiska te, doprowadzone do desperacji brutalnością aparatu i bezwstydnymi kłamstwami prasy i radia, spowodowały w lutym i marcu 1968 roku beznadziejną konfrontację z władzami. Niewątpliwie uczyniły to pod wpływem rozwoju wydarzeń w Czechosłowacji. Studenci liczyli tu zapewne na poparcie robotników w niektórych większych zakładach pracy, w tej liczbie przede wszystkim w województwie warszawskim. Poparcie to nie przyszło i akcja, która miała przebieg spontaniczny, zakończyła się porażką.

Dawny lider Października, Gomułka, nie był z pewnością nadmiernym entuzjastą kampanii antysyjonistycznej, zdając sobie sprawę, że jest to specjalność jego konkurentów. Nie miał jednak innego wyjścia jak tylko przechwycić atuty oponentów. W ten sposób sam stanął na czele kampanii wszczętej przez frakcje Moczara i Strzeleckiego.

Rozpoczęło się więc coś w rodzaju licytacji w antysyjonistycznej i antyrewizjonistycznej nagonce. Na zebraniach partyjnych, na których zbierała się masa zahukanych urzędników, z trudem mogących myśleć o czym innym niż o łataniu budżetów rodzinnych, zainicjowano polowanie na czarownice. Z punktu widzenia elementarnych cech psychiki ludzkiej, można było bez trudu przesądzić, że kampania antysyjonistyczna ma szanse skupienia większej masy zwolenników. O rewizjonizm można było oskarżyć każdego. Natomiast w zasięgu podejrzeń o syjonizm mogli się znaleźć w praktyce tylko nieliczni Żydzi. Przytłaczająca większość niższych funkcjonariuszy rządowych lub partyjnych, nie obciążonych plamą pochodzenia, mogła znaleźć się poza zasięgiem ponurej farsy. Stosowane metody szantażu i absurdalność zarzutów,

6. Głosy insynuujące MSW sprowokowanie rozruchów studenckich, nie poparte są żadnymi wiarygodnymi faktami. Wydaje się, że przypisywanie Moczarowi i jego sojusznikom nadmiernego machiavellizmu i demonizowanie ich roli jest nieuzasadnione.

sylwetki moralne najbardziej aktywnych oskarżycieli, ich poziom umysłowy przypominały lata 1948-1953. Niewątpliwie też przebieg zebrań partyjnych musiał nasunąć analogię z czasami stalinowskimi. W istocie jednak porównanie to nie ma głębszego uzasadnienia. Terror stalinowski nie został w Polsce przywrócony i nikt nie zamierzał go przywracać. Kłamstwa propagandy, czystka w urzędach i cały arsenał środków zastraszenia stanowiły zwykłe normy postalinowskiego systemu totalitarnego, w którym nastąpił kryzys władzy.

Choć Gomułka, przechwytując atuty propagandowe przeciwników, uczynił jedyną rzecz możliwą w swojej sytuacji, nie potrafiłby i tak wyeliminować frakcji Moczara i w finale poniósłby prawdopodobnie klęskę. Kapitał niechęci w szeregach średniej warstwy aparatu przeciwko liderowi Października kumulował się zbyt długo. Gomułka nie utrzymałby się w siodle nawet za cenę poświęcenia części starej gwardii, której usunięcia domagali się coraz bardziej stanowczo ludzie Moczara. Wiadomo jednak, że w krytycznym momencie, gdy ważyły się losy Pierwszego Sekretarza KC i jego grupy, nastąpił decydujący głos KPZS, która po interwencji w Czechosłowacji poparła Gomułkę w takiej formie, że los Partyzantów został właściwie przypieczętowany. Musieli oni zadowolić się skromnymi sukcesami, które osiągnęli przed Zjazdem. Główna batalia została zakończona. Odtąd „Partyzanci" toczyli już tylko walkę podjazdową. Średnia kadra partyjna, prowadząca z dużym powodzeniem wyścig, którego główną nagrodą miały być rządy w Polsce, przewróciła się na narzuconym arbitrażu KPZS. Jej siła była wystarczająca, żeby skutecznie wypierać z zajmowanych pozycji grupę Gomułki. Gdy znalazła się na szali w rozgrywce sił wewnątrz bloku państw komunistycznych, jej ciężar gatunkowy, zredukowany został niemal do zera.

Przebieg kryzysu w Polsce miał swoją wewnętrzną logikę, która wyznaczała etapy, kierunki ofensywy i kontrofensywy w zależności od aktualnej koniunktury i przesunięć w szeregach obydwu zwalczających się frakcji. Stanowisko Związku Sowieckiego i jego poparcie dla Gomułki uwypuklają jeszcze raz ostrożność i konserwatyzm obecnego kolektywnego kierownictwa KPZS, bez względu na dzielące je różnice. Dobrze znany i wypróbowany w wierności, zwłaszcza w okresie interwencji czechosłowackiej, Gomułka był z punktu widzenia utrzymania „małej stabilizacji" w Polsce politykiem znacznie pewniejszym od Moczara oraz jego ambitnych i żądnych kariery popleczników. Wstrzemięźliwość przywódców sowieckich, ich chęć zabezpieczenia tego co dawno zostało zdobyte, a przede wszystkim ich główny cel — utrzymanie niezmienionego podziału sił na świecie, różni ich zasadniczo w polityce międzynarodowej od Stalina, a nawet Chruszczowa. Obydwaj wymienieni przywódcy nie wykluczali ryzyka awantury, choć potrafili się zawsze w odpowiednim momencie cofnąć. (Stalin — blokada Berlina, Korea. Chruszczow — kryzys berliński w r. 1960 i kubański w r. 1963). Breżniew, a jeszcze w większym stopniu Kosygin i Susłow takiego ryzyka nie znoszą. Są klasycznymi reprezentantami średniej warstwy komunistycznej. Wyrażają jej pragnienie spokoju i stabilizacji.

Na odrzucenie kandydatury Moczara jako wodza Partii wpływ miał jeszcze jeden czynnik. Mimo składanych przez Moczara deklaracji wierności wobec Moskwy i kurtuazyjnych artykułów drukowanych w *Prawdzie*, wychwalających zasługi wodza „Partyzantów", przywódcy sowieccy trafnie wyczuwali, że szowinizmowi aparatczyków sowieckich odpowiada nie rozładowana rusofobia polskiej biurokracji komunistycznej. Z tego też powodu interesom Moskwy odpowiadał w większym stopniu polski przywódca, który dla zachowania swego stanowiska gotów był te uczucia nacjonalistyczne ograniczać niż ten, który dla zdobycia popularności w średnich warstwach skłonny był je lekkomyślnie rozpętać. Gdyby w Polsce doszło do zaktywizowania nastrojów antyrosyjskich, to w przeciwieństwie do kampanii antyżydowskiej rzecz nie ograniczyłaby się do masy partyjno-rządowych biurokratów, ale zasięgiem swym mogłaby objąć szersze warstwy ludności.

Z tego również względu musiała być zahamowana kampania antysemicka. Spełniła ona swe zadanie w okresie walki o władzę. Przyniosła pewne zdobycze frakcji Moczara, która mogła obdarować swych zwolenników pewną ilością stanowisk. Ale tu następował kres dalszych ambicji i niespełnionych nadziei. Normalną w tych warunkach reakcją był katzenjammer u bardziej zaangażowanych działaczy, którzy nie rozumiejąc mechanizmu przemian i sprężyn walki frakcyjnej, oczekiwali permanentnej czystki syjonistów czyli Żydów oraz rewizjonistów czyli okazujących zwątpienie inteligentów. Miało to być coś w rodzaju nieustającego święta narodowego, gdzie przy ryku megafonów biczowałoby się syjonizm i imperializm, piętnując jego krajowych popleczników. Pomijając już fakt, że nawet w szarej masie urzędniczej, zmęczonej bezustannymi manifestacjami „nieprzejednani" stanowili mniejszość, dalsze kontynuowanie kampanii antyżydowskich było przynajmniej milion, a nawet pół miliona Żydów, sprawa przybrałaby zapewne inny obrót. Antysyjonizm stałby się po prostu „programem" na dłuższą metę. Z hasłami marksizmu i leninizmu na ustach można by piętnować Żydo-syjonistów w nieskończoność. Na nieszczęście, dla inicjatorów kampanii, gleba, na której plenić się miał antysemityzm, jałowiała z każdym wypędzonym z pracy Żydem. Należało się obawiać, że rozpętane wśród średniej warstwy i promieniujące na masę urzędniczą uczucia nacjonalistyczne z braku innego materiału palnego mogą przerodzić się w nastroje antyrosyjskie. Wydaje się, że sztab Partyzantów zdawał sobie z tego sprawę na równi z Gomułką i Kliszką. Moczarowi i jego partnerom, którzy zrozumieli, że ich końcowa karta została stracona, syjoniści nie byli już potrzebni. Żydzi odeszli, inteligencja polska została. Przybita i załamana, ale wciąż jeszcze stanowiąca potencjalne niebezpieczeństwo i nie wygaszone zarzewie buntu wisi nad głową komunistycznej biurokracji jak Nemezis. Przeciwko niej trzeba obecnie skierować ostrze. Innymi słowy, wrócić do starych wytartych sloganów o niebezpieczeń-

stwie rewizjonizmu i socjaldemokratyzmu jako oręża burżuazji przeciw obozowi socjalistycznemu.

Tak rozpoczął się powszedni dzień.

Z tą realną sytuacją, jak to zwykle bywa, nie chciało się pogodzić wielu aktywistów, którzy spodziewali się innego epilogu „polskiej wiosny ludów", wszczętej pałkami ORMO na wyższych uczelniach polskich w marcu 1968 roku. Wśród nich Walichnowski, Gontarz, Dziedzic, Kąkol i kilku innych, zapewne wytrwale wierzących w to, że źródłem gnębiącego Polskę zła są Żydosyjoniści i rewizjoniści, domagali się na zebraniach partyjnych w MSZ i MSW kontynuowania i zaostrzenia kampanii. Wytrawni wyjadacze polityczni jak Moczar, Strzelecki i Stefan Jędrychowski, świeżo kreowany Minister Spraw Zagranicznych nie mieli zapewne ani czasu ani ochoty tłumaczyć zapaleńcom na czym polegają tajniki strategii i taktyki politycznej w walce o władzę.

Nadgorliwcy zostali szybko wyrzuceni ze stanowisk, a niektórzy i z Partii. Równocześnie Gomułka, biorąc odwet za doznane upokorzenia, powypędzał niektórych wysokich funkcjonariuszy partyjnych, którzy zbyt pochopnie poparli Moczara w krytycznych momentach, gdy ważyły się losy starej gwardii. Nie należy również sądzić, że gen. Mieczysław Moczar okazał swym zawiedzionym zwolennikom współczucie. A może wzorem generała Tanza z opowieści Kirsta „Noc Generałów" pouczył ich, że w walce o władzę liczą się generałowie, a nie kaprale?

Tak właściwie skończyła się próba rebelii polskich aparatczyków. Przebieg jej był bezkrwawy, bronią był szantaż, demagogia, kłamstwo i oszczerstwo. Gen. Moczar na pewno nie reprezentował aspiracji średniej warstwy i jej ambicji wywierania wpływu na losy kraju. Moczar posłużył się jedynie aktywem partyjnym, aby uderzyć nim jak taranem we wrota Komitetu Centralnego. Gdyby wygrał, nie dzieliłby się ze swymi „plebejskimi" zwolennikami władzą, ale objąłby miejsce po „starej gwardii". Dlatego w momencie narzuconego arbitrażu Moskwy, stosunkowo łatwo uznał swą klęskę. Rozumiejąc, jak niewiele znaczyłaby średnia warstwa w obliczu zjednoczonego i gotowego do walki narodu, tym bardziej nisko szacował jej atuty w konfrontacji z Kremlem.

Wraz z konfrontacją między średnią warstwą aparatczyków a władzą w Polsce, u południowego sąsiada Polski — w Czechosłowacji, odbywała się inna konfrontacja: między narodem czechosłowackim a Moskwą. Ta druga wszczęta wcześniej i dogasająca ponad pół roku później, nie miała w swym przebiegu niczego, co by łączyło ją z wydarzeniami w Polsce, prócz epilogu. Choć w odmiennej formie epilogiem tym była interwencja sowiecka. Mimo pewnych oporów i wahań w wypadku Czechosłowacji, Wielki Brat wkroczył w charakterze czynnika decydującego. Na scenę czechosłowacką — brutalnie, demonstrując swą potęgę, na scenie polskiej, w konflikcie partyjnym wystarczyło jedno przemówienie Breżniewa.

Ta właśnie interwencja Moskwy w wypadku Polski rzuca jaskrawe światło na wagę pewnych procesów w obrębie poszczególnych struktur krajów komunistycznych. Znaczenie fermentów i procesów alienacyjnych, a pośród nich wyodrębnienie się średniej warstwy komunistycznej jako czynnika zyskującego na sile, miałoby inny przebieg w państwie komunistycznym niezależnym od kurateli supermocarstwa, a inne — w żyjącym w cieniu jego potęgi. W tym ostatnim wypadku znaczenie tych procesów redukuje się do rozmiarów zdeterminowanych ogólnokomunistyczną racją stanu, na straży której w tej strefie świata stoi ZSSR. Ewentualne procesy alienacyjne, które by zdołały wstrząsnąć skutecznie piramidą władzy w ZSSR miałyby zatem kluczowe znaczenie dla losu krajów Wschodniego Bloku. Oczywiście, możliwy dalszy awans średniej warstwy, który by dał o sobie znać w ZSSR, nie doprowadziłby na pewno do żadnych istotnych zmian, tym mniej — do wstrząsów.

Próby rebelii komunistycznych aparatczyków przeciw zwierzchniej władzy Partii nie można w przyszłości wykluczyć ani w krajach satelickich ani w ZSSR, choć kierownictwo sowieckie cieszy się na pewno znacznie większym autorytetem wśród rosyjskiej biurokracji niż Gomułka — w polskiej. Nie należy jednak z tymi ewentualnościami wiązać żadnych rachub na zliberalizowanie systemu i rozluźnienie totalitarnej obręczy. Odwrotnie — wydarzenia polskie ukazały jasno, że komunistyczni klerkowie są najzajadlejszymi przeciwnikami inteligencji, stanowiącej zarzewie buntu i nadzieję wyzwolenia.

Zbigniew BYRSKI

Lipiec 1969

NOTA BIOGRAFICZNA

Zbigniew BYRSKI ur. 13 listopada 1913 r. w Warszawie. Od r. 1933 członek Komunistycznego Związku Młodzieży Polski i organizacji studenckiej O.M.S. „Życie". W latach 1934-1935 współredagował wychodzące w Warszawie tygodniki „Na przełaj" i „Z daleka i z bliska". Wymienione pisma były legalnie wychodzącymi organami tzw. Sekretariatu Krajowego K.Z.M.P.

Od roku 1935 członek KPP. Na zlecenie Centralnej Redakcji KPP wydaje w r. 1935 w Cieszynie tygodnik „Głosy i Odgłosy", będący po „Dwutygodniku Literackim" kolejnym legalnym organem KPP. „Głosy i Odgłosy" zostają zlikwidowane przez władze w tym samym roku, w którym zaczęły wychodzić. W 1937 występuje z KPP na krótko przed rozwiązaniem tej organizacji przez Komintern.

W okresie okupacji przebywa przez cały czas w Polsce. Pracuje jako robotnik w Zarządzie Miejskim. W roku 1943 wstępuje do PPR. W r. 1945 zaczyna pracować w Biurze Prezydialnym Krajowej Rady Narodowej. W roku 1946 usunięty z Biura przez Bolesława Bieruta rozpoczyna pracę w Wydziale Personalnym KC PPR. Od r. 1947 do 1951 jest wicekonsulem i konsulem polskim w Chicago i Detroit. W r. 1951 zostaje odwołany ze stanowiska konsula i usunięty z MSZ. W r. 1952 rozpoczyna pracę w Polskim Radio, gdzie z krótkimi przerwami jest członkiem Redakcji „Muzyki i Aktualności" do r. 1965.

We wrześniu 1956 Z. Byrski został II Sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR w Polskim Radio i TV. i piastował tę funkcję do 1958 roku.

W roku 1965 został korespondentem Polskiego Radia i TV. i Agencji Robotniczej w Zachodniej Afryce. Od roku 1966 pracował w tym samym charakterze w Afryce Wschodniej.
Od stycznia 1969 roku przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Gomułka i Moczar

Nominacja Moczara na członka Rady Państwa PRL wywołała w Warszawie nową falę spekulacji na temat jego stosunków z Gomułką. Podobno nawet w ambasadzie sowieckiej nie mogą zrozumieć jak się one właściwie układają.

Szef polskiej kompartii, zagrożony przez Moczara na wiosnę 1968 r., uzyskał nad nim znowu przewagę w wyniku interwencji w Czechosłowacji, gdzie stał się pierwszym sojusznikiem Breżniewa. Poza tym Czechosłowacja była w pierwszym rzędzie problemem narodowym dla Moskwy, bano się tam niezależności polityki narodowej Czechosłowaków, podobnie jak reform demokratycznych. W ogóle największe i niepokonalne trudności w obozie moskiewskim wynikają dzisiaj z problemów narodowych. Rumunia jest na to koronnym przykładem choć ma ona swoją specyfikę odróżniającą ją od innych krajów obozu. W tej sytuacji posługujący się hasłami nacjonalistycznymi Moczar musiał ponieść w Rosji porażkę. Czy jest ona jednak zupełna i nieodwracalna? I dlaczego Gomułka nie skończył w czasie V zjazdu Partii swego rywala, dlaczego tylko go upokorzył, ale nie wyeliminował z gry? Odpowiedź na te pytania jest bardzo ważna dla zrozumienia obecnej politycznej sytuacji w Polsce.

Na postawę Gomułki wpłynęło kilka bardzo różnych momentów. Po pierwsze wie on dobrze, że Moczar ma także silne oparcie w Moskwie. Jego kilkuletnią walkę z frakcją „puławsko-żydowską" w PZPR Rosjanie oceniali nader życzliwie. Odwrócenie się komunizmu od żydowskiej mniejszości narodowej zaczęło się w Moskwie, a nie w Warszawie. Pomijając w tej chwili ten zresztą bardzo ciekawy problem w ewolucji ruchu komunistycznego, z Moskwy przychodziły do Warszawy jeszcze inne, zewnętrznie mniej znane impulsy. Partia sowiecka, czy też jej biurokracja, jest nie mniej skłócona i rozbita, niż partia polska. Jest to nieuchronne w sytuacji kiedy walki frakcyjne w partiach zastępują wszelkie ścieranie się idej i poglądów w życiu publicznym krajów komunistycznych. Część biurokracji partii sowieckiej jawnie sprzyja Moczarowi. Jest to część niezadowolona z centrowych rządów Breżniewa, podobnie jak Moczarowi nie odpowiadają centrowe rządy Gomułki. Chodzi tu więc o pewne wpływowe koła wojskowe rosnące ostatnio w sile i naturalnie o służbę bezpieczeństwa. W partii wymienia się jako protektorów Moczara takich ludzi jak członek politbiura Szelepin i sekretarz KC Katuszew. Jest ich zresztą więcej. Gomułka nie może nie brać pod uwagę tych powiązań Moczara z Rosjanami. Ale nie są one decydujące dla jego stosunku do Moczara.

Najważniejsza jest sytuacja w partii. Gomułka dobrze wie, że Moczar zdobył sobie w ciągu ostatnich kilku lat większość młodej biurokracji partyjnej. Przekonał się o tym gdy nie wybrano delegatami na zjazd partii Starewicza w Zielonej Górze i Kliszki w Gdańsku. Jeszcze dobitniej uświadomił go o tym fakt, że co trzeci delegat na V Zjeździe skreślał w wyborach ludzi niemiłych Moczarowi. Gomułka wie, że usunięcie Moczara byłoby wstrząsem dla większości aktywu PZPR. Postanowił tego wstrząsu nie wywoływać, tylko upokarzając Moczara odwrócić od niego koniunkturalną część jego zwolenników. Częściowo to osiągnął, ale tylko częściowo. Aparat jest już krańcowo zmęczony i zniecierpliwiony rządami Gomułki i Kliszki. Moczar zachował w nim więc nadal duże wpływy. Tym bardziej, że on jeden, poza Gomułką, posiada własną konspiracyjną siatkę, obejmującą większość organizacji partyjnych i wiele instytucji państwowych oraz posługującą się bezpieką.

Gomułka pokazał jednak na V Zjeździe że ma także personalną alternatywę Moczara i Gierka — Kociołka i Tejchmę, politycznie dość zresztą bliskich Moczarowi. Przed V Zjazdem I-szy sekretarz dał do zrozumienia Komitetowi Centralnemu, że to jest jego ostatnia kadencja, że chce za cztery lata ustąpić. A Kociołka i Tejchmę podobno przygotowuje do roli swoich następców. Chcąc zadowolić starą gwardię partyjną Gomułka wziął do Politbiura także Kruczka. Z młodego, bliskiego Moczarowi aparatu partyjnego sekretarzami KC zostali jeszcze Szydlak i Olszowski. W ten sposób Gomułka podyktował układ personalny, który daje mu możność zachowania dla siebie i Kliszki decydującej roli arbitra we władzach partyjnych. Za jednego z inspiratorów tych posunięć uchodzi Cyrankiewicz, najbliższy dziś człowiek Gomułki i Kliszki i mózg grupy gomułkowskiej w KC.

Sytuacja Moczara po V Zjeździe stała się opłakana, w czym zresztą on sam najbardziej zawinił, prowadząc po marcu 1968 politykę awanturniczą, antysemicką i w ogóle głupią. A miał wielką szansę w ręku. Z pewnością do niej nie dorósł, jego format polityczny okazał się nawet w zestawieniu z anachronicznym Gomułką nader mały. Moczar ostał się dzięki Gomułce, który w pewnym momencie miał go dosłownie w ręku.

W Polsce na ogół sądzi się, że przegrana Moczara jest całkowita i nieodwracalna. Nie jest to w pełni słuszne. Gomułka Moczara ułaskawił. Skończmy najpierw odpowiadać dlaczego tak się stało. Sądzę, że nie tylko wpływy Moczara w Moskwie ale także sympatia do niego wśród młodych aparatczyków pochodzenia chłopskiego nie miała dla Gomułki największego znaczenia. Jako pierwszy sojusznik Breżniewa w interwencji czechosłowac-

kiej, Gomułka mógł zmieść Moczara („kto nie z Władziem tego zgładziem") nie oglądając się na te względy.

Decydujące jak zazwyczaj u Gomułki były względy psychologiczne.

Po pierwsze nigdy nie brał on Moczara na serio jako swojego rywala. Miał do niego wiele sympatii, poczynając od chwili gdy Moczar zgłosił się do niego w Lublinie prosto z lasu i został skierowany do pracy z bezpiece.

Gomułka jak każdy dyktator jest przywiązany do ludzi których sam stworzył. Poza tym Moczar niewątpliwie przeszedł pewne tarapaty z powodu „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego Gomułki" w okresie stalinowskim. Wszystkich takich ludzi Gomułka skupił przy sobie, choć wszyscy oni nie wyliczając Kliszki czy Moczara tak czy inaczej się go zaparli. Wreszcie szef polskiej kompartii w ostatnich latach uważał Moczara za niesfornego pupila, odmawiał mu rozumu politycznego umiaru i umiejętności myślenia w kategoriach państwa, ale rozumiał i podzielał jego emocje.

Po drugie: otóż Gomułka nienawidził na śmierć i życie tych ludzi, których Moczar tak bezceremonialnie zwalczał — dawnych stalinistów, którzy dokonali przewrotu październikowego w 1956 roku. Gomułka mógł nie podzielać sposobu w jaki Moczar rozgrywał grupę „puławsko-żydowską" ale podzielał jego uczucia wobec tej grupy.

Pupil stał się jednak niespodziewanie rywalem i Gomułka wzburzony postawił go do kąta, ukarał go łagodnie z całym poczuciem swojej wyższości politycznej, ze zniecierpliwieniem, ale i z dobrotliwością starego patrona wobec lubianego i zasłużonego już aplikanta.

No i co będzie dalej? Komu dostanie się do ręki władza nad młodą chłopską biurokracją partyjną, która bezdyskusyjnie jest w dzisiejszej Polsce główną bazą społeczną rządów PZPR. Gomułka podobno rzeczywiście chce odejść za cztery lata, lub czuje, że będzie musiał odejść, Moczar ułaskawiony nie jest w tej sytuacji bez szans, jak to wielu komentatorów donosi z Warszawy. Ma on zdecydowaną przewagę nad nowymi pupilami Gomułki, Kociołkiem i Tejchmą, którzy jak dotąd są ludźmi całkowicie niesamodzielnymi. Kociołek, inteligentny demagog bez skrupułów, nie ujawnił dotąd żadnej własnej koncepcji. Tejchma, mający w opinii publicznej najlepszą markę z nowych członków politbiura, wydaje się rozumnym aktywistą, ale także nie jest człowiekiem koncepcji, ani jakiejś specjalnej energii. Pozostają oczywiście jeszcze inni konkurenci do władzy: przegrany razem z Moczarem Gierek, czy miły Moskwie Jaszczuk, nie mówiąc o pomniejszych. Moczar bije ich wszystkich tym, że jest niestrudzony w rozgrywce wewnętrznej, pobity okopuje się na innych odcinkach, jest stale aktywny, stał się praktycznie niepodzielnym przywódcą konspiracji partyjnej. Jest jej symbolem. Wejście jego do Rady Państwa PRL-u, wbrew temu co pisał p. Margueritte w *Le Monde* nie było sensacją. Moczar ułaskawiony przez Gomułkę stał się

znów po prostu częścią *establishmentu* politycznego partii. Przed Moczarem kolejno Strzelecki i Wicha zasiadali w Radzie Państwa pełniąc te obowiązki w sekretariacie KC, które obecnie sprawuje Moczar.

Sprawy więc po prostu wróciły do normy. Czy znaczy to, że Moczar jest nadal najpoważniejszym kandydatem do władzy w PZPR po Gomułce? Sprawa nie przedstawia się tak prosto. Przeciwko Moczarowi działają potężne argumenty. Jego własne żenujące błędy z roku 1968, oraz prawdopodobieństwo, że powtórzy je przy pierwszej okazji. Moczar jest niewygodny dla centrowego kierownictwa sowieckiego i właściwie jego osoba wchodzi w grę tylko w wypadku, jeśli w Moskwie nastąpią zmiany personalne. Wreszcie dopuszczeni przez Gomułkę do asystowania mu w sprawozdaniu władzy młodzi aparatczycy, Kociołek, Tejchma, Szydlak i inni nie mają już interesu w popieraniu Moczara i zaczynają mieć na względzie raczej swoje własne osoby. A poza tym są jeszcze inni kandydaci do schedy po Gomułce. Głównie przeciwko Moczarowi pracują jego własne błędy, jego najbliżsi kompromitujący sojusznicy, jak Bolesław Piasecki, posługiwanie się tępymi kreaturami jak Klaudiusz Hrabyk i w ogóle prymitywizm polityczny, typowy dla ubeckiego światopoglądu Moczara i jego najbliższych.

Gra personalna w PZPR toczy się w gruncie rzeczy w gronie kilkunastu ludzi, dlatego niesposób przewidzieć jej efektu końcowego. Moczar nie ma za wielkich szans na zdobycie władzy, ale nie jest bynajmniej przegrany, jak to się już mówi w Polsce i na Zachodzie.

Przekonanie o tej przegranej, o tym, że Moczar nie jest już niebezpieczny, wywodzi się z jego klęski na V Zjeździe i ze zmian personalnych, szczególnie w bezpiece, dokonanych przez Gomułkę. Ale mało kto wie, że na miejsce jednego moczarowca przychodzi inny moczarowiec, bo innych ludzi nie ma w dzisiejszym aktywie PZPR. Moczar może odejść lub nie odejść, jego duch w dzisiejszej polskiej kompartii zostaje.

I tu jest wydaje się istota problemu. Gomułka rozwijał partię na zasadzie eliminacji najlepszych i uprzywilejowaniu najgorszych, najgłupszych, najbardziej oportunistycznych. Z młodego chłopskiego żywiołu, który zalał partię wybrano elity rządzące ściśle według powyższej zasady. Czy mogą one pójść w innym kierunku, niż ten, który proponował Moczar?

Obraz ten byłby nie tylko pesymistyczny, ale wręcz beznadziejny, gdyby nie implikacje zewnętrzne, które wcześniej czy później zmuszą rządzącą biurokrację do poszukania nowej orientacji. Konflikt rosyjsko-chiński doprowadzi do wstrząsów, zwrotów, których dzisiaj nie jesteśmy sobie w stanie uzmysłowić. Postęp techniki (m.in. satelity telekomunikacyjne) uczynią za dwa trzy lata izolację informacyjną narodów sprawą zupełnie beznadziejną. Młode generacje pozapartyjne pójdą dalej szlakiem buntu, na który wkroczyły w 1968 r. Względna równowaga władzy w Rosji i we wszystkich krajach komunistycznych poddana zo-

stanie wstrząsom, które nieuchronnie doprowadzą do jej załamania. Kwestia narodowa podminowuje państwo sowieckie i cały blok wschodni. Do zmian przyczynią się jeszcze inne liczne gospodarcze, techniczne i międzynarodowe czynniki.

Kierunek moczarowski musi wygrywać w dzisiejszej Polsce, tylko na bardzo krótką metę. Trzeba liczyć się z jego krótkotrwałą wygraną, zachowując świadomość, że jest to epizod poprzedzający naprawdę bardzo wielkie zmiany w Polsce i w całym świecie komunistycznym.

Apolinary KAMIŃSKI

Można i tak...

CZYLI OGÓLNONARODOWA MOBILIZACJA DO UCZCZENIA 25-LECIA PRL

W nrze 78 *Gazety penitencjarnej* z dnia 15 lipca 1969 ukazało się pt.: PRZODUJĄ W PRACY (Z Komunikatu Głównej Komisji Współzawodnictwa) następujące obwieszczenie, które zamieszczamy bez komentarza:

Współzawodnictwo między zakładami karnymi i przedsiębiorstwami przywięziennymi ma m.in. na celu: stałe mobilizowanie funkcjonariuszy do doskonalenia zawodowego, kształtowania prawidłowej atmosfery i organizacji pracy, maksymalne zatrudnienie skazanych, pogłębienie pracy penitencjarnej.

W początkach 1966 r., w związku z ogólnonarodową mobilizacją do uczczenia 25-lecia PRL wzmożoną pracą, pracownicy Służby Więziennej nawiązując do tradycji współzawodnictwa pracy prowadzonego w latach ubiegłych, podjęli szereg zobowiązań mających na celu usprawnienie i poprawę pracy zawodowej.

Akcją współzawodnictwa pracy objęto wszystkie typu zakładów karnych i areszty śledcze różnicując wymagania w zależności od charakteru zakładu. Ustalono, że współzawodnictwo będzie trwało przez okres 3 lat z podziałem na etapy.

Dla kierowania ruchem współzawodnictwa powołane zostały Główna, Okręgowe i Wojewódzkie Komisje Współzawodnictwa.

Na zakończenie I etapu współzawodnictwa Wojewódzkie Komisje dokonały oceny pracy poszczególnych zakładów, wybierając przodujące zakłady karne. Ogółem Wojewódzkie Komisje Współzawodnictwa wybrały 54 zakłady, w tym: 19 zakładów karnych typu zamkniętego, 4 zakłady karne dla więźniów młodocianych, 22 areszty śledcze, 9 oddziałów zewnętrznych.

Zakłady te uczestniczyły następnie w okręgowych eliminacjach o prawo reprezentowania danego typu zakładów we współzawodnictwie ogólnokrajowym. W wyniku kontroli przeprowadzonych przez Okręgowe Komisje Współzawodnictwa wytypowano 24 zakłady uprawnione do udziału w III etapie.

Ostateczną ocenę wyników pracy tych zakładów karnych przeprowadziła w maju br. Główna Komisja Współzawodnictwa wspólnie z Dyrekcją i egzekutywą POP Centralnego Zarządu Więziennictwa. Pierwsze miejsce przyznano:

I. *W grupie centralnych więzień kolejne miejsca uzyskały:*
1. CW w Bydgoszczy; 2. CW w Katowicach; 3. CW w Lublinie; 4. CW w Łodzi; 5. CW w Gdańsku.

II. *W grupie zakładów karnych typu zamkniętego kolejne miejsce uzyskały:*
1. ZK w Mielęcinie; 2. ZK we Wrocławiu; 3. ZK w Czarnem; 4. ZK w Krasnymstawie; 5. ZK w Barczewie.

III. *W grupie zakładów karnych dla więźniów młodocianych kolejne miejsca uzyskały:*
1. ZK w Nowej Hucie; 2. ZK w Wojkowicach; 3. ZK w Bojanowie.

IV. *W grupie większych aresztów śledczych kolejne miejsca uzyskały:*
1. A. Śl. we Wrocławiu; 2. A. Śl. w Gliwicach; 3. A. Śl. w Starogardzie Gd.

V. *W grupie małych aresztów śledczych kolejne miejsca uzyskały:*
1. A. Śl. w Bielsku Białej; 2. A. Śl. w Jeleniej Górze; 3. A. Śl. w Ostrowiu Wlkp.; 4. A. Śl. w Olecku; 5. A. Śl. w Płońsku.

VI. *W grupie oddziałów zewnętrznych kolejne miejsca uzyskały:*
1. OZ w Szczecinie-Pomorzanach; 2. OZ w Głogowie; 3. OZ w Czystohorbie.

We współzawodnictwie uczestniczyły również zatrudniające więźniów przedsiębiorstwa przywięzienne. Wytypowano 5 przedsiębiorstw przywięziennych.

Kolejne miejsca uzyskały: 1. Przedsiębiorstwo Obróbki Drewna Nr 6 w Potulicach, 2. Przedsiębiorstwo Konfekcji Odzieżowej Nr 1 w Grudziądzu, 3. Przedsiębiorstwo Obróbki Metalu Nr 3 w Płocku, 4. Przedsiębiorstwo Konfekcji Odzieżowej Nr 4 w Siedlcach, 5. Przedsiębiorstwo Konfekcji Odzieżowej Nr 5 w Fordonie.

Omawiając ogólnie przebieg współzawodnictwa trzeba stwierdzić, że ruch współzawodnictwa stanowił czynnik mobilizujący do podnoszenia poziomu pracy funkcjonariuszy we wszystkich zakładach karnych. Kierownictwa zakładów karnych i aresztów śledczych uważają, że współzawodnictwo znacznie pomogło im w prawidłowym wprowadzeniu w życie regulaminów wykonywania kary pozbawienia wolności i tymczasowego aresztowania oraz realizacji wytycznych Wydziału Administracyjnego KC PZPR.

Ta forma mobilizacji do podnoszenia wyników pracy pozwoliła funkcjonariuszom SW godnie uczcić 25-lecie PRL. Funkcjonariusze z wyróżnionych zakładów spotkają się na zlocie przodujących funkcjonariuszy SW w dn. 16 lipca br. w Popowie.

Sąsiedzi

Przegląd niemiecki

PRZED WYBORAMI

W ostatnią niedzielę września rb. Niemcy — Republika Związkowa wybiera swój szósty powojenny *Bundestag*. Uprawnionych do głosowania jest 38 milionów. O mandaty poselskie ubiegają się trzy partie reprezentowane w piątej kadencji, komuniści z ich przybudówkami i skrajni nacjonaliści — osławione NPD.

Partia komunistyczna zasadniczo jest zakazana w Republice Związkowej, lecz za cenę zobowiązań przestrzegania paragrafów konstytucji umożliwiono jej udział w wyborach.

Najważniejszą nieprzewidzialną zagadką wyborów jest ewentualność wejścia neo-nazistów do parlamentu. Drugą co do ważności zagadką są możliwe przesunięcia w liczbach mandatów Chadecji, Socjalistów i Wolnych Demokratów. Zdobycie mandatów przez komunistów uchodzi za nie wchodzące w rachubę.

Neo-hitlerowcy, NPD, taktykę wyborczą wiodą dwoma torami: na pierwszym głoszą lojalność wobec konstytucji i wielko-niemieckie narodowo-ojczyźniane hasła, na drugim — demonstrują młodzieńczą krzepę i totalistyczne metody, jak na przykład we Frankfurcie użycie specjalnie szkolonych „Oddziałów Porządkowych", uśmierzających oponentów sposobami wzorowanymi na oprawcach Hitlera.

Taktyka Chadecji, hołdując zasadzie, że w okresie przedwyborczym interesy partii mają pierwszeństwo przed sprawami państwa, zdecydowanie lawiruje „na prawo" i usiłuje zacierać granice dzielące ją od NPD.

Tą taktyką Chadecy usiłują pozyskać głosy wahających się nacjonalistów, którym nie całkowicie odpowiadają poczynania NPD, oraz wysiedleńców, których przywódca adwokat Reinhold Rehs opuścił szeregi socjalistów. Ta taktyka może także ułatwić po wyborach ewentualną koalicję rządzącą Chadecji z NPD.

Można uwierzyć, że tylko w zastosowaniu tej taktyki kanclerz Kiesinger stwierdzał niedawno: *„Wir aber wissen hier, dass die NPD nicht neonazistisch ist* — ale my tutaj wiemy, że NPD nie jest neo-nazistyczna", a marszałek

Bundestagu, pruskiego wzoru konserwatysta Kai Uwe von Hassel, wyjaśniał: „w NPD jest cały szereg zacnych ludzi którym idzie o stworzenie porządku". Ale czy tylko taktyką były dyktowane wypowiedzi, pokrywające się całkowicie z hasłami Adolfa von Thadden, jak na przykład:

— *Prezes CSU, F. J. Strauss:* „Zdecydowanie odpieramy twierdzenie o wyłącznej albo głównej winie Niemiec w wojnach światowych".
— *Poseł do Budenstagu Richard Jaeger, CSU:* „Kto porzuca niezachwianą prawnie pozycję nietykalności granic *Reichu* z 1937 roku ten marnotrawi życiowe prawa naszego narodu".
— *Poseł do Bundestagu Walter Becher, CSU:* „Przede wszystkim odmawiamy anulacji Umów Monachijskich, by nie legalizować zbrodni wysiedleń".

Niewątpliwie większość Chadeków nie porzuciła jeszcze tezy o wyłącznej reprezentacji wszystkich Niemców, a więc i zakurtynowych, nie zamierza uznać granicy na Odrze *ohne Gegenleistung*, czyli bez znacznych ustępstw z polskiej strony i — daleka jest jeszcze od usunięcia kości niezgody z Czechami, tj. od anulowania Umów Monachijskich.

Nowym czynnikiem wyborczym dla CDU/CSU jest osłabienie atrakcyjności szyldu chrześcijańskiego. W wyborach 1965 roku 36 % wyborców CDU stwierdzało, że chrześcijańskie nastawienie tej partii było dla nich czynnikiem decydującym. Obecnie odsetek tego motywu wynosi około ośmiu. Jednocześnie Episkopat Katolicki w maju rb. zdecydował po raz pierwszy po wojnie, nie publikować listu pasterskiego zalecającego wiernym poparcie CDU/CSU.

Prasa i instytuty badań opinii różnie rokują wyniki wyborów dla Chadecji. Od poniżej 40 % mandatów do absolutnej większości.

Socjaliści przystępują do wyborów w warunkach korzystniejszych niż w 1965 roku. Trzyletni udział SPD w rządzie przekonał szerokie warstwy Niemców o możliwości pomyślnego sprawowania rządów przez socjalistów. Upadło fałszywe hasło „rządy chadecji — albo chaos". Działalność ministra gospodarki, prof. K. Schillera, socjalisty, spowodowała że obecnie 32 % Niemców wyraża zaufanie do polityki gospodarczej socjalistów. Zaufanie do gospodarki Chadecji spadło ostatnio z 37 na 31 %. Odnośnie polityki zagranicznej, zaufanie do rządu socjalistów wzrosło wymownie w ostatnich trzech latach z 25 do 41 %, przy jednoczesnym spadku zaufania do polityki Chadecji z 36 na 24 %.

Śmiałym eksperymentem Socjalistów jest wyzbycie się w okresie przedwyborczym wpływu na związki uchodźców. Prezes tych związków, adwokat Reinhold Rehs, w trzech kadencjach socjalistyczny poseł do *Bundestagu, (Kultura* Nr 12/255), zmienił kurs polityczny i przed kilku miesiącami przeszedł do Chadecji. Gdyby wierzyć propagandzie związków uchodźców że posiadają ponad dwa miliony członków, zmiana kursu politycznego ich przywódcy winna odbić się dla SPD stratą przynajmniej miliona wyborców.

Ale mimo pomyślnych dla socjalistów warunków, przewidywania instytutów badawczych odmawiają im zdobycia absolutnej większości, przewidują jednak przyrost mandatów do ilości powyżej 40 %.

Taktyka wyborcza Wolnych Demokratów polega na zachowaniu pełnej swobody związania się po wyborach z którąś z wielkich partii. W marcu rb. Wolni Demokraci umożliwili kandydatowi socjalistów objęcie urzędu prezydenta Republiki Związkowej. Dr Gustav Heinemann został wybrany 512 gło-

sami Socjalistów i Wolnych Demokratów, przeciw 484 głosom Chadecji i 22 głosom NPD. (Do Zgromadzenia Narodowego, wybierającego Prezydenta Republiki, wchodzą wszyscy posłowie *Bundestagu* i przedstawiciele Sejmów Krajowych. Stąd 22 głosy NPD). W propagandzie przedwyborczej Wolni Demokraci podkreślają, że dzieli ich jednakowy dystans od obu wielkich partii.

Wolnym Demokratom instytuty badawcze przydzielają od ośmiu do dwunastu procent ogółu przyszłych posłów. Dla komunistów, łącznie z niewymienionymi tutaj grupkami, nikt nie przewiduje więcej jak trzy procent głosów, a więc żadnych mandatów.

Tak wyglądają spekulacje przedwyborcze. Jako pewnik można uważać, że dwie wielkie partie — Chadecy i Socjaliści — łącznie otrzymają około 80 % ważnie oddanych głosów. Ale stosunkowo znikoma ilość pozostałych głosów będzie w stanie wywrzeć przemożny wpływ na strukturę przyszłego rządu. Może spowodować kontynuację Wielkiej Koalicji, albo nawet rząd Chadecji poparty przez NPD.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 7 sierpnia 1969.

Wystąpienie Kriegela na plenum partii czeskiej w maju br.

Na dzisiejszym posiedzeniu Komitetowi Centralnemu przedłożone zostały wnioski o wykluczenie niektórych towarzyszy z plenum. Między innymi również ja mam być usunięty, co uzasadnia się tym, że głosowałem przeciwko układowi o czasowym pobycie wojsk sowieckich na terytorium naszej republiki. Stanowiło to jakoby wykroczenie wobec dyscypliny partyjnej. Chciałbym na ten temat przedstawić kilka uwag.

We wniosku o wykluczenie nie ma mowy o tym, który organ uchwalił ten układ i o ile wiem to na zebraniu partyjnym grupy posłów do parlamentu nie doszło do formalnego powzięcia uchwały w tej sprawie. Dlatego też chciałbym, aby prezydium szczegółowo wyjaśniło ten aspekt zagadnienia. Następnie chciałbym zwrócić uwagę na to, że dotychczas z KC nie został usunięty nikt spośród tych, którzy ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność lub są współodpowiedzialni za to, że dziesiątki niewinnych ludzi stopniowo oddawano w ręce kata, że tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi zostało na podstawie spreparowanych oskarżeń skazanych na kary wieloletniego więzienia i że wielu z nich zmarło za kratami nie doczekawszy się światła wolności. Dotychczas również nie został usunięty nikt spośród odpowiedzialnych za długoletni kryzys gospodarczy, który doprowadził do stanu dzisiejszego i że nic

nie mogą zmienić próby zrzucenia odpowiedzialności za ten stan rzeczy na kilka miesięcy ubiegłego roku. Moglibyśmy jednak rozważać jeden odcinek życia gospodarczego za drugim a także problematykę socjalną i pytać — kto zawinił i kto ponosi odpowiedzialność za obecny mało pocieszający stan rzeczy?

Przecież nie jest tajemnicą, że w tej sali zasiada szereg towarzyszy, którzy przez całe lata zajmowali odpowiedzialne kierownicze stanowiska w naszym życiu publicznym. Nie mogą oni teraz uchylić się od odpowiedzialności lub choćby współodpowiedzialności za to wszystko co nasze społeczeństwo tak zdecydowanie potępia.

Z zainteresowaniem słuchałem wczorajszego referatu towarzysza Krajczira i podziwiałem jego krótką pamięć. W materiałach KC jest mowa o krytycznej sytuacji gospodarczej. Czy towarzysz Krajczir nie sądzi, że będąc przez dwadzieścia lat ministrem, przez pewien czas wiceministrem i wiele lat członkiem KC, ponosi pełną odpowiedzialność za ten kryzys? Zasiadają tu również towarzysze — Hendrych, Szimunek, Lenàrt i wielu innych byłych funkcjonariuszy, którzy przez wiele lat kierowali krajem; czyżby nie ponosili żadnej odpowiedzialności za ten stan rzeczy? Towarzysz Hendrych był przecież przez długi czas drugą, a dzięki swej odpowiedzialności i wpływom — praktycznie pierwszą osobą w państwie. Manewr polegający na przerzuceniu całej winy na okres postyczniowy jest szyty zbyt grubymi nićmi. Chodzi o to, aby odpowiedzialność zrzucić na barki innych. Ten manewr jednak nie może się powieść.

Mam za mało czasu, aby poruszyć wielkie problemy, ale jestem przekonany, że wszyscy doskonale zdają sobie sprawę o co chodzi.

Z drugiej strony proponuje się zastosowanie ostrych sankcji za otwarte stanowisko wobec układu o czasowym pobycie wojsk sowieckich na terytorium CSRS. Jest rzeczą znaną, że odmówiłem złożenia podpisu pod tak zwanym protokołem moskiewskim. Odmówiłem dlatego, że w tym protokole widziałem dokument, który we wszystkich sprawach wiąże ręce naszej republice. Odmówiłem dlatego, że składanie podpisów odbywało się w atmosferze wojskowej okupacji republiki, bez konsultacji z konstytucyjnymi organami państwa i wbrew uczuciom ludu tego kraju. Kiedy Zgromadzeniu Narodowemu przedłożono do ratyfikacji układ o czasowym stacjonowaniu wojsk sowieckich na naszym terytorium, głosowałem przeciw niemu jako układowi niezgodnemu z Kartą ONZ, zasadami współistnienia na polu międzynarodowym i z postanowieniami Układu Warszawskiego. Ten układ o czasowym stacjonowaniu wojsk na naszym terytorium nie spełnia podstawowego warunku umowy — nie jest dobrowolny. Podpisywano go w atmosferze nacisku politycznego wywieranego z pozycji siły, w warunkach sprzecznych z zasadami współżycia narodów socjalistycznych i postanowieniami dokumentów międzynarodowych.

Podpisywano go w czasie, gdy na naszym terytorium przebywały obce wojska wyposażone w najnowocześniejsze środki tech-

niki wojskowej. Umowa nie była podpisana piórem, podpisano ją lufami dział i pistoletów maszynowych. W związku z tym pozwolę sobie zacytować fragment sowieckiego projektu nowej definicji agresji, który niedawno przedłożono w ONZ. W projekcie tym stwierdza się dosłownie:

> „Bezpośrednia lub pośrednia agresja zbrojna ma miejsce gdy dane państwo jako pierwsze użyje sił zbrojnych przeciwko innemu państwu, niezgodnie z celami, zasadami i postanowieniami Karty ONZ".

Dalej w tym tekście jest mowa, że:

> „... jakikolwiek z następujących czynów, o ile dane państwo popełniło go jako pierwsze, nawet bez wypowiedzenia wojny, będzie uważany za akt agresji..."

A między tymi czynami wymienia się:

> „bombardowanie lub ostrzeliwanie terytorium i ludności innego państwa, lub też atak na jego siły lądowe, morskie czy lotnicze".

Głosowałem przeciwko układowi jako poseł, zgodnie z uczuciami i wolą przeważającej części wyborców i obywateli tego kraju. Zresztą znane jest również negatywne stanowisko wobec okupacji Czechosłowacji, jakie zajęły zarówno niektóre partie komunistyczne będące u władzy jak też przeważająca większość partii komunistycznych w krajach kapitalistycznych. Wiadomo też, że stanowisko potępiające okupację Czechosłowacji przez Wojska Układu Warszawskiego poparły także zjazdy niektórych partii (Komunistyczna Partia Włoch). Nikt nie może zaprzeczyć twierdzeniu, że wojskowa interwencja w CSRS poważnie zaszkodziła międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu w oczach światowej opinii publicznej i była dowodem tego, że kraje socjalistyczne niezdolne są do rozwiązywania sporów na zasadach pokojowego współistnienia. Jest to podkreślenie obrazu głębokich sprzeczności w łonie całego ruchu komunistycznego, szczególnie wyraźnych w konflikcie chińsko-sowieckim i w różnicach poglądów występujących między niektórymi krajami Układu Warszawskiego a innymi krajami socjalistycznymi i wielką ilością partii komunistycznych. Okupacja CSRS przez wojska Układu Warszawskiego bez wątpienia osłabiła tendencje dezintegracyjne, występujące w Pakcie Atlantyckim a nawet wzmocniła w nim wpływ USA.

Pozwólcie mi w związku z tym na kilka uwag odnośnie dokumentu, związanego z przygotowaniami do narady moskiewskiej. Nasza delegacja i Prezydium KC żądają od delegacji innych partii, aby nie zajmowały się wydarzeniami sierpniowymi w CSRS, przy czym używa się nawet terminu „tak zwane wydarzenia czechosłowackie". Tym samym chce się zapewne dać do zrozumienia,

że sierpień 1968 roku w Czechosłowacji w ogóle nie był wydarzeniem. W projekcie rezolucji, przygotowanej na naradę moskiewską podkreśla się, że rozwój socjalizmu w jednym kraju jest sprawą całego ruchu. Jeśli tak jest, to nie możemy odmawiać innym partiom prawa wypowiedzenia się na temat wydarzeń sierpniowych. Właśnie w interesie całego ruchu leży, aby zdecydowane, jasne stanowisko uniemożliwiło powtórzenie się podobnych wydarzeń gdzie indziej. Nie chodzi przecież jedynie o sprawy czechosłowackie. Chodzi jednocześnie o to, czy jeden lub więcej krajów ma prawo wykorzystania przewagi, wypływającej z siły, w celu użycia przemocy wobec słabszego. Ten aspekt zagadnienia sprawia, że sierpień wykracza poza granice Czechosłowacji. Przecież nie przypadkiem sformułowano paragraf 131, rozdz. 4, str. 147 projektu międzynarodowego dokumentu narady moskiewskiej w sposób następujący:

> „Uczestnicy narady potwierdzają, że jednomyślnie stoją na stanowisku, iż podstawą wzajemnych stosunków między bratnimi partiami są zasady proletariackiego internacjonalizmu i wzajemnego poparcia, respektowania niepodległości, równouprawnienia oraz nie mieszania się do spraw wewnętrznych. Ścisłe przestrzeganie tych zasad stanowi niezbędny warunek rozwoju i partyjnej współpracy między bratnimi partiami w celu umocnienia jedności ruchu komunistycznego".

Warto byłoby zacytować jeszcze niejeden z paragrafów dokumentu, ale ograniczę się do tego jednego.

Odnośnie samego wniosku o wykluczenie mnie z plenum KC, chcę oświadczyć co następuje. Wniosek uważam za nieuzasadniony. Uważam, że związane są z nim cele sięgające dużo dalej, i nie dotyczące jedynie mojej osoby. Powszechnie wiadomo, że mimo szeregu proklamacji głoszących dalszą kontynuację polityki postyczniowej, rozwój wypadków ostatnich miesięcy i tygodni wywołuje obawy i wątpliwości. Cały szereg uchwał niższych organów partyjnych, przebudowa aparatu i bezwzględna czystka, przeprowadzana w różnych instytucjach i organach — prowadzi nas do sytuacji sprzed stycznia 1968 roku. Chodzi o szeroki proces, którego celem jest powrót do dawnych stosunków. Chodzi o dążenie do zalegalizowania sierpnia. Tymczasem — i sądzę, że kierowniczy przedstawiciele partii zdają sobie z tego sprawę — wzmaga się negatywne nastawienie społeczeństwa i to zarówno członków partii, jak też bezpartyjnych. Zwiększa się tempo rozwoju, prowadzącego do izolacji partii od społeczeństwa i kierownictwa od mas członkowskich. Postępuje proces przeobrażania się partii z moralnej i politycznej siły kierowniczej w instytucję prawie wyłącznie władczą.

Jeśli chodzi o moją dyscyplinę partyjną, to wykazałem ją, towarzysze, w ciągu ponad czterdziestu lat swej działalności w ruchu, w warunkach bardzo złożonych. Nie przyjmuję zarzutu braku

zdyscyplinowania i nie zgadzam się z wnioskiem o wykluczenie. Swoje stanowisko umotywowałem, aby zapobiec możliwości powstania dalszych błędów, za którymi głosowano już dość często na tej sali.

Historia ostatnich prawie dwudziestu lat jest bogata w wydarzenia tragiczne i stanowiące przestrogę na przyszłość. Wierzę, że każdy będzie głosował tak jak nakazuje mu własne sumienie.

Frantisek KRIEGEL

(Tłumaczył A. Znamierowski)

Apel do społeczeństwa

Drodzy współobywatele!

Zbliża się smutna rocznica przybycia „naszych przyjaciół". Husak, Indra, Bilak, Kolder i inni im podobni zdrajcy próbują ogłupić czeski i słowacki lud i zalegalizować rozpoczętą 21. VIII. 1968 r. okupację, jako prawny i niezbędny akt postępowania „naszych przyjaciół". Dlatego konieczne było odsunięcie z czołowych stanowisk w państwie takich jednostek, które za cenę utraty wolności i egzystencji broniły się przed akceptowaniem brudnych machinacji. Ci współcześni bohaterowie naszego narodu z drem Krieglem, Zatopkiem i Pavlem na czele, oraz wielu innych, nie zawahali się przed stawieniem jawnego oporu przeciw kombinacjom strougalovej i anerspergovej kliki, broniąc skutecznie prawdy i ujawniając faktyczne intencje „naszych gości".

Narody nasze nigdy nie zapomną ofiar swych drogich synów — Jana Palacha i Jana Zajica. Ich samoofiara nie może być zmarnowana.

My — robotnicy i studenci, postanawiamy pozostać wierni naszym ideałom, utrzymać braterską jedność i w pełni informować społeczeństwo o faktycznym stanie sytuacji wewnętrznej w kraju.

Poplecznicy Husaka umocnili swoją władzę i chcą doprowadzić kraj do sytuacji jaką próbowali narzucić nam okupanci w sierpniu ub. roku. Są jednak ciągle sami. 14.000.000 obywateli opuściło ich z żalem i rozgoryczeniem. Historia potwierdziła już wielokrotnie, że zdrada narodu nie popłaca, a jej rezultaty przypominają efekt rzutu bumerangiem. Jesteśmy przekonani, że już niedługo zdrajcy doczekają się właściwej zapłaty od tych, których chcieli zaprzedać. Nie możemy jednak pozostać bezczynni, nie powinniśmy tracić nadziei. Musimy pokazać całemu światu —

tak jak pokazaliśmy w tych sierpniowych dniach — że ani szykany ani gwałt nie złamią nas.

Musimy nadal pozostać zjednoczeni w naszej nienawiści do okupantów i zdrajców narodu.

W dniu smutnej rocznicy okupacji — 21 sierpnia 1969 roku — musimy światu przypomnieć haniebny czyn jakiego dopuścił się na nas Związek Radziecki. Nie możemy przeciwstawić się z bronią w ręku. Bronimy się więc nienawiścią i bezwzględną pogardą dla służalców Moskwy — Husaka i jego popleczników. Nie chcemy ogłaszać strajku generalnego, klika zdrajców wykorzystałaby ten fakt do podjęcia dalszych kroków ograniczających naszą swobodę. Należy jednak zwrócić uwagę całego świata, że nadal walczymy o socjalizm z ludzką twarzą. Dlatego postanowiliśmy ogłosić dzień 21 sierpnia DNIEM HAŃBY i zwracamy się do wszystkich współobywateli aby przez przestrzeganie wszystkich punktów naszego apelu pokazali światu, że pamiętamy i nie przebaczamy.

Wszyscy współobywatele naszych narodów powinni w dniu 21 sierpnia br. czynić co następuje:

1. W drodze do pracy zrezygnować z używania jakichkolwiek środków komunikacji — z wyjątkiem tych którzy muszą do pracy podróżować pociągiem. Drogę do pracy należy demonstracyjnie odbyć pieszo.
2. Zrezygnować z odwiedzenia kin i teatrów. Brak widzów umożliwi aktorom przyłączenie się do demonstracji co jest istotne dla tych aktorów, którzy w dzień smutku musieliby grać w wesołych sztukach.
3. Zrezygnujcie z jakichkolwiek zakupów w sklepach. Niezbędne artykuły spożywcze należy zakupić w przeddzień.
4. W miarę możności należy ozdobić groby tych którzy zginęli w czasie okupacji (od 21. VIII. 68).
5. Nie kupujcie w tym dniu żadnych dzienników ani czasopism.
6. Nie wstępujcie do żadnej restauracji ani kawiarni. Kawiarnie z dancingiem muszą być zupełnie puste aby członkowie orkiestr nie byli zmuszeni do grania w tym dniu wesołych melodii.
7. Należy ozdobić pomniki wszystkich sławnych postaci naszej historii.
8. O godzinie 12.00 pozostańcie na swoich miejscach w pięciominutowym bezruchu aby zademonstrować pamięć o rozpoczęciu okupacji i nowego terroru.
9. Wszystkie znajdujące się na ulicach pojazdy powinny również zatrzymać się o godz. 12 na 5 min. i stać z zapalonymi światłami.
10. W miarę możliwości informować znajomych i przyjaciół za granicą o przygotowywaniu protestu, wezwać ich do przeprowadzenia podobnych akcji na całym świecie. Zwracajcie się z apelem do instytucji o charakterze międzynarodowym aby dzień 21 sierpnia ogłosiły „dniem hańby".

Drodzy współobywatele!

Aby akcja ta przyniosła spodziewany rezultat należy postarać się aby niniejsza informacja dotarła do rąk jak największej ilości obywateli. Cenzura prasy nie daje możliwości ogłaszania naszego apelu. Postarajcie się więc aby ta wiadomość dotarła za waszym pośrednictwem do co najmniej pięciu Waszych znajomych do których macie zaufanie. Wierzymy, że nie zawiedziemy się na Was tak jak nie zawiedliśmy się na Was w sierpniowych dniach.

Z sowieckiej prasy

„Zdrada" — tak zatytułowany jest opublikowany w *Litieraturnoj gazietie* artykuł znanego publicysty Ernesta Henry. „Z punktu widzenia międzynarodowego, przestępstwo jakiego dopuszcza się klika pekińska, nie ma sobie równego w historii" — stwierdza dziennikarz sowiecki. Przypomina on najhaniebniejsze zdrady na przestrzeni dziejów poczynając od czasów najdawniejszych, aby znów powtórzyć: „Najstraszniejsza ze zdrad w historii". O co tu chodzi? Okazuje się, że „Waszyngton i Bonn wykorzystują w swej grze Pekin", „najdrapieżniejsze jastrzębie wśród jastrzębi", spadkobiercy Hitlera i Dullesa zamierzają obarczyć Chiny maoistowskie specjalną misją — mają one za zadanie napaść od tyłu na Związek Sowiecki i otworzyć tym samym „drugi wielki front przeciwko wspólnocie socjalistycznej".

Napisany w nieco histeryzującym tonie artykuł Ernesta Henry przekazuje w „literackiej" formie zasadnicze tezy rezolucji plenum KC KPZS, zwołanego od razu po zakończeniu Narady Partii Komunistycznych. W rezolucji też w sposób zwięzły ale niedwuznaczny zostało powiedziane: „KPZS prowadzić będzie nieustępliwą walkę z antyleninowską linią ideologiczną obecnych przywódców chińskich, z ich rozbijacką polityką i wielkomocarstwowym kursem w polityce zagranicznej. Zrobi ona wszystko, aby obronić przed każdą napaścią interesy budującego komunizm narodu sowieckiego". A więc interesom budującego komunizm narodu sowieckiego zagraża naród chiński również budujący komunizm.

14 czerwca gazety moskiewskie opublikowały obszerny Komunikat Rządu ZSSR o sowiecko-chińskim sporze terytorialnym. W porównaniu z poprzednim komunikatem sowieckim z 29 marca tym razem znacznie rozszerzona została historyczna argumentacja, potwierdzająca niezaprzeczalne prawo do półtora miliona kilometrów kwadratowych, do których, jakoby, pretendują Chiny.

Na czym polega istota argumentów strony sowieckiej? W komunikacie powiedziano przede wszystkim, że w czasach kiedy

zaczęły kształtować się stosunki wzajemne pomiędzy państwem rosyjskim a Chinami, północna granica Chin określona była przez Wielki Mur Chiński, który przebiegał w odległości tysiąca z górą kilometrów na południowy zachód od rzek Amur i Ussuri. Jak z tego wynika, ziemie przyłączone do imperium rosyjskiego były w ciągu kilku stuleci terenami pustymi i bezpańskimi. Walki, jakie miały miejsce na tym terytorium w pierwszej połowie wieku XVII toczyły się pomiędzy Rosją a Mandżurią, państwem w owych czasach od Chin niezależnym. Umowy rosyjsko-chińskie z lat 1858-1860 ustalające granicę zewnętrzną, zostały zawarte „jako umowy, które odpowiadały w przeszłości i nadal odpowiadają interesom narodów zamieszkujących dwa wielkie kraje sąsiednie".

Gazety chińskie opublikowały komunikat sowiecki i zaproponowały prasie sowieckiej ogłoszenie notatki informacyjnej chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 11 marca. Gazety sowieckie, jak zwykle, stronie przeciwnej głosu nie udzieliły.

Jakież są jednak argumenty chińskie? Przede wszystkim komunikat chiński nie zawiera żadnych rewindykacji terytorialnych. Chińczycy żądają czegoś innego. Domagają się uznania przez Związek Sowiecki umów z lat 1858-60 za wymuszone, a następnie podpisania z Chinami dobrowolnej umowy na podstawie istniejącej obecnie granicy. Pekin motywuje to żądanie tym, że Związek Sowiecki w swoim czasie (w pierwszych latach po rewolucji) sam uznał że umowy te są niesprawiedliwe i że straciły swą moc. Należy przyznać, że w pierwszych latach po rewolucji rząd sowiecki w celach propagandowych złożył niemało oświadczeń, sformułowanych z punktu widzenia prawnego nieściśle i mało precyzyjnie. Ale żądanie chińskie rewizji umów, zawartych przed stu laty, kiedy jedna ze stron była stroną zdecydowanie silniejszą, także nie grzeszy realizmem.

Lektura komunikatów rządu sowieckiego i chińskiego pozwala, jednakowoż na wysnucie niespodziewanego wniosku: spór terytorialny pomiędzy Chinami i Związkiem Sowieckim nie jest aż tak ostry jak chcą to przedstawić obie strony, wykorzystujące sztuczne napięcie dla swych celów wewnętrznych.

◆

Jednym z nielicznych dokumentów przyjętych jednomyślnie przez uczestników Narady Partii Komunistycznych była rezolucja o obchodach w związku ze 100-leciem urodzin Lenina. Jubileusz obchodzony będzie w kwietniu roku przyszłego, ale w Związku Sowieckim tak zwana „leniniana" osiągnęła już teraz szczyty mało w czym ustępujące kultowi Mao w Chinach. Ani jeden artykuł — od sprawozdania z połowów na wieloryby (których inicjatorem był, oczywiście, Włodzimierz Iljicz) poczynając a kończąc na... życiu seksualnym nie może obejść się bez cytatów z Lenina. A. Baskina pisząc, że seks winien posiadać prawo obywatelstwa w państwie komunistycznym cytuje w *Litieraturnoj*

gazietie słowa wodza rewolucji: „Komunizm powinien nieść ze sobą nie ascetyzm, ale radość życia i dobre samopoczucie wynikające także z pełni życia miłosnego".

Spekulacja na Leninie przybrała rozmiary wręcz fantastyczne, z koniunktury korzystają nie tylko zawodowi agitatorzy, ale też osobnicy nieuczciwi i po prostu głupcy. Można jeszcze wybaczyć, gdy robotnik, G. Kubrin — jak pisze *Prawda* — opierając się na leninowskich sformułowaniach o znaczeniu rozrachunku i kontroli w państwie socjalistycznym dochodzi do wniosku, że „w ciągu dwóch ostatnich miesięcy można by było zmontować dodatkowo około dwóch tysięcy kół do motocykli", ale kiedy historyk literatury, S. Tregub, przytaczając cytat z modnego obecnie Iwana Bunina, że „przyszłość Rosji należy niewątpliwie do nich, Majakowskich, Leninów" zapomina przy tym dodać, że słowa te wzięte zostały z dziennika Bunina zatytułowanego „Przeklęte dni", w którym pisarz twierdzi że nie widzi dla Rosji żadnej przyszłości — to podobny zabieg zakrawa na prawdziwe fałszerstwo.

Tego rodzaju wybryki zaniepokoiły organizatorów kampanii. Polecono powstrzymać nadgorliwców-„leninowców". Poddana została, na przykład, krytyce książka P. Makruszenki pt.: „Zabawy Wołodi Uljanowa", która ukazała się w wydawnictwie „Malec" i przeznaczona jest dla dzieci w wieku przedszkolnym. P. Makruszenko twierdzi, że wszystkie zabawy dziecięce wymyślił mały Lenin — Wołodia Uljanow, który tak oto (według Makruszenki) uczył dzieci bawić się w „koniki": „Powinieneś umieć podporządkować sobie konia. Chcąc zmusić konia do pracy musisz obchodzić się z nim łagodnie, a nawet częstować go łakociami".

Krytyce poddano również opublikowaną w miesięczniku *Oktiabr* sztukę o Leninie pt.: „Macie głos, towarzyszu Mauzer" napisaną przez młodego dramaturga Jurija Graczewskiego do spółki z czołowym krytykiem literackim *Oktiabria* Jurijem Judaszkinem.

N. Kład, w *Litieraturnoj gazietie* zarzuca autorom sztuki błędy chronologiczne, przekręcanie faktów oraz nieścisłości w cytowaniu Lenina. Ani słowem jednak nie wspomina o tym, że Lenin we wspomnianej sztuce jak dwie krople wody podobny jest do Stalina — każe aresztować każdego, kto się z nim nie zgadza, wypędza ze Związku Sowieckiego filozofów i pisarzy, dekretuje gusty literackie. Najbardziej oddany mu człowiek nosi w sztuce pseudonim „Mauzer". Właśnie jemu oddaje głos Lenin — „Mauzer" pracuje w CZEKA.

Sztuka jest jak najbardziej aktualna: na kongresie Kominternu Lenina popiera przedstawiciel Niemiec (to znaczy poprzednik Ulbrichta), a dyskutuje z nim — przedstawiciel Włoch (poprzednik Longo?). W sztuce są także chóry — pod koniec przedostatniej sceny chór śpiewa np. wesołą piosenkę o CZEKA, gdzie „jak dostaniesz się, już nie wrócisz", a pod koniec dziewiątej, ostatniej sceny „Międzynarodówkę".

Pikantny szczegół. Artykuł krytyczny w *Litieraturnoj gazietie* pojawił się wkrótce po tym jak na wspomnianą sztukę zwrócił uwagę felietonista ukazującej się w Nowym Jorku gazety *Nowoje russkoje słowo*. Argus, co prawda, podkreślił przede wszystkim nieudolność sztuki twierdząc, iż podpisało ją dlatego aż dwóch autorów, gdyż jedna osoba nie potrafiłaby udźwignąć odpowiedzialności za podobne brednie".

Sztuka jest oczywiście dziełem grafomanów, ale nie pozbawiona jest głębszej wymowy: jeśli nawet Lenin opowiadał się za cenzurą, za aresztami, występował przeciwko sztuce nowoczesnej...

◆

Był okres kiedy główne nurty w życiu kulturalnym Związku Sowieckiego reprezentowały dwa czasopisma — liberalny *Nowyj Mir* i konserwatywny — *Oktiabr*. Obecnie sytuacja uległa zmianie. *Nowyj Mir* więdnie pod ciosami cenzury (do końca lipca czytelnicy otrzymali wszystkiego 5 numerów miesięcznika), zaś *Oktiabr*, skompromitowany jako ślepy obrońca stalinizmu przestał zadowalać nawet konserwatystów. Do najbardziej wpływowych czasopism należy ostatnio *Młoda Gwardia*. W kolegium redakcyjnym tego organu KC Komsomołu zasiada grupa poetów i pisarzy, wyrażających poglądy które można by zwięźle określić jako nacjonalistyczne. W zespole redakcji *Młodej Gwardii* jest Władimir Sołouchin, Wasilij Fiodorow, Władimir Chwilichin. Poglądy tej grupy w sposób najbardziej wyczerpujący przedstawił krytyk literacki W. Czałmajew w artykule „Nie da się tego uniknąć". Artykuł ten zyskał szeroki rozgłos i wywołał wiele sporów. Spory te dotyczyły jednak szczegółów, a nie myśli zasadniczej. Przewodnią zaś myślą Czałmajewa, tym czego, jak twierdzi, uniknąć się nie da — jest problem odrodzenia ducha rosyjskiego, któremu przeszkadza w pełnej manifestacji *czużebesje* — diabelska pasja do wszystkiego co cudzoziemskie. Ideologia ta nie jest, oczywiście, czymś nowym. Nowym natomiast wydaje się to, że Czałmajew otwarcie i wprost mówi, iż „wielki kraj nie może żyć bez głębokiego patosu, bez entuzjazmu wewnętrznego, gdyż inaczej grozi mu drętwota i uwiąd". Nie ulega wątpliwości, że Czałmajew nie uważa oficjalnej ideologii za zdolną obudzić ten „entuzjazm wewnętrzny".

Źródeł odnowy Czałmajew szuka w twórczości ideologa jedności słowiańskiej, Chorwata Jurija Križanicza, który żył w Rosji w wieku XVII, w kazaniach przywódcy rosyjskich raskolników — protopopa Awwakuma, w ideologii Konstantina Leontiewa, wybitnego myśliciela wieku XIX, który zbawienie Rosji upatrywał w odrodzeniu się kultury bizantyjskiej, silnej władzy monarchistycznej i chrześcijaństwa apostolskiego oraz w odrębności narodowej. Rezygnując całkowicie z tak zwanego klasowego podejścia do historii Czałmajew pisze: „Przecież i epoka pańszczyźniana i kapitalizm — wszystko to tylko wątła łupina w oceanie, na której nie da się pomieścić tysiącletniej narodowej wciąż odradzającej się Rusi". Można by z łatwością kontynuować wyliczanie

formacji historycznych i do poprzednich dodać także — socjalizm.

Pierwszy artykuł Czałmajewa ukazał się w roku 1968 (*Młoda Gwardia*, nr 9). Za nim pojawiły się następne, w których autor rozwija swe myśli. Artykuły zwolenników Czałmajewa drukowane są zarówno w *Młodej Gwardii*, jak i w *Woprosach litieratury*, w tygodniku *Smiena* i w miesięczniku *Nasz sowriemiennik*. Wspólną cechą charakterystyczną tych materiałów jest podkreślanie samoistności charakteru rosyjskiego, jego wyższości w stosunku do innych narodów świata. Z powyższymi tezami próbuje polemizować *Nowyj Mir*.

„Na łamach gazet i czasopism — pisze w *Nowym Mirze* I. Diedkow — roi się od sformułowań: „głos ziemi", „twardy grunt życia narodowego", „wielkość duszy rosyjskiej", „duch narodowy", „arystokratyzm narodu", „rosyjskie, ojcowskie", „świątynia życia narodowego", „patriotyzm duszy narodowej". Diedkow cytuje poetę Walentina Sidorowa. Parafrazując słowa Puszkina o Piotrze I, który „przerąbał okno do Europy", Sidorow oświadczył: „Okno to było bardziej potrzebne Europie aniżeli nam". „Istnieje monopol na handel alkoholem, tytoniem, na handel prawdą — konkluduje Diedkow — istnieje też monopol na patriotyzm".

Właśnie obawą, aby nie być uznanym za złego patriotę, znajdującym się do tego pod wpływem Zachodu, tłumaczyć należy brak poważnych, krytycznych dyskusji z wyrazicielami nacjonalistycznych, „patriotycznych" poglądów. Tym bardziej, że propaganda oficjalna korzysta bardzo często z tych samych nacjonalistycznych, szowinistycznych haseł, z lekka zawoalowanych obowiązkowymi sloganami o internacjonalizmie proletariackim.

Względna swoboda z jakiej korzystają „patrioci" pozwala im na publikowanie materiałów naruszających — zdawałoby się — same podstawy partyjnej ideologii. Dość wspomnieć „Czarne deski" Władimira Sołouchina (miesięcznik *Moskwa*) — pełen zachwytu hymn na cześć ikony cerkwi prawosławnej.

W wieku XIX minister carski Uwarow sformułował słynną triadę, wymienił „trzech lewiatanów", będących podstawą państwa rosyjskiego teraz i w przyszłości: samodzierżawie, prawosławie, „narodnost'". Na podstawie publicystyki ukazującej się w czasopismach młodzieżowych można by wysnuć wniosek, że należy jeszcze tylko przywrócić prawosławie jako oficjalną religię, aby triada Uwarowa znów zmartwychwstała.

◆

Niezwykły wzrost zainteresowania religią w Związku Sowieckim przejawia się w różnorodnych, często nieoczekiwanych formach. Jedną z najbardziej ciekawych prób połączenia ciągot religijnych z pasjonowaniem się najmodniejszą z nauk — astronautyką — podjął filolog-docent W. Zajcew. W miesięczniku *Bajkał* (nry 5-6/1967, nr 1/1968) — w artykule „Bogowie przychodzą z kosmosu" W. Zajcew przedstawił swoją hipotezę o źródle chrześcijaństwa. Twierdzi on, że przed dwu tysiącami lat na zachód, albo też na północny zachód od Egiptu wylądował statek kosmiczny, z którego zstąpił na ziemię Jezus Chrystus. Zajcew zasadnicze argumenty czerpie z Biblii. Gwiazda Betleemska — to właśnie lądujący statek kosmiczny, słowa Chrystusa — „z nieba zstąpiłem", „królestwo moje nie z tego świata", „królestwo moje na niebiesiech — należy rozumieć dosłownie — „na niebiesiech" — znaczy w kosmosie.

Naukę chrystusową, jej humanizm, szlachetność, filolog sowiecki tłumaczy właśnie nieziemskim pochodzeniem Nauczyciela. Według Zajcewa w owych czasach ludzie na Ziemi niezdolni byli do stworzenia religii tak humanitarnej jak chrześcijaństwo.

Hipotezę Zajcewa krytykował w czasopiśmie *Sowietskij Sojuz* (nr 11/68) znany uczony, akademik Fiesienkow, który dowiódł że nie ma żadnych podstaw do mniemania, iż Ziemię odwiedził statek kosmiczny.

Niedawno do hipotezy Zajcewa powróciła gazeta *Izwiestia*, nazywając autora „obiektywnym sprzymierzeńcem teologów". To już jest poważne oskarżenie. Ciekawy jest przy tym fakt, że artykuł wydrukowany w niewielkim czasopiśmie syberyjskim trzeba demaskować w *Izwiestiach* ukazujących się w nakładzie 8 milionów egzemplarzy. Nie należy się zdziwić jeśli wkrótce pojawi się w Związku Sowieckim nowa sekta — sekta kosmicznych chrześcijan.

◆

Periodyk *Sowietskoje gosudarstwo i prawo* (nry 4-5/1969) opublikował obszerny materiał poświęcony tzw. „Sprawie Abla" — relacjonujący historię aresztowania w Stanach Zjednoczonych szpiega sowieckiego, pułkownika Rudolfa Abla i jego wymiany na pilota amerykańskiego Powersa.

Materiał ten, który w postaci skróconej publikuje również *Niedziela* (niedzielny dodatek do *Izwiestij*) jest godny uwagi przede wszystkim dlatego, że Związek Sowiecki po raz pierwszy przyznaje, iż nie tylko w czasie wojny, ale również i w dobie pokojowej korzysta z usług szpiegów. Oczywiście, jest to sprawa powszechnie znana, ale jak wiadomo, przyznanie się jest dowodem koronnym.

Ponad siedem lat Abel kierował sowiecką siatką szpiegowską w Stanach Zjednoczonych, następnie został wydany przez jednego ze swych współpracowników i aresztowany latem roku 1957. Zarówno pułkownika jak i autora eseju o nim najbardziej oburza to, że szpieg aresztowany został przy naruszeniu 4-ej poprawki do konstytucji amerykańskiej, głoszącej ochronę praw jednostki, mieszkania, papierów i dobytku obywateli przed bezpodstawnymi rewizjami i aresztowaniami. Mianowicie agenci FBI, którzy wtargnęli do pokoju hotelowego, gdzie mieszkał Abel, nie

mieli przy sobie nakazu aresztu. Nie bardzo zadowolony był Abel również z więzienia, chociaż przyznaje, że uwzględniając jego zainteresowania malarskie „urządzono mu tam małe, prywatne atelier artystyczne".

Adam KRUCZEK

Harvardzki Ośrodek Ukraiński

Ubiegłego roku akademickiego zainaugurowano pierwsze wykłady z historii Ukrainy w Harvardzkim Uniwersytecie. Można je było zorganizować dzięki temu, że udało się zebrać wyłącznie ze składek ukraińskiej emigracji w Ameryce sumę 600.000 dolarów, potrzebną na ufundowanie katedry, pierwszej tego typu na terenie Stanów Zjednoczonych.

Inauguracja tych wykładów to tylko pierwszy etap ambitnej, szeroko zakrojonej akcji, mającej na celu stworzenie w Harvardzie dużego ośrodka ukrainoznawstwa, największego poza granicami Ukrainy. Planuje się utworzenie trzech katedr: historii, literatury oraz języka, a także i naukowo-badawczego instytutu na wzór istniejących już w Harvardzie Russian Research Center czy Middle East Center. Plany te realizowane będą w miarę napływu nowych funduszów ze składek społeczeństwa ukraińskiego.

Pierwotne plany były dużo skromniejsze. Na kongresie Związku Ukraińskich Studenckich Stowarzyszeń Ameryki (SUSTA) w Cleveland w 1957 r. uchwalono stworzenie Funduszu Katedry Ukrainoznawstwa (FKU), który 19 września 1958 r. został zarejestrowany jako Ukrainian Studies Chair Fund, Inc. Prezesem Funduszu obrano Stepana Chemycza, podówczas magistranta Columbia University. Studenci zaczęli zbierać datki, przeznaczając je wyłącznie na Fundusz; nic z zebranych pieniędzy nie miało prawa pójść na koszta administracyjne, które studenci pokrywali we własnym zakresie.

Rezultaty zbiórki były początkowo nikłe. Być może, zawiniły tu pewne niejasności pierwotnego projektu. Nie sprecyzowano np. w jakim uniwersytecie chciano ufundować katedrę. Fakt ten, połączony z „nieosiągalnie wysoką sumą" 500.000 dolarów, jakiej wówczas wymagano dla utworzenia katedry, wywołał sceptycyzm, a nawet opozycję ze strony ewentualnych fundatorów. Największa jednakże słabość tkwiła w pierwotnym sformułowaniu zadań katedry. Program minimum pociągał za sobą również skromne cele planowanej katedry: elementarne *(survey)* kursy z historii Ukrainy i innych nierosyjskich narodów ZSSR dla studentów w dziedzinie „Soviet area studies", pełny czteroletni program *college*'u dla przyszłych kadr nauczycieli ukraińskich przedmiotów

w szkołach parafialnych i wieczorowych, szereg kursów z wybranych dziedzin dla studentów, interesujących się ukraińską problematyką.

Chociaż w studenckich ulotkach i ogłoszeniach uciekano się do haseł, mających wywołać *shock effect* wśród Ukraińców („Ukraińcy są Rosjanami", „Ukraiński język to rosyjski dialekt"), projekt takiej popularyzatorskiej katedry, ograniczającej się do nauczania na dość elementarnym poziomie, okazał się niedostatecznie przekonywujący i wywoływał zastrzeżenia. Często na łamach prasy emigracyjnej dawano wyraz wątpliwościom, czy rzeczywiście trzeba wkładać tak wielką sumę pieniędzy w katedrę, która nie wiadomo czy będzie miała studentów. A jeżeli już znajdzie się pewna ilość zainteresowanych osób, to — argumentowano — któryś z uniwersytetów sam z własnych funduszów zorganizuje studia tego typu. Wysuwano także cały szereg innych propozycyj, jak ewentualne przekazanie funduszów poszczególnym ukraińskim uczonym emigracyjnym już to pracującym prywatnie, już to w emigracyjnych instytucjach. Projekt katedry, nastawionej przede wszystkim nie na pracę badawczą, ale na popularyzację wiedzy o Ukrainie, nie mógł zadawalająco odpowiedzieć na te pytania i wątpliwości.

Mimo to kampania zbierania funduszów powoli ale systematycznie postępowała naprzód. Do r. 1961 zebrano tylko 7.000 dolarów, ale w tym właśnie roku wpłynęła dodatkowo suma 28.000. Od tego czasu datuje się stały wzrost sum wpłacanych: w r. 1962 — 21.000, w r. 1963 — 28.000, w r. 1964 — 36.000. Z końcem r. 1967 suma wynosiła już 282.500 dolarów. Rezultaty takie zawdzięcza się ofiarności osób zbierających składki: studentów, ludzi prywatnych, a głównie szczególnie oddanego sprawie S. Chemycza, jego żony Marii, oraz sekretarza FKU Bohdana Tarnawskiego.

W r. 1967 sprawa FKU uległa radykalnej zmianie. Dn. 10 marca Omeljan Pritsak, profesor turkologii i ukrainoznawca w Harvardzie, wygłosił odczyt w dyskusyjnym Klubie Okrągłego Stołu w Nowym Jorku na temat: „Organizacja i zadania ukraińskiej nauki w Stanach Zjednoczonych". W odczycie tym opublikowanym później w miesięczniku *Suczasnist'* (kwiecień 1967), Pritsak surowo ocenił współczesny stan ukraińskiej nauki na emigracji, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych: „Źródła ukraińskiej nauki wysychają. Każdy nowy etap na szlaku do Stanów Zjednoczonych podczas i po drugiej wojnie światowej przynosił nowe obniżenie poziomu nauki. Kryteria zawodu naukowca coraz bardziej się zacierają. Miejsce uczonych zajmują zdeklasowani uczeni albo organizatorzy (w angielskim języku istnieje na to określenie *operator)*. Zamiast śmiałego odkrywczego porywu mamy ikonografię. Zamiast kontaktu ze światem — nieukraińskim światem naukowym — coraz silniej zaznacza się izolacja, getto. Zamiast walki o nowe naukowe horyzonty — walka o całkiem nierealne, fantastyczne tytuły. Zamiast wychowywania młodych pokoleń — hipertrofia organizacji..."

Jako alternatywę, która zadawalałaby wymagania naukowo-

badawczej działalności we współczesnym świecie, Pritsak przedstawił swój plan ukraińskiego ośrodka naukowego przy jednym z głównych amerykańskich uniwersytetów. Plan ten przewidywał trzy stałe „wyposażone" *(endowed)* katedry, poświęcone studiom historii, literatury i języka ukraińskiego. Jak Pritsak słusznie zauważył, ukrainoznawstwo nie może istnieć jako jedna uniwersytecka dyscyplina i brak tej dyferencjacji zadecydował o nienaukowym charakterze pierwotnej koncepcji. Ufundowanie tych trzech katedr zabezpieczałoby im ciągłą działalność nawet w wypadku braku rekrutacji studentów w jakimś roku. Dodatkowo Pritsak proponował także utworzenie kosztem dwóch milionów dolarów Instytutu Naukowo-Badawczego, związanego z katedrami. Taki ośrodek stworzyłby konkretne możliwości pracy w dziedzinie ukrainistyki dla wszystkich zainteresowanych studentów. Również kontakty z Ukraińską Akademią Nauk w Kijowie, wymiana naukowa (profesorów, naukowych działaczy) poszerzyłaby bazę i naukowe możliwości ośrodka. Prof. Pritsak twierdził, że plan ten wydający się fantastycznym jest w samej rzeczy realny: „jeżeli ukraińskie społeczeństwo emigracyjne zarzuciłoby huczne i bezpłodne uroczystości i skoncentrowało swoje wysiłki, to w przeciągu kilku lat można by ten plan zrealizować i przyszłość ukraińskiej kultury w kraju i w diasporze byłaby zapewniona".

Efekt tego przemówienia był bardzo silny. Latem 1967 r. egzekutywa FKU stworzyła Radę Naukową (zgodnie z planem opracowanym przy założeniu FKU), której zadaniem było wybranie uniwersytetu, oraz przeprowadzenie w tym celu pertraktacji. W skład Rady Naukowej, złożonej z ukraińskich uczonych w Ameryce, weszli: przewodniczący — Pritsak, członkowie — M. Bohatiuk, M. Chirowski, Jurij Szevelov, oraz sekretarz — Y. Bilinsky. W niedługim czasie wybór uniwersytetów ograniczył się do dwóch, Harvardu i Minnesoty. Pomimo że University of Minnesota wymagał mniej pieniędzy, bezkonkurencyjna pozycja Harvardu, jego zasoby, biblioteki, archiwa przeważyły szalę i 30 grudnia Pritsak otrzymał upoważnienie do zawarcia umowy z Harvardem. Podpisano ją 22 stycznia 1968 r., w rocznicę pięćdziesięciolecia ogłoszenia niepodległości Ukrainy. Fundusze przekazane w tym czasie Harvardowi wynosiły około 280.000 dolarów.

W ciągu następnych ośmiu miesięcy zebrano jeszcze 340.000 dolarów. Ukraińskie społeczeństwo emigracyjne, które dotąd dość obojętnie traktowało FKU, przeszło w stan niemal że ogólnej egzaltacji. Prasa ukraińska systematycznie ją podsycała, ogłaszając coraz to nowe listy ofiarodawców i fotografie, ilustrujące wręczanie czeków na większe sumy. Powstawały grupy spontanicznych ofiarodawców, jak w Chicago, gdzie z inicjatywy dra Mułły pięćdziesiąt osób równocześnie złożyło po tysiącu dolarów. Jednak w ogromnej większości, bo 98 procent wypadków, sumy składane nie były wysokie; 100 dolarów stanowiło minimum, jakie FKU przyjmowało.

W lutym 1968 r. dziekan Uniwersytetu Harvardzkiego Franklin L. Ford oficjalnie ukonstytuował Komitet Katedry Studiów Ukraińskich (Committee on Ukrainian Studies) w składzie: prof. Pritsak — przewodniczący, profesorowie — Horace Lunt (językoznawstwo słowiańskie), Richard Pipes (historia), Ihor Szewczenko (bizantologia), Wiktor Weintraub (literatury słowiańskie). Komitet ten ma się zająć zorganizowaniem Katedry włącznie z rekrutacją sił profesorskich oraz redagowaniem serii wydawnictw naukowych, o których niżej. Uniwersytet zaakceptował koncepcję trzech katedr, a fundusze, jakie zostały mu przekazane, przyjął jako zadatek na te katedry. Postanowiono również do czasu obsadzenia katedr odpowiednimi stałymi siłami zapraszać tzw. *visiting professors*. Pierwszym takim gościnnym profesorem jest Oleksander Ohłoblyn, były profesor Kijowskiego Uniwersytetu, który w ubiegłym roku akademickim prowadził wykłady z historii i historiografii okresu państwa kozacko-hetmańskiego. Będzie on kontynuował wykłady w pierwszym semestrze nadchodzącego roku; w drugim semestrze obejmie je prof. Lew Okinszewicz, również historyk kijowski. Przewiduje się także w najbliższym czasie wykłady z literatury.

Suma pieniędzy zebranych na harvardzki ośrodek ukrainoznawstwa dobiega obecnie do wysokości 750.000 dolarów, tzn. że istnieją już w pełni fundusze na ufundowanie jednej katedry i około 150.000 dolarów na ufundowanie drugiej. Z tej ostatniej sumy około jedną czwartą stanowią tzw. *matching funds*, fundusze, które niektóre duże amerykańskie korporacje wpłacają, w danym wypadku nawet w stosunku dwa do jednego, na takie naukowe cele, na jakie składają się robotnicy danej korporacji. Jeśli np. ukraiński robotnik zakładów Forda w Detroit wpłaci na FKU 100 dolarów, zakłady Forda dopłacą na tenże cel 200 dolarów.

Z procentów z zebranych sum nie tylko opłaca się wykładowców, ale też zorganizowano szereg akcyj, mających na celu stworzenie w Harvardzie poważnego i naukowo płodnego ośrodka ukrainistyki. W tym celu uzupełnia się zbiory ukrainiców biblioteki uniwersyteckiej. Zamówiono komplety mikrofilmów lokalnych czasopism ukraińskich. Na okres najbliższych dziesięciu lat przewidziano na zakup książek i mikrofilmów sumę 50.000 dolarów. W przyszłości planuje się także mikrofilmowanie ukraińskich archiwaliów.

Ważne miejsce w planach ośrodka zajmuje rekrutacja młodych naukowców. Stworzono fundusz stypendialny dla studentów, chcących specjalizować się w ukrainistyce. Odpowiednio uzdolnionych kandydatów ma wyszukiwać Rada Naukowa.

Nade wszystko zajęto się zorganizowaniem działalności wydawniczej. Zaprojektowano wydawnictwo pod nazwą *Harvardzka Seria Studiów Ukraińskich — Harvard Series in Ukrainian Studies*. Plan wydawniczy serii przewiduje na rok 1969-70 opublikowanie około dwudziestu pięciu tomów. Program obejmuje różnego rodzaju publikacje. Seria obejmie więc przedruk podstawowych zbiorów źródeł historycznych i literackich, z reguły wy-

czerpanych, często należących do białych kruków rynku księgarskiego. Przedruki te będą fototypiczne. Każdy jednak tom poprzedzony zostanie wstępną rozprawą w języku angielskim oraz każdy z nich zostanie zidenksowany. Dla przykładu wymienić można w tej grupie takie wydawnictwa jak pięć tomów ukraińskich apokryfów, wydanych przez Iwana Frankę we Lwowie w latach 1896-1910, które obecnie pojawią się z przedmową prof. Czyżewskiego z Heidelbergu. Do tej samej kategorii należą też dwa tomy krytycznego wydania ukraińskich pieśni epickich, dum, w opracowaniu Kateryny Hruszewśkiej. Drugi tom tego wydania został skonfiskowany tuż po ogłoszeniu w r. 1931 i dochował się jego tylko jeden egzemplarz w publicznych bibliotekach. Przedruk uzupełniony będzie o angielskie przekłady dum i zaopatrzony we wstęp pióra prof. Lorda z Harvardu. Spośród innych publikacyj tego typu wymienić można jeszcze tom ukraińskich dokumentów z XIV i pierwszej połowy XV wieku, który pierwotnie wydany został w r. 1928 przez Ukraińską Akademię w Kijowie w nakładzie dwustu egzemplarzy, przedruk trzytomowego podstawowego dzieła podręcznego, *Opisania Staroj Małorosii* Aleksandra Łazarewskiego, czy najstarszej kroniki kozackiej, znanej jako *Letopis samowydca.*

Druga grupa to przedruki ważnych opracowań naukowych. Tytułem przykładu można tu wymienić historię ukraińskiego przemysłu Ohłoblyna. której nb. tom trzeci, wydrukowany w Kijowie w r. 1931, nigdy nie został puszczony w obieg księgarski, będzie więc na dobrą sprawę nowością wydawniczą. Tutaj należeć też będą tomy ogłoszonych w czasopismach a nigdy nie zebranych w wydaniach książkowych po dziś dzień ważnych studiów naukowych. Taką publikacją będzie tom studiów zmarłego w r. 1944 wybitnego językoznawcy Wasyla Simowycza, opracowany przez prof. G. J. Szevelova z Columbia University.

Obok przedruków seria przyniesie też i nowe studia w języku angielskim. Zapowiedziano m.in. książkę Pritsaka o *Słowie o wyprawie Igora* jako dokumencie historycznym, Łuckiego o Gogolu i Szewczence, Tarnowskiego o wersyfikacji Szewczenki. Zapowiedziano też nowe wydanie krytyczne żywotów św. Konstantyna i Metodego w opracowaniu Ihora Szewczenki, które pierwsze przyniesie analizę tego zabytku z punktu widzenia bizantynologii.

Na dalszą metę planowane jest również wydawanie rocznika ze studiami naukowymi oraz bieżącej bibliografii ukrainistyki.

Wszystkie te projekty, częściowo już zrealizowane, stwarzają zupełnie nowe możliwości rozwoju ukraińskiej nauki na Zachodzie.

O religii bez namaszczenia

List otwarty do chrześcijan

Drukujemy poniżej dłuższy ustęp z książki znanego pisarza Alfreda Fabre-Luce, noszącej tytuł „Lettre ouverte aux chrétiens" (List otwarty do Chrześcijan). Fabre-Luce jest pisarzem, myślicielem, filozofem. Gdzie może, uprawia kontestację — w polityce, socjologii, filozofii, religii — nie po to by szerzyć zamieszanie, nie po to by obalać uświęcone bóstwa czy tradycje, lecz po to by budzić zaspanych, otwierać nowe perspektywy, rzucać nowe myśli. Tam gdzie przeszedł, na spalonym gruncie, wyrasta świeża, bujna trawa.*

Fabre-Luce urodził się w Paryżu 16 maja 1899, a mając dwadzieścia jeden lat był już magistrem prawa, historii, filozofii i posiadał dyplom Szkoły Nauk Politycznych. Po krótkiej karierze w dyplomacji, poświęca się całkowicie pisarstwu. Po ostatniej wojnie podejmował w zakresie politycznym akcję, która postawiła sobie jako cel zjednoczenie Europy. Z ostatnich jego książek, które zresztą miały wszystkie ogromne powodzenie, warto wymienić przede wszystkim jego biografię krytyczną o generale de Gaulle (Le plus illustre des Français) *oraz dwa znakomite eseje socjologiczne* Six milliards d'insectes *(Sześć miliardów insektów) i* La mort a changé *(Śmierć zmieniła się). Fabre-Luce spędził niedawno dłuższy czas w Chińskiej Republice Ludowej skąd przesyłał dla pisma „Le Monde" niezmiernie interesujące reportaże. Fabre-Luce nie należy do żadnej partii, do żadnego ugrupowania, ceni tylko obóz ludzi myślących.*

P. Z.

* Editions Albin Michel, Paris, 1969.

Po tej wizycie u „przeciwnika" łatwiej nam będzie poszukać odpowiedzi na pytanie, w jakiej mierze chrystianizm przyczynić się może do rozwiązania wielkich i żywotnych problemów naszej epoki.

Każde życie — to najpierw narodziny. Dyskusja jaka toczyła się latem 1968 roku na temat „pigułki" była czymś w rodzaju ilustracji problemów, w obliczu których stoi dzisiaj Kościół. Fakt, że wybór między różnymi metodami zapobiegania narodzinom mógł wywołać tak szeroką dyskusję, że można było obawiać się, że sprawa ta pociągnie za sobą niebezpieczne konsekwencje dla rozwoju ekumenizmu, że wierni, a nawet księża, zastanawiają się nad możliwością opuszczenia z tego powodu Kościoła, jest niewątpliwie zjawiskiem, które na pierwszy rzut oka musi budzić zdumienie. W rzeczywistości, encyklika *Humanae Vitae* otworzyła nam oczy. Pokazała bowiem rozmiary oporu na jaki natrafia „duch soboru", wysunęła problem struktur Kościoła, przyśpieszyła rachunek sumienia chrześcijan nadając mu charakter dramatyczny.

Sprawa emancypacji seksualnej wywołuje dzisiaj zastrzeżenia. Ankiety przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych stwierdzają, że stała się ona przyczyną zaburzeń umysłowych. Czy chodzi tu jednak o prawdziwą emancypację? W wielu wypadkach, tak zwane dziewczyny „uświadomione" ulegały naciskowi pewnej mody czy terroru intelektualnego, a nie potrzebie zaspokojenia zmysłów. Często też ich zachowanie było po prostu wynikiem kompleksu niższości (obawiały się, że młodzi chłopcy przestaną je zapraszać na wspólne wyprawy do kina czy na tańce o ile nie zgodzą się na pożycie seksualne). Niektóre z nich oświadczyły, że były szczęśliwe dlatego, że stwarzały wrażenie, iż są „tak jak inne", lecz przyznawały po pewnym czasie, że nie odczuły nigdy przyjemności seksualnej. Lekarze we Francji, których obiektywność ocen nie wypaczyły jakiekolwiek przesądy moralne, dzielili się ze mną w rozmowach podobnymi spostrzeżeniami. Stwierdzali, że zasadniczym nastawieniem ich pacjentek jest monoandria (w każdym razie prowizoryczna), a nie rozproszenie. Domyślałem się, że tak jest, lecz żyjemy w czasach gdzie wszelkie oczywistości, by zostały uznane, muszą być potwierdzone przez specjalistów. Nie jest wykluczone, że psychoanalitycy odkryją niebawem istnienie potężnych zahamowań wywołanych czystością. A jeżeli do tego dojdzie, to potwierdzą tylko pewne przeczucie jakie miał (przejściowo) Freud: „Wydaje się czasami — pisał on — że funkcje seksualne nie dostarczają nam, na skutek samej ich istoty, pełnego zadowolenia i że zmuszają nas w konsekwencji do szukania innych dróg".

Wykrycie tych frustracji nie powinno prowadzić do zapomnienia o istnieniu wcześniejszych kompleksów, równie realnych.

W zbiorze kazań wygłoszonych w czasie postu roku 1968 znajduję przeciwwagę dla mych rozmów z psychosomatykami. Kaznodzieja cytuje w nim ustęp z listu jaki napisał do niego jakiś oficer: „Widziałem jak najstraszliwsze wyrzuty szarpały moją własną matkę, wyczerpaną pod koniec życia po czternastu połogach i sterroryzowaną przez jej spowiednika, starego proboszcza z Virandeville". W takich wypadkach moralność seksualna stawała się ni mniej ni więcej tylko zabójcza. Powiedzą, że Ojciec Święty nie może brać pod uwagę całej różnorodności poszczególnych wypadków. Powołaniem jego jest ustalanie zasad. Zasada jednak, by była zbawienna, spełniać musi trzy warunki: 1) w jej sformułowaniu nie może być wahań, 2) opierać się musi na pewnej zasadzie moralnej nie podlegającej dyskusji, i 3) posiadać musi właściwości, które zapewnią jej ogólne posłuszeństwo. Encyklika *Humanae Vitae* nie spełnia żadnego z tych warunków.

Ojciec Święty powierzył problem świadomego macierzyństwa, który był przedmiotem obrad Soboru, komisji gdzie większość wypowiedziała się w 1966 roku za koniecznością przeprowadzenia zmian w tradycyjnym nauczaniu Kościoła. W ciągu następnych dwóch lat zaczęły krążyć różne sprzeczne wiadomości; były to jakieś próbne balony, oświadczenia teologów, decyzje, które odkładano na później. Tym niemniej spowiednicy, którzy wiedzieli o rezolucji komisji, zajmowali stanowisko bardziej wyrozumiałe, a małżeństwa katolickie zaczęły posługiwać się coraz częściej środkami antykoncepcyjnymi. A dzisiaj żąda się od tych katolików by porzucili w imię „poszanowania natury" pewne przyzwyczajenia, które weszły w ich życie. Jest to bez wątpienia nieporozumienie. Komisja pontyfikalna przypomniała, że interwencja człowieka wchodzi dzisiaj w skład elementów *naturalnych* uznanych przez Kościół, szczególnie w dziedzinie chirurgii. „Bóg chce — stwierdzała — by człowiek uczestniczył w jego panowaniu". Encyklika dopuszcza zresztą możliwość pogwałcenia ustalonej przez nią zasady. „W każdym akcie małżeńskim — pisze — tkwić musi możliwość przekazania życia". Świadome jednak unikanie stosunków małżeńskich w okresie gdy (jak to stwierdza komisja) małżonkowie podlegają szczególnemu przyciąganiu sprowadza się właściwie do likwidowania tej „możliwości". Małżeństwo stosujące się do „kalendarza" i małżeństwo posługujące się „pigułką" dążą do tego samego celu: chcą zaznawać przyjemności, lecz nie mieć potomstwa. Różnica między nimi polega tylko na tym, że pierwsze z nich ucieka się do metody mniej skutecznej. Papież wybrał jako środek do moralizatorstwa — loterię.

Ostatnia uwaga: czy można liczyć na to, że ogół wiernych zachowa posłuszeństwo w stosunku do polecenia Kościoła? Przeprowadzone badania pozwalają przewidywać, że przyszłe statysty-

ki na zachodzie nie zanotują jakichkolwiek zmian w ich postępowaniu. Płodność małżeństw katolickich mało co różni się na Zachodzie od płodności innych wspólnot religijnych. Spójrzmy wokół siebie: wiele matek, które mogłyby pozwolić sobie na to by mieć siedmioro czy dziesięcioro dzieci, ma ich dwoje czy troje. Czy przyczyn tego zjawiska należy szukać w skutecznym, lecz niedocenianym, działaniu metody dra Ogino? Niestety tak nie jest. Katolicy ci rozwiązywali swe problemy na innej drodze: albo uciekali się do zakazanych metod antykoncepcyjnych, albo, co gorsza, do sztucznych poronień. W przyszłości skandal ten przybierze formę jeszcze bardziej jaskrawą gdyż okoliczności nadały szczególny rozgłos poleceniom Watykanu.

Każde szlachetne życie wymaga ascezy. Każde wielkie przedsięwzięcie odciąga (przynajmniej chwilowo) mężczyznę od kobiety. Wiedzą o tym zarówno sportowcy jak i mistycy. Jest rzeczą normalną, że Kościół o sprawie tej mówi swym synom. Mógłby to robić jednak bez narażania się na śmieszność, która grozi mu gdy miesza się do spraw związanych z macicą. Papież, który zniósł właśnie post obowiązujący w piątek, narzuca post ciała (w ciągu trzech tygodni na cztery) małżeństwom pragnącym nie powiększać rodziny. Robi to wrażenie, że nie znalazł żadnego lepszego rozwiązania niż to polecenie, które jest jednocześnie bezwzględne i pełne wahań. Encyklika mówi, a raczej daje dosyć wyraźnie do zrozumienia, że ci, którzy naruszą ten przepis, będą zawsze mogli skorzystać później z dobrodziejstwa spowiedzi. Louis Salleron zwraca uwagę, że już Ewangelia posiada to samo podwójne oblicze: surowości z jednej strony, przebaczenia z drugiej. O ile jednak przebaczanie grzechów jest rzeczą szlachetną, o tyle organizowanie z góry tego przebaczenia wydaje się mniej godne pochwały. Przypomina to pewien chwyt, ów stary system rządzenia duszami przy pomocy szeregowania ich wśród winnych a później odpuszczenia. Takie zwiększenie roli spowiedników będzie dzisiaj raczej żenowało spowiedników niż im pomagało.

Watykan, który dążył do wzmocnienia swego autorytetu, w rzeczywistości go tylko osłabił. Liczne oświadczenia teologów stwierdzające, że w tego rodzaju zagadnieniach Papież nie jest nieomylny, równie liczne protesty w Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych muszą z konieczności wywołać głębokie konsekwencje. W wielu miejscach, odczytywaniu Encykliki towarzyszyły komentarze pełne wyrozumiałości dla grzeszników. Wszystko to nie może nie zwiększyć zamętu wśród młodych. Jeszcze przed Encykliką Harvey Cox pisał o nich: „Mówi się im jedno, a wskazuje się im co innego tak, że nigdy nie wiedzą czy społeczeństwo mrugnie do nich porozumiewawczo okiem czy też zacznie biczować".

Zaprzepaszczono doskonałą okazję. Paweł VI mógł był powiedzieć: „Zbyt daleko posunięta wolność seksualna jest szkodliwa dla jednostki i niszczy rodzinę. Człowiek nie jest zwierzęciem, a spółkowanie nie sprowadza się dla niego do zwykłej przyjemności. Nawet małżonkowie winni powstrzymywać się w ich pożyciu płciowym od egoizmu i lubieżności; ich zachowanie bowiem stanowi dowód tego jaką jest ich osobowość. Niedoskonałość środków antykoncepcyjnych oraz metod ich używania stwarza w dalszym ciągu szereg ważnych problemów natury praktycznej. Lekkomyślność rodziców wpływa ujemnie na życie ich potomstwa. W krajach rozwiniętych, dzieci małżonków rozwiedzionych chorują na newrozy. W Ameryce Południowej istnieją miliony dzieci porzuconych przez ich ojców, którzy mieli z matkami tych dzieci przejściowe tylko stosunki płciowe. Rozpusta przyczynia się do rozsiewania chorób, które zresztą szerzą się obecnie znacznie więcej niż przedtem. Środki antykoncepcyjne można przyrównać do środków uspakajających: mimo pozorów nie rozwiązują one bowiem problemu odpowiedzialności, a człowiek, który przyzwyczaił się do uchylania się od odpowiedzialności, pada w konsekwencji ich ofiarą. Podobnie jak narkoman, który w momencie euforii wpada pod samochód, tak hedonista dziwi się gdy przewodniczący trybunału stwierdza, iż jest on odpowiedzialny za zbrodnię popełnioną przez jego dziecko, lub gdy lekarz mówi mu, że bawiąc się dał życie co najmniej dziesięciu syfilitykom..." Gdyby Papież przemówił w ten sposób, stwierdziłby tylko prawdę i przysłużyłby się ludzkości.

Jeżeli chodzi o sprawy tak techniczne jak problemy związane ze środkami antykoncepcyjnymi, to należy przede wszystkim zebrać odpowiednie informacje. Powołując do życia specjalną komisję, Paweł VI podporządkował się tej zasadzie. Gdy jednak nie wziął pod uwagę jej wskazań przerzucił nas do czasów Faryzeuszy: pełna obłudy kazuistyka korygować ma zbyt drobiazgowe prawo. Kościół usiłuje wzbogacić akt seksualny łącząc go w sposób nierozerwalny z ideą przekazywania życia. Lecz raz jeszcze powtarza się historia tego, „który pragnąc stworzyć anioła stworzył zwierzę". Mężczyźni powitali Encyklikę przychylnie. Zakaz używania środków antykoncepcyjnych nadaje wartość aktowi oddania się kobiety. Elwira nie używająca pigułki, a więc wystawiona na niebezpieczeństwo, czy też Elwira posługująca się pigułką, a więc „winna", stanowią bardziej pociągający przedmiot zabiegów dla mężczyzny: Don Juan znalazł na nowo kogoś komu rzucić może wyzwanie. A u kobiet także, szatan przygotowuje się do zgarnięcia łupu: o ile niektóre z nich powrócą do oziębłości płciowej wywołanej obawą przed poczęciem, to inne wyzbędą się oziębłości spowodowanej brakiem jakiegokolwiek „ryzyka" (kil-

ka ankiet medycznych, które miałem w ręku, potwierdzają w pełni istnienie tego zjawiska).

Z punktu widzenia moralnego i fizycznego każde „zbliżenie" pary stwarza delikatne problemy, których nie uwzględnia z konieczności wszelki brutalny nakaz. Co doradzać na przykład komiwojażerowi, który powraca do domu w momencie gdy dobiegł końca okres bezpieczeństwa zalecony przez Dra Ogino? Miłosierdzie seksualne wchodzi w skład pożycia małżeńskiego. Można z całą powagą odpowiedzieć Maurice Clavel'owi, który stroi sobie na ten temat żarty, że „nie przyjście z pomocą osobie w ruji" stanowi naprawdę grzech (grzech pychy kobiety zimnej, która nie chce oddać się mężczyźnie, by tym lepiej panować nad nim). Zarówno u mężczyzny jak i u kobiety odmowa spełnienia aktu może przyczynić się do obudzenia „brzydkich myśli". Katolik abstynent, którego życie wewnętrzne przypomina sceny z obrazu Hieronima Boscha, skłania nas do przemyślenia wielkiego problemu, który wysunął Luther (po Chrystusie): „Czy prawo nie popycha czasami do grzechu?"

Sprawą najważniejszą jednak jest to, że Kościół nie spełnia swego obowiązku społecznego w stosunku do krajów trzeciego świata. Wie on przecież dzisiaj, że zbyt szybki przyrost demograficzny opóźnia i utrudnia rozwój państw niedostatecznie rozwiniętych gospodarczo. Wezwanie: „bierzcie, rośnijcie i rozmnażajcie się" — jest radą zbyt uproszczoną. Ten, który ją daje, kupuje sobie po zniżonej cenie spokojne sumienie. Jałmużna — to tylko środek pozwalający na przyzwyczajenie się do ubóstwa, podczas gdy stwarzanie ośrodków pracy jest sposobem wydobycia się z nędzy. Otóż, stworzenie takich ośrodków pociąga za sobą konieczność dostarczenia sprzętu, wykształcenia pracowników zawodowo, kierowania, jednym słowem konieczność dokonania wysiłku ludzkiego i finansowego, który staje się niewykonalny gdy ludność wzrasta nadmiernie i gwałtownie. Szybkie mnożenie się ludności zwiększa w pierwszym rzędzie liczbę elementów najmniej rozwiniętych i asymilacja, która po pewnym czasie umożliwiłaby może wszystkim życie na tej samej stopie, zmusza ich do zerwania z tradycjami co wywołuje w nich poważne frustracje. Trudności w tych krajach mogłyby zniknąć w drodze powolnej ewolucji. Natomiast nagły przyrost demograficzny zaostrza gwałtownie wszystkie problemy nadając im charakter dramatyczny. Decyzja Watykanu pociągnie za sobą nieznaczne tylko konsekwencje praktyczne w krajach rozwiniętych Europy i Ameryki Północnej gdzie ludność stosuje od dawna i stosować będzie w dalszym ciągu kontrolę urodzin. Może jednak wywołać skutki katastrofalne w Ameryce Południowej i pobocznie w Azji. Popierając Encyklikę, biskup Camara przygotowuje teren do aktów przemocy, którą przecież potępia.

Kościół nie dostrzegł po raz pierwszy elementów problemu gdy skoncentrował dyskusję na sprawie „pigułki", czyli metodzie nie nadającej się do zastosowania w większości krajów przeludnionych. Kobiety bowiem z okręgów tropikalnych nie mogą na ogół korzystać z systemu aktywnej ochrony przed ciążą. Tymczasem zakazuje się im dzisiaj używania środków tak zwanej biernej ochrony (sterylizacja czasowa czy też sterylizacja pełna po drugim dziecku). Polityka ta prowadzi do większego jeszcze zachwiania równowagi demograficznej w chrześcijaństwie i do podkreślenia charakteru arystokratycznego jego kierownictwa: malthuzjanizm w Rzymie, i nadmierne rozmnażania się w Brazylii; tak wygląda przyszłość, którą zarysowuje przed nami Encyklika.

Encyklika wchodzi zresztą w skład szerokiej akcji o charakterze reakcyjnym. Wkrótce po niej przeprowadzono dochodzenia przeciw Ojcu Schillebeeckx'owi, który nadaje nowy impuls katolicyzmowi holenderskiemu, a tuż przed nią ogłoszono *Credo,* które woli systematycznie uciekać się do wyjaśnień dosłownych niż do interpretacji symbolicznych. Według Pawła VI dogmat o niepokalanym poczęciu należy brać dosłownie, grzech pierworodny jest faktem historycznym początków historii ludzkości, Chrystus jest istotnie obecny w eucharystii, istnienie dobrych i złych aniołów wchodzi w skład prawd objawionych, które nie podlegają dyskusji, cuda mogą zatrzymać działanie praw natury itd. Czyżby wszystko to miało zmierzać do utrudnienia napływu nowych wyznawców chrystianizmu mogących wzbogacić jego szeregi?

Kto jutro będzie miał prawo narodzić się? Chcielibyśmy móc powiedzieć, że wszyscy. Przemawiając kilka lat temu przed Zgromadzeniem Organizacji Narodów Zjednoczonych, Paweł VI oświadczył, iż „trzeba przyjąć tych wszystkich, którzy zgłaszają się na gody życia". Jakże szlachetne są te słowa. Niestety ta idealna sytuacja nigdy nie istniała i nigdy istnieć nie będzie. Oświadczenie opracowane przez biskupów francuskich, którzy usiłowali złagodzić dyrektywy Pawła VI, zawiera następujące monstrualne stwierdzenie: „Antykoncepcja jest zawsze równoznaczna z nieładem". W wieku antybiotyków, najgorszym „nieładem" byłaby niepohamowana stopa narodzin. Spójrzmy na obecną sytuację tak jak wygląda ona naprawdę: pierwszą eliminację przeprowadza sama rodzina zgodnie z własną wolą, drugą — interwencja państwa. Państwo nie mówi wyraźnie: „zgadzam się na tego, odrzucam natomiast tamtego"; ale za pośrednictwem decyzji finansowych i społecznych przeprowadza ono mniej lub bardziej wyraźną selekcję (szczególnie w krajach niedostatecznie rozwiniętych gospodarczo). Chodzi o to — i tego należy sobie ży-

czyć — by selekcja ta nie pociągała za sobą zbyt wielu cierpień i by szła po linii ogólnego interesu zbiorowości.

Nasuwa się tu dodatkowe pytanie: kto ma prawo do przeżycia? Można udawać, iż o tego rodzaju pytaniu nic nie wiemy; powstaje jednak konieczność pobierania nieuniknionych decyzji wywołanych brakiem odpowiedniego personelu i sprzętu. Wyjazd lekarza z zapadłego zakątka do miasta, lub odmowa lekarza przeniesienia się z miasta na odległą wieś są decyzjami, które skazują chorych na śmierć. Powołanie do życia ośrodka wyspecjalizowanej chirurgii serca w kraju ubogim w odpowiednie wyposażenie i gdzie inne dziedziny akcji medycznej byłyby bardziej wskazane, jest krokiem zbrodniczym. Za cenę przedłużenia egzystencji jakiegoś chorego dotkniętego paraliżem kończyn można by uratować życie tysięcy osób przy pomocy chininy i antybiotyków. Jaki jest najbardziej racjonalny i najlepszy sposób wykorzystania (dla zapewnienia zdrowia i życia) funduszy przeznaczonych przez ministerstwo zdrowia publicznego? Czy należy dać pierwszeństwo poszukiwaniom naukowym, profilaktyce i leczeniu, czy też dążeniu do przedłużania życia osób stojących u progu śmierci? Oto istotny problem z punktu widzenia budżetowego. Do zagadnienia tego jednak należy również podejść z punktu widzenia jednostki, z punktu widzenia konieczności poszanowania wolności, i tu właśnie powinien wywierać odpowiedni wpływ duch chrześcijański.

Pewna reakcja przeciwko „nadmiarowi terapeutyki" zaczyna budzić się obecnie. Ludzie rozumni i pełni serca stwierdzają, że w pewnych wypadkach prawdziwym obowiązkiem człowieka jest powstrzymać się od wszelkiej akcji. W czasie dyskusyjnego zebrania lekarzy, profesor Milliez oświadczył niedawno: „Przedłużamy życie ludziom w warunkach, które nie wytrzymują krytyki z punktu widzenia moralnego". „Puszczenie na nowo w ruch i na dwa miesiące serca osiemdziesięcioletniego starca — powiedział on — nie należy do naszych obowiązków". Stanowisko takie zajmujemy jednak jedynie w dziedzinie „eutanazji biernej". Gdy chodzi natomiast o czynną interwencję zmierzającą do skrócenia konania każdy odmawia dokonania właściwego gestu. Lekarz daje choremu tylko małą dozę morfiny, która zmniejszając cierpienia, skłania go do wyrażenia zgody na operację prowadzącą do chwilowego odroczenia ostatecznego końca, a cofa się przed zaaplikowaniem masywnej dozy, która zaoszczędziłaby pacjentowi tortury śmierci. Dla usprawiedliwienia tego rodzaju decyzji, lekarz mówi sobie: „Przecież nigdy nie wiadomo, a może pacjent wyzdrowieje..." W chwili gdy piszę te słowa prasa podaje wiadomość, że lekarze przywrócili częściowo świadomość — świadomość odczuwanego cierpienia — sławnemu choremu, który od kilku tygodni był w stanie całkowitego zamroczenia. Sprawozdanie o tym zwycięstwie kończy się słowami: „Chory reaguje na elementarne rozkazy". Podziwiam to osiągnięcie i mówię sobie, że jeżeli chodzi o Wielkich poddanie się narzuconemu przedłużeniu życia zastępuje dzisiaj dawną przedwczesną śmierć. Myślę jednak również o wypadkach mniej znanych czy bardziej rozpaczliwych i zadaję sobie pytanie: „Któż inny, jak nie uczniowie Chrystusa, zdobędzie się na takie umiłowanie tych ludzi by prosić dla nich o łaskę?"

Mało chirurgów posiada na tyle odwagi by pisać tak jak profesor Soupault: „Nie sądzę by argument, że można wystawić dziewięciu ludzi na cierpienia po to aby uratować dziesiątego, posiadał jakąkolwiek wartość". Mało lekarzy zdobywa się na to, by odrzucić klasyczną tezę, iż zastosowanie kroplówki w beznadziejnym wypadku stanowi gest ludzki, zwykły środek zmierzający do przysporzenia ulgi choremu. Agonia, na chwilę odroczona, powróci przecież niebawem: w bilansie cierpień należy chyba wziąć pod uwagę ten pewnik. Wspomniałem kiedyś wielkiemu neurologowi francuskiemu o słowach, które powiedział neurolog niemiecki: „Jeżeli sami lekarze nie zdobędą się na wyznaczenie granic ich własnej władzy, to szpitale przemienią się w piekło dantejskie". Mój rozmówca zgodził się z tym stwierdzeniem, lecz nie posunął się tak daleko by uznać konieczność eutanazji. Przyznał się jednak: „Często żałowałem, że nie pozwalałem umierać ludziom, których leczyłem. Mówiłem sobie: dla tego człowieka nadeszła właśnie chwila by odejść..." Mój znajomy buntował się przeciwko gestowi raczej niż decyzji. Gdyby mógł „wyzwolić" swego pacjenta na skutek zwykłego działania myśli nie miałby najmniejszych wahań. W rzeczywistości do gestu wyzwolenia dochodzi czasami otwarcie pod wpływem przerwania akcji jednego z tych mechanizmów, które sztucznie zapewniają niestrudzone bicie serca i oddychanie płuc temu co jest już szczątkiem człowieka. Mechanizm ten można wyłączyć i sprawa jest załatwiona. Albo można dojść do wniosku, że zbyt dużo strwoniono krwi na transfuzje i że należy położyć kres temu marnotrawstwu. Człowiek, który wydaje tego rodzaju rozkaz, nie zgodziłby się nigdy na to, by pacjenta zatruć lub zakończyć jego życie strzałem z rewolweru. Wewnętrznie godzi się on jedynie na pewną formę akcji dyskretnej, „od-dramatyzowanej", a nawet pozornie nieosobowej. W podobnej sytuacji, to lekarza, a nie chorego, należy leczyć. Trzeba wyleczyć go z irracjonalnej obawy, iż można uważać go za mordercę.

Nadszedł czas by ludzie XX wieku zdecydowali się na ponoszenie nowych odpowiedzialności jakie narzuca im postęp nauki. Upłynęło już ponad dwadzieścia lat między momentem gdy zwalczono wielkie epidemie wywołując w ten sposób przeludnie-

nie w rejonach tropikalnych a podjęciem pierwszych poważnych wysiłków w zakresie świadomego macierzyństwa. Dzisiaj uznaje się już wagę tego problemu, lecz na skutek straty kilkunastu lat trudno znaleźć odpowiednie rozwiązanie tego zagadnienia. Poza tym zaczynamy odczuwać spóźnienie w innej dziedzinie. Współczesna medycyna, która ofiarowała cywilizacji wspaniały dar w postaci przedłużenia przeciętnego wieku o trzydzieści lat, teraz wyruszyła na podbój trzeciego etapu w życiu człowieka „stuletniego", nie mając jednak wielkich nadziei, że walka ta przyniesie równie zadawalające wyniki. Przedtem dawała dodatkowe lata życia ludziom w pełni siły. Obecnie dorzuca im okresy egzystencji, które nie zawsze warte są przeżycia. A czasami przedłuża im po prostu cierpienia.

Zbyt często medycyna utrzymuje, że walczy z pewną formą „patologiczną" śmierci, podczas gdy w rzeczywistości stoi w obliczu naturalnego procesu, który musi w każdym wypadku odnieść zwycięstwo w niedługim czasie — starości. To nieporozumienie sprawia, że ludzie zaczynają snuć bliżej nieokreślone marzenia wyobrażając sobie, że uda im się osiągnąć, przedłużając ciągle egzystencję, życie nieskończone. Tego rodzaju nadzieja jest jednak zupełnie nieuzasadniona. Współczesne badania naukowe wskazują coraz wyraźniej, że „przeznaczeniem" naszym jest pewien ograniczony okres życia. Może fakt ten ułatwi nam pogodzenie się z naszą śmiertelnością. Może nauczymy się przekazywać znicz życia naszym następcom z mniejszą dozą zgorzknienia a z większą miłością. Co jednak użytecznego może powiedzieć teraz chrześcijański humanista? Pragnę podsunąć tutaj do dyskusji trzy prowizoryczne tezy.

Trup nie posiada indywidualności zmarłego. O ile istnieje Bóg, który potrafi sprawiać „cuda", to przecież nie będzie miał żadnych trudności w odtworzeniu jakiegoś ciała. Dlatego też Paweł VI zezwolił w 1964 roku na palenie zwłok. Mimo to znam lekarzy, zresztą zdecydowanych ateistów, których odstrasza myśl ofiarowania swych zwłok na badania. Chyba tkwią oni w dalszym ciągu w jakichś dawnych przesądach średniowiecznych. Tego rodzaju nastawienie zniknie na pewno. Liczba rodzin sprzeciwiających się oddaniu dla użytku żyjących tych czy innych organów zmarłych będzie zmniejszać się (są one zresztą już teraz w mniejszości — cztery na dziesięć). Oczy, serca nieboszczyków należeć będą prawnie do żyjących, którzy będą mogli ożywiać je na nowo, a postanowienia testamentowe zabraniające ich użytku będą uważane za nieważne. Każdy człowiek sądzić będzie, iż fakt, że po śmierci może w dalszym ciągu służyć innym i im pomagać, jest dla niego zaszczytem i pociechą. Zmarli przestaną być egoistycznymi tyranami, którzy narzucają swym spadkobiercom i społeczeństwu prawo do powolnego rozkładania się w wygodnych grobowcach rodzinnych. Z góry zrezygnują z ich „doczesnej powłoki" i z przypadającego im udziału w przestrzeni. W ten sposób nie będziemy już potrzebowali uciekać się do pełnego obłudy systemu stopniowego „zmniejszania" działek na cmentarzach. Wyjdzie to na dobre zarówno spirytualizmowi jak i materializmowi a, by utrwalić pamięć o zmarłych, znajdziemy jakieś bardziej szlachetne środki działania.

Wszelka wolność zasługuje na szacunek. Wolność *świadomości* by lepiej dokonać wyboru. Wolność *odrzucenia* ograniczeń wywołanych degradacją i cierpieniem. Wolność w *wyborze* momentu własnej śmierci, by lepiej ją przeżyć... W artykule, o którym już wspomniałem, profesor Soupault pisze: „Wielu chorych, gdyby wiedziało dokąd się ich prowadzi i przez co muszą przejść, odmówiłoby stanowczo leczenia". Stwierdza on również, że często rozpacz ogarnia rodziny na myśl o torturach zadawanych ich bliskim, lecz że „nie mają one odwagi otwarcie zaprotestować". Terror ten musi ustać. Wielu z nas może poświadczyć, że „piękna śmierć" jest rzeczą możliwą gdyż *widzieli* ją na własne oczy. Ten sam jednak człowiek, który w tak szlachetny sposób kończył swe życie, może stałby się, gdyby postanowiono mu je przedłużyć za wszelką cenę, zbolałym zwierzęciem, przeklinającym życie, zdemoralizowanym i demoralizującym innych. Podczas jednej ze swych ostatnich rekolekcji, Ojciec Teilhard de Chardin modlił się: „Chrystusie, zabierz mnie na czas zanim wszystkiego nie zniszczę..." Bóg wysłuchał go. Inni zwracają się z podobną prośbą do lekarza, który nie powinien odbierać tym ludziom ich śmierci.

Mówi się jako o rzeczy pewnej, że każdy człowiek, bez względu na wiek, pragnie przedłużyć sobie życie, a tymczasem starcy stanowią jedną trzecią ogólnej liczby samobójców, i to, mimo trudności jakie stwarza im ich wiek przy wykonywaniu zamiaru zgładzenia siebie. Zdarza się, że człowiek cierpiący na straszliwą samotność moralną postanawia — bo inaczej nie może — powziąć decyzję zniszczenia siebie, decyzję, której nikt nie miał odwagi powziąć w jego imieniu. Gdy już zdecydował się, rzucamy się w pogoń za nim i „ratujemy" go (truciznę zwalcza się obecnie coraz skuteczniej), lecz po to by porzucić go następnie dyskretnie w jakimś schronisku gdzie prowadzić będzie aż do końca egzystencję niegodną człowieka. W społeczeństwie chrześcijańskim nie powinno być miejsca na taką zabawę kota z myszą.

Istota ludzka jest rzeczą świętą. Od czasu Barnarda wiemy, że istota ta nie mieści się w sercu, lecz w mózgu. Rodzi się ona pod koniec ciąży w chwili gdy zaczyna rozwijać się system nerwowy dziecka. Wzrasta i rozkwita następnie aż do „wieku rozsądku"

(z coraz większą stanowczością uznaje się, że lata pośrednie są decydujące: dziecko cierpiące w tym okresie na jakiś handicap nigdy nie odłapie swego spóźnienia; dziecko, któremu brakowała wówczas atmosfera serdeczności i serca, nie pozbędzie nigdy później wywołanego wtedy kompleksu). Z drugiej strony, na przeciwnym biegunie istnienia ludzkiego, czasami istota ta rozkłada się niestety zanim jeszcze nie zamrze życie. Czy należy utrzymywać, że to co pozostaje wówczas z człowieka jest w równym stopniu „święte"? W sprawie tej, ksiądz zajmuje często stanowisko bardziej odważne niż lekarz. Szanuje on przede wszystkim człowieka „stworzonego na podobieństwo Boga", będącego istotą odrębną od zwierzęcia, a tym bardziej od „rośliny" czy „automatu", które mogą żyć dłużej niż on. Lekarz, który szuka wskazań prostych nie zmuszających go do przemienienia się w osobę decydującą o czyimś życiu czy śmierci, pragnie znaleźć sprzymierzeńca w Kościele równie „witalistycznie" nastawionym jak on, i dziwi się czasami gdy Ojciec Święty poleca umiarkowanie. W wieku ubiegłym Kościół mówił jeszcze, że ból jest modlitwą. Na szczęście znalazł się Papież (Pius XII), który przyznał, że ból może uniemożliwić modlitwę. By rozgrzeszyć eutanazję trzeba aby „głównym jej celem nie było zniesienie życia, lecz zniesienie cierpienia"; taką zasadę, pełną rozsądku, ustalił Papież.

Trzeba nam zasadzie tej zachować wierność oraz rozszerzyć jej zastosowanie, nie zapominając jednak o tym, że w pewnych okolicznościach ścierać się mogą ze sobą poglądy równie ważne. Zapobieganie cierpieniu jest rzeczą wskazaną; lecz „euforyzowanie" chorego za wszelką cenę, przemieniające człowieka skazanego w wesołego i podnieconego zucha, którego przyjaciele nie są w stanie rozpoznać, czyż ma coś wspólnego z poszanowaniem jednostki ludzkiej? Poruszamy tutaj sprawę, której nikt prawie jeszcze nie przeanalizował: sprawę wyboru środków chemicznych będących ostatecznym schronieniem dla zagrożonej wolności w chwili zbliżania się końca. Jaki środek należy dać danej osobie aby pozostała ona w miarę możliwości samą sobą, by uniknęła alienacji wywołanej cierpieniem nie ulegając jednocześnie innej alienacji. Rady „duchowe" przydać się mogą jutro lekarzom i chemikom, którzy podchodzą dzisiaj do tego zagadnienia nie mając wyrobionego, jasnego zdania o celu, do którego zmierzają. Często mówimy tak jakby człowiek musiał z konieczności stać się ofiarą środków oddziaływujących na jego życie, środków, w które wyposażyła go współczesna wiedza. Tylko od nas zależy zmniejszenie ryzyka a zwiększenie szans. Dawniej, poczęcie było wynikiem przypadku; za naszych czasów, małżeństwa *zdecydowały* mnożyć potomstwo podczas gdy mogłyby mnożenia tego uniknąć; w konsekwencji odpowiedzialność ludzka zwiększyła się, a wartość moralna ojcostwa spotęgowała się. Śmierć natomiast, którą lepiej opanowaliśmy, stać się może mniej barbarzyńska.

Stanęliśmy w obliczu „delikatnych" problemów z dziedziny medycyny — tak jak poprzednio z dziedziny ekonomicznej i społecznej — których ani wiedza ani prawo nie są w stanie rozwiązać całkowicie; stanowić więc one muszą szczególną troskę dla chrześcijan. „Nasze decyzje moralne — powiedział dziekan Georges Vedel — determinują dzisiaj nie tylko nasze życie osobiste lub rewolucje polityczne i społeczne, lecz także oblicze człowieka, a nawet może kosmosu". Wypowiadając tę prawdę na zebraniu intelektualistów katolickich, ten wielki prawnik pokazał nam, że zdaje sobie sprawę z głębi i rozmiarów problemu. Ludzie Kościoła będą musieli ustalić u szczytu kilka wielkich wytycznych. U podstaw zaś będą musieli rozpatrywać każdy poszczególny wypadek z pełnym poczuciem konkretnego miłosierdzia, które w pewnym sensie zażyrował Chrystus. Chciałbym też na zakończenie tego rozdziału zacytować dwie bardzo proste, prawie trywialne uwagi człowieka, który jest najbardziej powołany do tego by mówić o religii i cierpieniu: Ojca Boulogne, owego Francuza o zaszczepionym sercu. Pierwsza z nich dotyczy własnej osobowości: „Od czasu do czasu, przez chwilę, jest się sobą samym". O to największy skarb, który należy przechowywać. Druga uwaga dotyczy roli księdza: „Trzeba dawać wrażenie temu, który nas słucha, że go miłujemy, że wchodzimy w jego położenie. Wtedy odchodzi wzbogacony o coś. Mówi sobie: a jednak nie żyję całkowicie jak zwierzę". Daru tego nie może ofiarować nawet najbardziej zręczny psychoanalityk, chyba żeby był, świadomie czy nieświadomie, chrześcijaninem.

◆

Chciałbym wspomnieć krótko o duchowieństwie gdyż zaczyna właśnie zastanawiać się nad sobą.

Znam straszliwe oskarżenia rzucane przez Anglosasów. Na przykład Harvey Cox'a: „Dla wielu kościół jest miejscem gdzie słucha się długich i nudnych wystąpień piętnujących niedomagania moralne i gdzie żąda się od obecnych płacenia składek. Ludzie myślą o księżach jak o osobach umiejących udzielać szybkich i łatwych odpowiedzi na pytania, których nikt nie stawia". Albo Ojca Kavanaugh, owego spowiednika rozczarowanego do swego zawodu: „Mój penitent przychodzi do Chrystusa i słyszy jakiś głos pozbawiony wszelkich akcentów osobistych. Nie widzę go gdy słucham jego spowiedzi. Nie znam jego przeszłości, jego warunków życia, jego cierpień, słyszę jedynie szept i stwierdzam, że człowiek ten zgadza się posłusznie na wszystko co mówię. Nie

śmie on podjąć dyskusji ze mną, ani nawet wspomnieć o postępach, które czyni... Spowiedź stała się łaźnią publiczną, gdzie istnieje tylko jeden kawałek mydła i jeden ręcznik dla wszystkich; współcześni katolicy uczą się ignorować ją w miarę jak wzrastają w wieku i bogacą się doświadczeniem". Czytałem opracowania omawiające „choroby zawodowe" księży, ich dążenia by dostosować charakter pracy do wymagań wieku, ich nieporozumienia z biskupami. Czytałem wypowiedzi księży-dezerterów wykorzystujących równocześnie dawną godność i świeżą wolność po to by wywołać gwałtowny skandal i zniknąć następnie w cieniu gdzie będą już tylko samymi sobą. Żałowałem, że nie zetknąłem się nigdy z uczciwą książką poświęconą cnotliwym i skutecznie działającym księżom, którzy umieją wypełnić każdą godzinę dnia i uważają słusznie, że „drugi zawód" zająłby im zbyt wiele drogocennych chwil.

Oglądałem wstrząsające statystyki dotyczące spadku liczby osób mających powołanie religijne, ucieczek z seminariów, buntujących się klasztorów, księży, którzy zrzucają sutannę (w roku 1968 było ich zaledwie 1 %, lecz zdaniem księdza Laurentin procent ten jest już większy niż w ubiegłym roku a będzie mniejszy niż w przyszłym). Czy mamy tu do czynienia z selekcją czy z jakąś antyselekcją? Udzielenie ogólnej odpowiedzi na to pytanie byłoby dzisiaj rzeczą ryzykowną. Ci, którzy odchodzą, są czasami żarliwymi, a czasami niedostatecznie gorącymi wyznawcami Kościoła. Ci, którzy mówią o przebudowie Kościoła, dążą czasami do stworzenia bezpośredniej demokracji, która byłaby równie bezskuteczna w dziedzinie duchowej jak jest już w dziedzinie politycznej. Bieg wypadków zależeć będzie od kierownictwa w Watykanie, lecz także od nas wszystkich. Kryzys zresztą nie obejmuje tylko katolików. W Lamberth, konferencja duchownych anglikańskich postanowiła niedawno, że trzydzieści dziewięć artykułów wyznania wiary anglikańskiej nie będzie już obowiązywać. Dla wielu umysłów zastraszonych tego rodzaju fakty są równoznaczne z końcem religii. Dla mnie natomiast są one znakami wskazującymi na istnienie nieuniknionego kryzysu, z którego chrześcijaństwo wyjdzie oczyszczone. Nie pozwalajmy jednak na to by powstawały i rozrastały się, na skutek braku reform, kościoły podziemne, które ukazują się już w różnych punktach globu.

Patrzę w dalszym ciągu na przyszłość Kościoła tak, jak pisałem o tym w książce *Śmierć zmieniła się:* będzie to Kościół, którym kierować będą rozszerzone sobory, złożone z przedstawicieli władz kościelnych i ze specjalistów nauk o człowieku. Pisałem wówczas: „A może istnieć będą w rzeczywistości dwa odrębne zgromadzenia, które po stwierdzeniu zbieżności celów ich

działania stopią się w jedno. Będzie to ekumenizm XXI wieku". Obecny ekumenizm stał się bowiem przestarzały zanim nawet przystąpiono do jego realizacji. Nie doprowadzimy do uregulowania stosunków między chrześcijanami stwarzając „katolickość protestantów", ci ostatni bowiem muszą również wyswobodzić się z więzów (z dosłownego interpretowania biblii i z moralizmu purytańskiego, które stanowią właściwe im schorzenie sklerotyczne). Nie część, ale całość chrześcijaństwa ulegnie degeneracji o ile nie zdobędzie się ono na właściwe podejście do jego prawdziwych problemów. Zdając sprawozdanie w *Le Figaro* z niedawnego posiedzenia ekumenicznego w Uppsali, Ojciec Maurice Villain wyraził zadowolenie, że „dogmatyzm" odniósł zwycięstwo nad „socjologią". Określenia te, o ile je przeanalizujemy dokładniej, mogą przynieść niespodzianki. Socjologowie mogliby wyjaśnić „dogmatystom" na czym polega jedna z przyczyn zajmowanej przez nich postawy: nastawienie konserwatywne zmierza, pod pretekstem utrzymania pewnej „prawdy", do zamknięcia w skorupie wspólnoty. (W Holandii przeprowadza się rozróżnienie w rozmowie potocznej między chrześcijanami tradycyjnymi a chrześcijanami „samowolnymi"). Ojciec Villain dodawał: „W Uppsali nikt nie poderwał się z krzesła by kontestować lub potrząsać widmem „obalenia mitologii" czy też „śmierci Boga", jak obawiali się tego niektórzy". Stwierdzenie takie — to westchnienie ulgi. Chrześcijaństwo wierzy, iż będzie mogło ponownie zapaść w sen. Jest to jednak tylko złudzenie. Rewolucja, która toczy się, wybiegnie wkrótce poza wszystkie, proponowane obecnie formułki.

Przemiany zapoczątkowane podczas drugiego soboru watykańskiego iść będą swym biegiem w dalszym ciągu mimo — a raczej na skutek — niedawnego „zahamowania". Najlepiej byłoby gdyby przemiany te rozwijały się łagodnie za pośrednictwem nowych interpretacji podobnych do tych, jakie proponuje katechizm holenderski. Miłosierdzie chrześcijańskie musi najpierw zacząć działać wśród chrześcijan. Nie jest rzeczą łatwą zmienić tekst powtarzany słowo w słowo od wieków, głęboka myśl nie powstaje bez konwulsji i bólów towarzyszących rodzeniu. Sam tego doświadczyłem. Przez długi czas usiłowałem — bez osiągnięcia jednak pełnego skutku — podporządkować mą wiarę panującej ortodoksji. Będę więc zawsze wyrozumiały w stosunku do tych, którzy nie od razu znajdują w sobie dostateczną siłę by zwrócić się w pożądanym kierunku. Pewna powolność wchodzi zresztą w skład ewolucji Kościoła i jest jej potrzebna. Z drugiej jednak strony wiek nasz wysuwa pilne problemy, i to także należy zrozumieć. Te sprzeczne ze sobą konieczności stwarzają trudności przy rozwiązywaniu problemów.

Pragnąłbym, by ludzie ożywieni nowym duchem wtargnęli

pokojowo do synodów, stowarzyszeń katolickich, miejsc kultu. Czy jednak postępując z taką dyskrecją spełnimy zadania? W moim przekonaniu metoda ta nie jest wcale równoznaczna z obawą przed głoszeniem swych poglądów, ani też z odmową poświęcenia się za nią. W ciągu ostatnich lat stwierdziłem z radością, że zarówno w Nimegen jak w Rzymie istnieje ta sama niechęć do wywołania i rozwinięcia schizmy. Gdyby jednak — jak to pozwalają przypuszczać przeprowadzone ostatnio „ankiety" — Watykan uważał, iż należy narzucić płaszczyk obłudy dzisiejszym „Holendrom", podobnie jak wczorajszym modernistom, to wierni powinni zamanifestować swe przywiązanie do tłumionej chwilowo tendencji. Marzę czasami o jakiejś odznace — mógłby to być na przykład biały krzyż — która pozwoliłaby tym wiernym uczestniczyć w dalszym ciągu w kulcie lecz wskazywałaby jednocześnie, że są oni zwolennikami interpretacji, która spotkała się z potępieniem. Każdemu przecież wolno wejść do kościoła. Czyżby miano ośmielić się do tego stopnia by odmawiać sakramentów uczniom Chrystusa?

Gdyby do tego doszło, to skandal taki zdyskredytowałby przed Historią Papieża, który byłby sprawcą owego nieporozumienia. Otóż, mimo wielu błędów tylu Papieży wierzę, iż podlegają oni pewnemu zasadniczemu natchnieniu (można nazwać je, jeżeli się chce, działaniem Ducha Świętego), które w momentach decydujących zmienia i prostuje ich fałszywe osądy. Trudno o lepszy przykład tego rodzaju natchnienia jak inicjatywa zwołania Soboru, którą rzucił Jan XXIII. Poziom intelektualny tego Papieża — widać to z jego dziennika osobistego — nie przekraczał właściwie poziomu proboszcza wiejskiego z XIX wieku. A mimo to uratował on chrześcijaństwo przed strupieszeniem. Za wcześnie jeszcze na to by wydawać sądy o Pawle VI. Pontyfikat jego nie będzie w każdym razie trwał zbyt długo, gdyż pragnie on — jak to stwierdzają krążące pogłoski — zastosować w stosunku do siebie zasadę granicy wieku tak, jak stosuje ją wobec kardynałów. Co w dniu ustąpienia pozostawi on za sobą? Wspomnienie, iż reprezentował pewną „reakcję"? Reakcja ta była z pewnością konieczna dla „zniesienia istniejącej hipoteki". Gdyby jednak okazało się za kilka miesięcy czy za kilka lat, że odwracała ona dzisiejszą młodzież od Chrystusa, że zachwiała Kościołem zamiast go wzmocnić, to nikomu nie wolno przypuszczać, że Ojciec Święty będzie w dalszym ciągu upierać się przy niej pod wpływem pychy lub uporu. W podobnym wypadku mógłby on przyśpieszyć datę swego ustąpienia, lecz uprzednio powinien przeprowadzić reformę Świętego Kolegium w taki sposób by odzwierciedlał lepiej współczesne chrześcijaństwo. W oczach przyszłych pokoleń Paweł VI byłby wówczas wielkim Papieżem, na tyle przywiązanym do Chrystusa, by poświęcić siebie samego oddając władzę innym po to aby sprawowali ją lepiej niż on.

Wierność przyczyniła się do rozpowszechnienia chrystianizmu, brak wierności mógłby spowodować jego śmierć. Czyżby na pytanie Chrystusa („Mówcie, kim jestem?") ludzkość miałaby w rezultacie odpowiedzieć: trupem? Odpowiedź taka, sprowadzająca się do tego jednego słowa, o ile formalnie zgodna jest z rzeczywistością gdy chodzi o ciało Chrystusa, to przecież pomijałaby prawdę znacznie bardziej istotną. Ludzkość zaprzeczyłaby samej sobie gdyby wyrzekła się tej najwyższej, najbardziej intensywnej obecności z jaką zetknęła się kiedykolwiek. W pewnym sensie byłoby to morderstwem żywej istoty. Nie będę spólnikiem w tej zbrodni. Wkraczamy tutaj w dziedzinę związaną z zaangażowaniem. Wszelka nowa interpretacja wiary chrześcijańskiej domaga się większej żarliwości. Czy nie należy jednak przewrócić porządku tego ujęcia i powiedzieć, że ta interpretacja jest już ilustracją tej żarliwości?

W potocznych dyskusjach rozróżniamy — trochę pobieżnie — trzy typy chrześcijan: integralnego, progresistę i liberała. Zwykle umieszcza się mnie w tej ostatniej kategorii. Zgadzam się na tę klasyfikację, lecz mam nadzieję jednocześnie, że czytelnik wyrobi sobie dzięki mojej książce nową ideę o chrześcijaninie liberalnym. Nie jest on i nie może być osobą bez wyrazu, niezdecydowaną, miękką. Ci, którzy opisują go używając tego rodzaju określeń, nie umieją sprecyzować swej myśli. Nazywają go sceptykiem podczas gdy zadziwia on ich swą wiarą. Chce on wierzyć do tego stopnia w to co mówi, że nie zgadza się, by przy odmawianiu *Credo* zgłaszać wewnętrznie, tak jak inni, zastrzeżenia myślowe. Jest więc partnerem, który opuszczając ogólnie przyjętą grę, wywołuje skandal. Lecz on także — i słusznie — jest oburzony. Konserwatyści szepczą mu na ucho: „Dlaczego ma pan wahania gdy chodzi o zaprzeczenie wiedzy w tej dziedzinie, jeżeli zaprzeczył już jej pan w innej? W każdym razie czyż religia chrześcijańska nie jest dyscypliną myślową, która opiera się na legendzie?" A rewolucjoniści wykrzykują chórem: „Ależ oczywiście, niech pan szanuje tradycyjne świecidełka; mogą się jeszcze przydać. Lecz jak pan wie, istota sprawy leży gdzie indziej. Chrystus — to lewica". Konserwatyście liberał odpowiada: „Przypisując Chrystusowi te czy inne myśli sztywne lub łatwe, nie sprawiamy mu zaszczytu. Modlitwa moja oparta na surowości jest bardziej wartościowa od pańskiej modlitwy wywodzącej się z usłużności". Rewolucjoniście zaś powie: „Słownictwo pana jest mi obce. Religia nie może złączyć się na stałe z jakąkolwiek partią. Będzie ona istnieć w przyszłości, podczas gdy dzisiejsze partie znikną a nasze wyobrażenia o przyszłości przejdą również do starożytno-

ści. Pole, na którym rozwija swą działalność polityka, nie jest zresztą płaską płaszczyzną, lecz kulą gdzie w pewnym punkcie skrajna lewica staje się skrajną prawicą".

Chrystus nie jest dla mnie ani osobą mityczną ani zwykłym poprzednikiem Marksa. Dlatego też odrzucam zarówno legendy, które stworzono naokoło niego, jak i slogany propagandowe, które wykorzystują jego imię. Nie zgodzę się nigdy na to, by otaczano pogardą intelektualną niektóre elementy myśli chrześcijańskiej. Moim zamiarem było zwrócenie się na równej stopie do nie-chrześcijan, w tym samym co oni duchu szczerości, używając jak najbardziej niepokalanych broni. W książce tej dałem wyraz tylko temu co myślę i napisałem wszystko co myślę. Cóż za wyzwolenia dla mnie, i mam nadzieję również, dla innych.

Alfred FABRE-LUCE

(Autoryzowany przekład Pawła Zdziechowskiego)

MARIAN KUKIEL

GENERAŁ SIKORSKI

Monografia

Stron ok. 270.

Cena księgarska: 30/-, $ 4
Cena w subskrypcji: 24/-, $ 3

Termin subskrypcji upływa 30. IX. 1969.
poza Wielką Brytanią 31. X. 1969.

Zgłoszenie subskrypcyjne *Do księgarni*

Imię i nazwisko .....*K.O.W. VERITAS*

Adres .....*4-8 Praed Mews,*
.....*London, W.2.*
.....*England.*

Zamawiam ..... egz. książki „GENERAŁ SIKORSKI" Mariana Kukiela.
Załączam czek, P.O., M.O. na sumę .....

.....
podpis

Sprawy i troski

"Skandal"

Pod powyższym tytułem ukazał się w *Narodowcu* z dnia 10/11 sierpnia rb. (Nr 187) artykuł redaktora naczelnego, Michała Kwiatkowskiego, który ze względu na jego wagę przedrukowujemy z niewielkimi skrótami:

„Odkąd rozpoczęły się masowe wyjazdy emigrantów polskich na wakacje do Kraju, nasze organizacje niepodległościowe zastosowały następującą, rozumną zasadę: nie sprzeciwiać się wyjazdom prywatnym, nie mającym jakiegokolwiek charakteru politycznego; natomiast nie wyjeżdżać nigdy jako organizacje, by nie wytwarzać pozorów, jakoby Wychodźtwo nasze godziło się na obecną dyktaturę reżymową w Polsce i nawiązywało z nią współpracę.

Dotychczas, powyższa zasada była na ogół powszechnie szanowana.

Dała ona Wychodźtwu liczne korzyści .....

.....

Były jednak i strony ujemne:

Różni agenci reżymowi zaczęli przenikać do naszego środowiska emigracyjnego, mniej uodpornionego na ich zakusy.

Korzystali z nieuniknionych kontaktów, nawiązywanych z władzami reżymowymi przez poszczególnych wychodźców, udających się do Kraju, by następnie usiłować przenikać do niepodległościowych organizacji emigracyjnych i podminowywać ich podstawowe założenia ideowe.

Wysuwali oni różne, nęcące propozycje i umyślnie otaczali mgiełką, wszystko to, co nas dzieli od reżymowców. Podkreślali, że występują jako Polacy, że działają nie jako partyjnicy, lecz w imię interesów ogólnopolskich (jak sprawa Odry i Nysy, języka polskiego i podtrzymywania tradycji ojczystych na wychodźtwie).

Osoby naiwne, lub ideowo niewyrobione, zaczęły ulegać ich namowom. Tym bardziej, że niektórzy księża, utrzymujący również kontakty z Krajem, zaczęli zajmować bardziej oględne stanowisko wobec bezbożnego reżymu, by nie krępować sobie rąk na przyszłość.

W tych warunkach walka o nasze podstawowe ideały polityczne stała się trudniejsza. Wymaga bowiem większego wyrobienia wśród ogółu Wychodźtwa...

Łatwiej było bowiem potępiać dawniej w czambuł wszystko co pochodzi z Kraju niż obecnie odróżniać ziarno od plewów, w obliczu, z jednej strony, prawdziwych patriotów z Polski, działających dla dobra ogólnego, a z dru-

giej strony, przeszkolonych agentów, działających na rzecz dyktatury reżymowej.

W tej zawiłej sytuacji, „Narodowiec" zajmował zawsze stanowisko jasne, lecz ostrożne. Podkreślając dobitnie żądania prawdziwej niepodległości dla Polski, opartej o pełną wolność polityczną i religijną jej obywateli, pismo nasze unikało, w miarę możności, zbyt ostrego piętnowania poszczególnych działaczy, którym mogła się podwinąć noga. Chcieliśmy bowiem wierzyć, że działali w najlepszych intencjach i mylili się tylko dlatego, że nie doceniali prawdziwego znaczenia niektórych posunięć!

Tym bardziej stanowczo musimy potępić skandaliczny udział gniazda Sokołów z Carvin w obchodach 25-lecia Polski reżymowej w Kraju! Nie tylko, że to gniazdo, skąd inąd zasłużone, nawiązało kontakty z reżymem jako organizacja — wbrew podstawowej linii politycznej, powszechnie przyjętej na Wychodźtwie — ale uczestniczyło w manifestacjach, upamiętniających UJARZMIENIE NASZEJ OJCZYZNY PRZEZ OBCĄ DYKTATURĘ!

Skandal ten jest tym większy, że rzuca cień na sztandarowy ruch naszej Emigracji! .....

.....

Czas najwyższy, aby należycie napiętnować takie wyskoki i wyciągnąć z nich należyte wnioski! Jeżeli tego nie uczynimy, nasza Emigracja zatraci wkrótce cały swój dorobek duchowy i własną rację bytu!

Michał KWIATKOWSKI
Dyrektor „Narodowca"
i wiceprezes Związku Sokołów"

Jest to stanowisko jak najbardziej słuszne. *Kultura* zawsze stała na stanowisku, że kontakty z krajem czy odwiedziny kraju przez emigrantów — a specjalnie ich dzieci — naukowców itp. są wskazane i pożyteczne, pod warunkiem, że nie zostaną wykorzystane przez władze PRL. Niestety w ostatnim okresie, a specjalnie w czasie uroczystości obchodu 25-lecia Polski Ludowej, zaczęły pojawiać się bardzo niepokojące symptomy. Było np. niewątpliwie pożyteczne, że szereg zespołów tanecznych i chórów emigracyjnych wziął udział w festiwalu w Rzeszowie, ale uważamy za rzecz niedopuszczalną fakt, że zespoły te występują w Belwederze ku czci marsz. Spychalskiego, zaś kierownicy i kierowniczki zespołów nie umieją powstrzymać się od deklaracji czy wywiadów prasowych. Wymiana naukowa jest niewątpliwie pożyteczna, ale czy trzeba okupywać ją wystąpieniami profesorów w Towarzystwie Łączności z Polonią Zagraniczną? Kto na przykład upoważnił pp. Adama Krajewskiego z W. Brytanii, Pawła Poziemskiego z Francji, Mariana Grajewskiego z NRF, Jana Sławeckiego z Danii, Romana Witkowskiego z Kanady, Franciszka Martin-Matuszewskiego z Buffalo, St. Podolskiego, wice-prezesa Zjedn. Polskich Domów dla Dzieci w Sydney, Antoniego Neważnego z Holandii, Antoniego Kmiecika z NRF, Leona Grochowskiego — biskupa Polskiego Kościoła Narodowego w USA czy St. Nowaka — wice-prezesa Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego w Chicago — by reprezentowali emigrację wobec władz PRL?

Z jakiego tytułu Jarek Ilnicki z Australii, Helenka Jędrzejak z Francji i Elżunia Maltese z Tunizji reprezentowali „dzieci polskie z całego świata" w Radzie Państwa PRL odśpiewując „hymn młodzieży polonijnej", skomponowany w Limburgii (Belgia) z refrenem: „My, młodzież polska z zagranicy / chcemy wiernymi być ojczyźnie robotniczej"? Z tym że jak podaje prasa krajowa, ten hymn jest rzekomo niezmiernie popularny wśród młodzieży polonijnej. Dlaczego kierownicy wycieczek emigracyjnych — w tym liczni księża — występują oficjalnie, do czego nie mają żadnego tytułu?

Zrozumiała tęsknota za krajem wpływa na dużą ilość wyjazdów do Polski, ale coraz częściej otrzymujemy wiadomości, że konsulaty PRL uzależniają wydawanie wiz od wycofania się z działalności społeczno-politycznej na emigracji i coraz częściej sugerują współpracę czysto wywiadowczą. Sprawa ta dojrzała do tego, by ją na serio przedyskutować i to publicznie — we wszystkich ośrodkach emigracyjnych. Miejmy nadzieję że artykuł p. M. Kwiatkowskiego, który redaguje i wydaje największe pismo codzienne na emigracji, taką dyskusję spowoduje.

I jeszcze jedna uwaga: odnosimy się z największą życzliwością do Polonii Amerykańskiej, z sympatią obserwując wysiłki podniesienia jej roli i znaczenia oraz aktywność nowych przywódców polonijnych. Tym przykrzej zaskoczyły nas informacje, że prez. A. Mazewski odmówił wzięcia udziału w obchodzie Montecassińskim, motywując to rzekomo politycznym charakterem tej uroczystości. Miejmy nadzieję, że wiadomość ta jest nieścisła — lub że p. Mazewski siłą rzeczy nie mogący orientować się w stosunkach emigracji europejskiej, został wprowadzony w błąd przez niektórych swych doradców. Tak samo szkoda, że w rezolucjach uchwalonych na konferencji intelektualistów, zwołanej przez Kongres Polonii w Cambridge Springs „wezwano organizacje polonijne, aby zachęcały wycieczki naszej młodzieży do Polski" — nie precyzując ram, których nie należy przekraczać.

◆

Jak daleko idzie penetracja i — nie wahajmy się użyć tego słowa — prowokacja PRL, świadczy o tym skandal, który ostatnio wybuchł w Australii. Mianowicie masowo jest tam rozsyłana broszurka pt. „Avenue of the Righteous" (A resume of Polish-Jewish Relations Yesterday and Today „published by the Editorial Committee of the Polish Association in Newcastle, NSW"). Jest to zbiór najbardziej antysemickich artykułów z prasy krajowej jak np. z *Trybuny Mazowieckiej* i *Żołnierza Wolności*, wypowiedzi Gomułki, Cyrankiewicza, Rusinka, Walichnowskiego czy innych. Charakterystyczne, że broszurka ta jest głównie rozsyłana do Polaków i Żydów a nie do Australijczyków. W tej sprawie Andrzej Chciuk ogłosił w *Tygodniku Polskim* w Melbourne z 16 sierpnia rb. list otwarty, domagając się wyjaśnień od Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Związku Polskiego w Newcastle, który

figuruje jako rzekomy wydawca, oraz od redakcji *Wiadomości Polskich* w Sydney, które tę broszurkę oceniły pozytywnie.

Chciuk swój list otwarty kończy następującymi słowami:

„Co innego jest bronić prawdy i mówić o niej (ale z dowodami, panowie, z dowodami, nie z powoływaniem się na notorycznych kłamców i stupajów, antysemitów i sługusów Rosji), a zupełnie co innego próbować przedstawić prawdę w ten sposób, że wszyscy Żydzi to niewdzięczne świnie, a Polacy to święci i że miliony Polaków ratowały Żydów. Bo tak nie było. Niestety, ale tak nie było. Co innego jest przygważdżać kłamstwa żydowskie, bo i takie niestety się zdarzają, czy tendencyjne przemilczania, a co innego na serio powoływać się na ordynarne propagandowe kłamstwa tych, co Żydów z Polski teraz wypędzają, a chcą się w oczach durniów i ignorantów przedstawić za wielkich demokratów — zaś prześladowanych Żydów chcą z kolei przedstawić jako podżegaczy, buntowników, szpiegów i niewdzięczników wobec cudownego systemu jaki rzekomo w Polsce istnieje.

Społeczeństwo polskie w Australii powinno odciąć się od takich panów, którzy chcą służyć propagandzie reżymowej, jej kłamstwu i jej celom".

◆

W chwili oddawania numeru do druku dowiedzieliśmy się o odbytej w Radio Warszawa I dnia 8 sierpnia rb. „rozmowie z uczestnikami uroczystości 22 Lipca w Polsce na temat ich wrażeń z pobytu w Polsce". Występowali, prof. Wacław Jan Godlewski z Francji, L. Kubicki z NRF i Zb. Pachoński, sekretarz Polsko-Szkockiego Twa Kulturalnego.

REDAKCJA

50-ciolecie Stow. Inżynierów i Techników Polskich we Francji

Rocznic w tym roku mamy wiele. Mnożą się już 20-lecia czy 25-lecia poszczególnych organizacji i instytucji polskich zagranicą, a w szczególności we Francji, gdzie tradycje naszego masowego osiedlania się są bardzo stare.

STOWARZYSZENIE INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW POLSKICH WE FRANCJI, istniejące już pół wieku, obchodziło swój jubileusz bez tradycyjnej akademii, ale w sposób zupełnie w

społeczności polskiej nieznany. Jest to wydarzenie w naszym życiu publicznym, które zasługuje na omówienie.

Imprezy zorganizowane przez Stowarzyszenie, w ramach obchodu 50-lecia, trwały przeszło miesiąc. Dnia 10 maja 1969 r. w Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyła się debata, która miała być trzonem obchodu: *asymilacja czy integracja?*

Członkowie S.I.T.P.F. są z natury rzeczy ludźmi „zintegrowanymi". Są włączeni do gospodarki francuskiej, bądź pracując w przedsiębiorstwach francuskich, bądź produkując we własnych przedsiębiorstwach dla francuskiego odbiorcy. Ale jest ich kilkuset, którzy zrzeszają się w polskiej organizacji technicznej, podkreślając przez to, że nie są kandydatami na asymilację. Ta postawa predestynowała ich do postawienia publicznie problemu zasad współżycia Polaków z krajem ich zamieszkania.

Serię krótkich referatów rozpoczęło przemówienie księcia Andrzeja Poniatowskiego, prezesa Towarzystwa Historycznego i Literackiego. Prezes S.I.T.P.F. inżynier-urbanista Janusz Deryng, który nad problemem integracji pracuje od kilku lat, przedstawił prelegentów publiczności. Ze strony francuskiej zabrali głos: pani Reiss-Permentier z redakcji *Esprit*, p. Robert Lange, dyrektor generalny „Association des Amis de la République Française" i p. Eugène Guitton, prezes „Association Française des Ingénieurs Professionnels", zaś ze strony polskiej p. Robert Hyży, syn górnika z Pas de Calais, urodzony we Francji, autor tezy dyplomowej o emigracji polskiej w Nord i Pas de Calais, Zygmunt Markiewicz, profesor języka i literatury polskiej na uniwersytecie w Nancy i inż. Stefan du Château, dawny prezes Stowarzyszenia.

W dyskusji wzięli udział profesorowie Fabre i Etienne Decaux, stykający się na co dzień z problemami polsko-francuskimi na odcinku naukowym. Problem nauczania języka polskiego we Francji był chyba najszerzej dyskutowany. Dowiedzieliśmy się między innymi jak władze reżymowe systematycznie likwidują naukę języka polskiego wśród Francuzów przez niedopuszczanie umiejących po polsku do funkcji, w których znajomość naszego języka mogliby wykorzystać. Warto by do tego problemu kiedyś wrócić, bo niewiele osób zdaje sobie sprawę, że wymagania Bezpieki torpedują wysiłki polskich polonistów.

Pierwszego dnia obrad — wyłoniono cztery komisje, mające za zadanie przygotowanie tez na następne posiedzenie. P. Hyży stanął na czele komisji dla spraw problemów psychologicznych i terminologii, prof. Decaux i p. Monika Zaleska-Ciechanowicz — komisji nauczania polskiego, ks. Gutowski — komisji zajmującej się problemami życia duchowego, a pani Reiss-Permentier — komisji dla spraw małżeństw mieszanych.

Deputowany Jean-Paul Palewski przedstawił zebranym, 13 czerwca, konkluzje prac komisji. Stwierdził przede wszystkim, że w stosunkach między społecznością polską, a społeczeństwem francuskim zaszły głębokie przemiany w okresie ubiegłego pięćdziesięciolecia. Francja w latach po pierwszej wojnie światowej była pod obuchem olbrzymich strat wojennych w ludziach, sta-

nowiąc społeczeństwo zamknięte, o charakterze rolniczym, nic więc dziwnego, że pragnęła jak najszybciej asymilować napływające masy cudzoziemców. Dziś Francja jest społeczeństwem otwartym, o charakterze przemysłowym, rozumiejącym, że integracja daje jej więcej niż asymilacja. P. Palewski postawił szereg konkretnych wniosków, zmierzających do pogłębienia studiów dotyczących ludności pochodzenia cudzoziemskiego.

◆

Po obradach paryskich, inżynierowie (ok. 40 osób) udali się na prowincję, do departamentów Pas-de-Calais i Nord, gdzie mieszka bez mała 30 % ludności polskiej we Francji.

Wieniec złożony na La Targette, pod pomnikiem ochotników polskich z wojny 1914-1918, był dla S.I.T.P.F. niejako „powrotem do źródła", gdyż z tego pokolenia wyszli założyciele Stowarzyszenia obchodzącego swoje 50-lecie.

W czasie wizyty na ratuszu miasta Lens, deputowany-burmistrz Lens, p. André Delelis (socjalista) oświadczył, że okręg Lens musi jak najszybciej przestawić się z zamierającego górnictwa węglowego na przemysł. Temat dla Polaków bardzo istotny, z uwagi na to że ogromna większość naszych rodaków — to górnicy. Dyskusja nad wykładem p. Delelisa była zaskoczeniem dla burmistrza: z grona polskich inżynierów coraz to ktoś zabierał głos informując jakie prace jego paryskie biuro wykonuje na terenie dystryktu Lens.

Po obiedzie u sióstr polskich w Fouquières-les-Béthune, które prowadzą prywatną szkołę techniczną dla dziewcząt, zwiedzanie zony uprzemysłowienia w Seclin pod Lille. Inżynierowie polscy są gośćmi Izby Przemysłowo-Handlowej w Lille, a wyjaśnień udziela p. Matteoli, Komisarz Rekonwersji Przemysłowej Regionu Północnego. I znów nie przemówienie grzecznościowe, ale dyskusja z fachowcami. Strona francuska jest mile zdziwiona: nowością jest nie fakt istnienia inżynierów polskich we Francji, ale zetknięcie się ze zorganizowaną grupą polskich techników, mającą w swoim gronie sporo wybitnych specjalistów.

Na ratuszu stolicy Flandrii, obchodzącej 300-lecie przyłączenia do Francji, inżynierowie polscy usłyszeli z ust zastępcy burmistrza Lille:

> „Mało imigrantów zadaptowało się tak łatwo jak emigracja polska; mówię wyraźnie: zadaptowali się, ale nie rozpłynęli się i to jest szczęśliwe. Ich oryginalność w dobrym tonie i ich wierność dla tradycji zostały specjalnie docenione w tym regionie. Czy to chodzi o Polaków, rezydujących we Francji czy też o Francuzów polskiego pochodzenia, zdołaliście utrzymać jedność w różnolitości, co jest zresztą tematem rozwijanym w Waszych broszurach. Opowiadacie się za integracją, a przeciw asymilacji, która — jak twierdzicie — doprowadza do zniszczenia wszystkich wartości swoistych i oryginalnych danej grupy socjalnej".

◆

Wieczór 14 czerwca poświęcony był kulturze polskiej. I znowu dalecy byliśmy od żałosnych improwizacji w których jest dużo patriotyzmu, a mało sztuki! Koncert dawnej muzyki polskiej w pięknym zabytkowym pałacyku Hospice Comtesse był wydarzeniem muzycznym. Profesor Jan Myciński mówił interesująco o starej muzyce polskiej; wśród kilkuset słuchaczy, większość stanowili Francuzi i młodzi Polacy z Francji, którzy zazwyczaj znają tylko muzykę polskiego folkloru. Sześć utworów odegranych przez orkiestrę konserwatorium w Lille pod batutą prof. Robert Lannoy, 1-er Grand Prix de Rome, było także czymś więcej niż punktem programu zjazdu polskiej organizacji.

Następnie przyjęcie w Hôtel Juge Garde, w którym się mieści atelier urbanistyczne inż. Derynga. Zaproszeni — do których się dołączył p. Pierre Dumont, Prefekt regionu Nord - Pas-de-Calais, oglądali występy taneczne dwu solistów francuskich i dwu zespołów: zespołu polskiej młodzieży katolickiej z Lille-Roubaix i zespołu ukraińskiego. Zaproszenie Ukraińców zasługuje na specjalne podkreślenie, jako dowód przyjaznych stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami.

Zakończenie obchodu 50-lecia miało miejsce w Paryżu. Po pielgrzymce na polski cmentarz w Montmorency, bankiet w Cercle Républicain, na którym przemówił deputowany p. Michel Poniatowski, jeden z aktywniejszych parlamentarzystów francuskich, podkreślający swoje polskie pochodzenie, mimo iż jego rodzina osiadła we Francji w XVIII wieku. Paryski Cercle Républicain, lokal ponury i o nie najlepszej kuchni, jest politycznie „dobrym adresem"; odbywają się tam liczne zjazdy, odczyty, bankiety partii i organizacji politycznych; fakt że S.I.T.P.F. tam właśnie zakończyło swój jubileusz nie jest bez znaczenia.

Na zakończenie tego sprawozdania należy zaznaczyć że Komitet honorowy obchodu składał się z pierwszoplanowych osobistości ze świata polityki i wysokiej administracji francuskiej, z jednym urzędującym ministrem włącznie (p. Maurice Schumann, obecny minister spraw zagranicznych) Wydano ładnie ilustrowaną broszurę po francusku z programem obchodów oraz rocznik S.I.T.P.F. z imiennym wykazem członków. Niewątpliwie najwięcej wysiłku włożył w przygotowanie 50-lecia niestrudzony prezes S.I.T.P.F. — Janusz Deryng, ale nie był to występ indywidualny. Inż. Deryng tak rozdzielił role, że znalazło się w tej dużej imprezie miejsce dla wszystkich chyba dawnych prezesów organizacji i wielu jej członków.

Oczywiście były i usterki.

Przede wszystkim rzucała się w oczy nieobecność sekretarza stanu Jean de Lipkowskiego, którego dziadek był założycielem Stowarzyszenia, a ojciec — ostatnim jego przedwojennym prezesem. Ta nieobecność jest może najlepszym przykładem różnicy między integracją a asymilacją.

Z polskiego punktu widzenia, wydaje się przesadnym wyeliminowanie języka polskiego niemal z całego programu 50-lecia, tym bardziej, że z jednej strony stale się mówiło jak uczyć naszego języka i jak go chronić, a z drugiej im gorliwiej ktoś przemawiał za integracją... tym gorsza była jego francuzczyzna!

Tym niemniej wystarczy porównać obchody 50-lecia S.I.T.P.F. z różnymi innymi polskimi uroczystościami, żeby zdać sobie sprawę z różnic. Wreszcie polska organizacja potrafiła urządzić imprezę bogatą w treść i prowadzoną z dużym rozmachem. Niektórzy zapytają dlaczego to wszystko — tak dalekie od techniki — zrobili właśnie inżynierowie? Dlatego, że chcieli i umieli!

J. J.

1.000.000

GILETTE super silver wysłał w bieżącym roku do Kraju T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy" z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów" otrzymywało się w Kraju do 280 złotych".
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH T A Z A B A ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and C°., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, L O N D O N, S.W.7.

16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003, Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17e, Tel.: 924-0045

Kronika kulturalna

Architektura i urbanistyka polska

Druga wojna światowa zakończyła się przed niemal ćwierć wiekiem. Od owego czasu po dzień dzisiejszy architektura polska przechodziła różne koleje losu, wzloty i upadki. Dla lepszego zrozumienia przyczyn jej rozwoju (lub niedorozwoju w pewnych okresach) warto przypomnieć w jakich warunkach rozwijała się architektura powojenna w Polsce i jakie to czynniki miały decydujący wpływ na jej kształtowanie.

◆

Zasadnicze zmiany profilu politycznego, socjalnego i ekonomicznego w kraju musiały siłą rzeczy odbić się na wszystkich dziedzinach życia i znaleźć odzwierciedlenie w olbrzymich trudnościach pierwszego okresu powojennego. Był to czas odbudowy zniszczeń wojennych, oczyszczania miast z gruzów, oraz nienotowanej nigdy dotąd migracji ludności. Przesiedlanie ludzi z utraconych ziem wschodnich na ziemie odzyskane na zachodzie, powroty z obozów niemieckich, masowe powroty ludności do zrujnowanej stolicy, wyprawy na tereny zachodnie po „szaber" — wszystko to, przy równoczesnej stałej aktywności wojskowych organizacji politycznych, nieufnych w stosunku do nowej „władzy ludowej" i w związku z tym pozostających w podziemiu — stwarzało w kraju specyficzną atmosferę. Marzenia o powrocie do czasów przedwojennych, które dla przeciętnego Polaka były synonimem pokoju i dobrobytu, zostały szybko wymazane przez nową rzeczywistość — nastąpiła reforma rolna, nacjonalizacja prywatnej własności, przemysłu i instytucji; życie codzienne poczęło się układać na zasadach socjalistycznego planowania ekonomicznego.

W takich to warunkach budownictwo i architektura stawały przed nowymi zadaniami, o rozmiarach niespotykanych w dziejach. Kraj leżał w gruzach, Warszawa i niektóre miasta na zacho-

dzie były zniszczone w 85 %. 295.000 budynków w miastach i 467.000 na wsi zostało kompletnie zniszczonych na skutek działań wojennych. Statystyki podają, że ok. 3 miliony izb mieszkalnych (co odpowiada pięciu miastom rzędu Warszawy) zostało zlikwidowanych przez działania wojenne[1].

W lutym 1945 r. utworzono Ministerstwo Odbudowy, które poprzez regionalne Biura Odbudowy (w Warszawie — BOS, Biuro Odbudowy Stolicy) i przy współpracy Centralnego Urzędu Planowania rozpoczęło na szeroką skalę programowanie odbudowy i rozwoju miast i osiedli, usiłując sprostać olbrzymim zadaniom, jak również nadać kierunek spodziewanej urbanizacji i industrializacji kraju. Biura te gromadziły początkowo twórczych architektów, którzy w tym najwcześniejszym okresie powojennym stworzyli szereg udanych projektów, zarówno architektonicznych jak i urbanistycznych. Niestety, ze względów ekonomicznych i bardzo ograniczonych możliwości technicznych, jak też i z przyczyn politycznych, niewiele z nich zostało zrealizowanych. Już w tym wczesnym okresie władze niechętnie widziały projektowanie nawiązujące do form, funkcji i metod architektury krajów zachodnich i poczęły zalecać sięganie raczej do wzorów sowieckich. Jednakże programy nauczania wydziałów architektury w tym czasie bazowały wciąż na doświadczeniach przedwojennych, zaś w pracach studentów widoczny był wpływ Polish School of Architecture z Liverpool, która to szkoła w okresie wojennym grupowała szereg utalentowanych polskich architektów i osiągnęła wybitny poziom nauczania[2]. Tematyka zadań studenckich poświęconych przyszłej odbudowie miast polskich świadczyła, że szkoła ta miała za cel przygotowanie architektów do pracy w kraju po wojnie. Niektórzy z wykładowców i wychowanków tejże szkoły powrócili do kraju (np. Bolesław Szmidt, późniejszy autor obiektów na terenie Targów Poznańskich), inni rozproszyli się po świecie. Wśród autorów pierwszych realizacji warszawskich powtarzały się nazwiska architektów znanych z okresu międzywojennego, takich jak Bohdan Pniewski, autor biurowca Ministerstwa Komunikacji (1948 r.), lub Romuald Gutt, zdobywca pierwszej nagrody w konkursie na budynek Głównego Urzędu Statystycznego i autor jego realizacji (1948). Już w r. 1945 zaczyna być głośne w Warszawie nazwisko autora wielu koncepcji urbanistycznych i architektonicznych — Macieja Nowickiego. Zabłyśnie ono później najjaśniejszym blaskiem na firmamencie architektury światowej. Rozgłos poczęły również zdobywać inne, zdolne zespoły architektów, wśród nich zespół „Tygrysów" (Eugeniusz Wierzbicki, Wacław Kłyszewski, Jan Mokrzyński), który jest twórcą monumentalnego Domu Partii w Warszawie; lub Zbigniew Ihnatowicz i Jerzy Romański, którzy wśród tendencji klasycystycznych opanowujących polską architekturę i narażając się na ataki i

1. *Building and Architecture in Poland*, 1945-1966, praca zbiorowa, Warszawa 1968, str. 10 i str. 40.

2. *Polish School of Architecture*, Univ. of Liverpool, 1945.

przykrości, potrafili stworzyć modernistyczny, przeszklony budynek CDT (Centralny Dom Towarowy) w Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Realizacja ta wyraźnie wskazuje drogę, którą niewątpliwie poszłaby polska architektura, gdyby narzucone przez władze niedowarzone recepty na projektowanie nie zahamowały jej rozwoju. Także Marek Leykam nie poszedł drogą soc-realizmu realizując nowoczesny Dom Towarowy w Poznaniu (1952), zwany ze względu na swą niecodzienną formę „okrąglakiem". Niewątpliwie pozytywnym osiągnięciem tego okresu był projekt i realizacja Trasy W-Z w Warszawie (J. Sigalin, St. Jankowski, Z. Stępiński, J. Knothe). Trudne zadanie przeprowadzenia trasy komunikacyjnej odpowiadającej współczesnym wymogom, poprzez historyczny zespół staromiejski, — stało się w efekcie sukcesem zarówno technicznym i funkcjonalnym jak i estetycznym. Ciekawy plon projektowy przyniósł rozpisany w r. 1948 konkurs na teatr w Łodzi (pierwsza nagroda J. i W. Korscy), jednakże późniejsza realizacja tego obiektu natrafiała na duże trudności. W ciągu następnego roku Warszawa otrzymała szereg budynków kinowych, projektowanych głównie przez Mieczysława Pipreka. Jego specyficzny styl przyjął się później w popularnej nazwie na podobne budynki — „pipreki".

Rozpoczęcie budowy pierwszych wielkich osiedli mieszkaniowych (Koło, Mokotów) zaczyna nową erę masowego budownictwa mieszkaniowego, przy pierwszych, nieśmiałych próbach stosowania nowych technik budownictwa uprzemysłowionego. Przez długie jeszcze lata jednak cegła pozostanie wciąż podstawowym budulcem, wpływając na zacofanie kraju w postępie budowlanym. Do dziś w większości osiedli mieszkaniowych króluje typowy 4-5-piętrowy ceglany budynek, z katalogowymi oknami, pozbawiony wind i z odkładanymi na całe lata robotami tynkarskimi. Ze względów oszczędnościowych zagospodarowanie terenu i urządzenie zieleńców również odkładane były na później, nie przydając uroku zamieszkałym już osiedlom. Począwszy od roku 1949 funkcje budowy osiedli mieszkaniowych w kraju przejął i scentralizował Zakład Osiedli Robotniczych (ZOR), który w latach późniejszych przeobraził się w Dyrekcję Budowy Osiedli Robotniczych (DBOR).

W tym okresie daje się już odczuć w architekturze i planowaniu miast przemożny wpływ zagadnień odbudowy i konserwacji zabytków, który zaciąży nad twórczością architektów na długie lata. Szlachetny w założeniach aspekt szacunku dla reliktów przeszłości, w warunkach dyktowanych przez planowanie socjalistyczne stracił całkowicie swój sens i umiar. Powodując się wyłącznie względami emocjonalnymi poczęto nie tylko restaurować ocalałe zabytki, co jest godną pochwały procedurą, ale i odbudowywać od nowa całkowicie zniszczone budynki i tworzyć nowe kompozycje na tematy historyczne. Pomimo zdumienia i sprzeciwu specjalistów zagranicznych wobec naruszania uznawanych w świecie reguł prac konserwatorskich „nowa polska robota w dziedzinie rekonstrukcji historycznej dawała zaspokojenie ma-

sowych potrzeb emocjonalnych"[3]. Przykładem czystego nonsensu było odbudowanie dwóch fasad bez wnętrz za nimi (!) podczas renowacji starej zabudowy Lublina. Niesposób jednak nie dać kredytu tak pieczołowitym rekonstrukcjom jak historyczne centra staromiejskie Warszawy, Gdańska czy Wrocławia.

◆

Lepiej byłoby przemilczeć wstydliwie następny okres (1950-1956), byłby on bowiem ogromnie śmieszny gdyby nie jego tragizm. Mam tu na myśli okres rozkwitu i hegemonii tzw. socjalizmu realistycznego w architekturze[4], łączący się z wejściem w życie nowego wynalazku rządowych planistów — pierwszego Gospodarczego Planu 6-cioletniego. Utworzono w randze ministerstwa Komitet Urbanistyki i Architektury (1953), który poprzez sieć wojewódzkich, miejskich i powiatowych wydziałów sprawować miał kontrolę nad działalnością projektową i budowlaną w kraju[5]. W tychże latach powstały wielkie, państwowe biura projektowe grupujące absolwentów wydziałów architektury Politechnik: warszawskiej, krakowskiej, wrocławskiej, gdańskiej, szczecińskiej i gliwickiej. Możliwości stworzone przez gigantyczne zamówienia społeczne w dziedzinie architektury i urbanistyki zostały jednak generalnie zaprzepaszczone przez ów niefortunny soc-realizm. Pominąwszy aspekt estetyki, wynikiem stosowania eklektycznych, klasycyzujących form w architekturze tego okresu były również straty ekonomiczne spowodowane wadliwym projektowaniem oraz stosowaniem kosztownych materiałów, przy równoczesnym wprowadzaniu standardów ograniczających powierzchnię mieszkaniową i oszczędności w podstawowym wyposażeniu mieszkań. Oczywistym błędem było kierowanie się wyłącznie formą zewnętrzną z pominięciem aspektu funkcjonalnego, co musiało doprowadzić w efekcie do zwulgaryzowania form. Choć nie ma się tu specjalnie czym chwalić, wypada wspomnieć z obowiązku kronikarskiego o niektórych „osiągnięciach" tego najbardziej ponurego w dziejach polskiej architektury okresu. A więc prym wiedzie tu ukończona w 1952 roku Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa (MDM) w Warszawie projektu zespołu Zygmunt Stępiński, St. Jankowski, Jan Sigalin i Jan Knothe — fatalna zarówno w swej XIX-wiecznej koncepcji urbanistycznej, jak i pretensjonalnej architekturze, która wraz ze słynnym Pałacem Kultury i Nauki, darem Związku Sowieckiego, zeszpeciła na zawsze najbardziej cenne centrum stolicy. Wspaniałym przykładem przekreślenia rzadkiej szansy na stworzenie nowego, stu-

3. Adam Kotarbiński — *Rozwój Urbanistyki i Architektury Polskiej w Latach 1944-1964*, Państwowe Wydawnictwa Naukowe, Warszawa 1967, str. 34.

4. por. Bogdan Adamski — *Requiem dla Socrealizmu w Architekturze*, *Kultura*, Nr 4/259, 1969, str. 119.

5. por. Bogdan Adamski — *Z Pamiętnika Architekta Powiatowego*, *Kultura*, Nr 1/243-2/244, 1968, str. 129.

tysięcznego miasta na dziewiczym terenie była budowa pod Krakowem Nowej Huty, rozpoczęta w 1950 r. Zespół projektowy Miastoprojektu krakowskiego, pod kierunkiem Tadeusza Ptaszyckiego wyprodukował barokowy, geometryczny plan o symetrycznych, osiowych założeniach, będący zaprzeczeniem zasad nowoczesnej urbanistyki. Również projekty architektoniczne wykonane przez ten sam zespół przyczyniły się w znacznej mierze do ogólnego obrazu brzydoty i śmieszności pierwszego socjalistycznego miasta. Pamiątką żałosnego okresu pozostanie stojący u wejścia do kombinatu, nakryty ciężką czapą renesansowej, kamiennej attyki, budynek biurowy Huty Lenina (Janusz Ingarden). Na tle Nowej Huty korzystnie wyróżniał się urbanistyczny projekt śląskiego miasta Nowe Tychy (autorzy — Kazimierz Wejchert i Helena Adamczewska). Popisowym warszawskim potworkiem jest budynek Ministerstwa Rolnictwa (Jan Grabowski, St. Jankowski, Jan Knothe) wyposażony we wszelkie możliwe atrybuty architektoniczne greckich świątyń. Niewiele ustępuje mu budynek Kliniki Chirurgicznej w Warszawie (Władysław Borawski), imponujący swą potężną, klasyczną kolumnadą. Jedynie architektura obiektów przemysłowych, którą z racji ścisłych wymogów funkcjonalno-technologicznych trudno było przybierać w klasyczne ornamenty, ratowała dobre imię polskiej architektury tego okresu, wraz z doskonałymi projektami pawilonów wystawowych na targi zagraniczne. Niektórzy architekci działający na Podhalu usiłowali wprowadzać formy architektury regionalnej by w ten sposób uniknąć stosowania bzdurnych reguł soc-realizmu. Ale i tu doszło do nonsensownych przerostów, czego przykładem może być wzniesiony w Zakopanem Dom Turysty (Tadeusz Brzoza, Zbigniew Kupiec), pretendujący swą formą do tradycji budownictwa podhalańskiego, choć nawet najstarsi górale nie potrafią dopatrzeć się w tym obiekcie cech architektury swego regionu...

◆

Kiedy wreszcie Chruszczow w swym przemówieniu w roku 1956 wybrzydził się zdecydowanie na klasycyzującą architekturę sowiecką, a polskie władze natychmiast jak echo powtórzyły jego poglądy — nastąpiła dawno oczekiwana „odwilż" w architekturze polskiej i całkowite załamanie się doktryny soc-realistycznej. Jednakże już przedtem (1955) powstał w Warszawie obiekt, który historycy architektury uznają zapewne za przełomowy — Stadion Dziesięciolecia, projektu zespołu: Jerzy Hryniewiecki, Marek Leykam i Czesław Rajewski. Zbudowany na zasadzie nieskomplikowanej, ziemnej konstrukcji, stadion ten jest funkcjonalny, celowy i estetyczny, a pozbawiony klasycznej kolumnady i ornamentacji, tak typowych cech „gotyku Stalina", przywrócił wiarę w zdrowy rozsądek. Zespół Hryniewieckiego i Leykama wykonał również projekt śmiałego i nowatorskiego w swej formie „żyletkowca" Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego w Warszawie. W okresie następnych dziesięciu lat cały szereg udanych realizacji bu-

dynków biurowych zmienia na korzyść sylwetę polskich miast, głównie Warszawy, Katowic i Gdańska. Począwszy od roku 1956 budowane przez ZOR osiedla mieszkaniowe również doznają korzystnych zmian w swym charakterze; zagospodarowania przestrzenne otrzymały ciekawsze, mniej sztywne rozwiązania, a w architekturze poczęto stosować w miejsce dotychczasowych miernot, nowoczesne kompozycje grup wysokościowych budynków o formach „żyletkowców" i „punktowców". W warunkach trudności ekonomicznych, ograniczeń materiałowych i technicznych, tonąc w zalewie biurokratycznych zarządzeń i standardów oszczędnościowych, a także przy niskich płacach — architekci pokazali w swych projektach na co ich stać, gdy da się im nieskrępowaną możność projektowania bez narzucania rozwiązań stylowych. Oczywistym błędem systemu organizacyjnego był całkowity brak kontaktu pomiędzy projektantem a przyszłym użytkownikiem obiektu, co odbijało się ujemnie na realizacjach. Zmiany dały się dostrzec w obrazie plastycznym takich osiedli jak Praga II w Warszawie, oraz w podkrakowskiej Nowej Hucie, gdzie specjalnie korzystnie wyróżnia się grupa wysokich budynków na wzgórzach Krzesławic (Marta i Janusz Ingardenowie). Zmiana struktury koncepcji założeń urbanistycznych nowych osiedli mieszkaniowych przyczyniła się do zróżnicowania wysokości budynków mieszkalnych, wyeliminowania ruchu kołowego z wnętrz osiedlowych, oraz zaopatrzenia w sieć pawilonów usługowych. Postęp dał się zauważyć również w technologii; stosowanie budownictwa wielkopłytowego, pustaków, prefabrykowanych ram konstrukcyjnych stało się dniem powszednim placu budowy osiedla mieszkaniowego. Niestety, zaniżone standardy powierzchni mieszkań ciągle jeszcze przypominały o konieczności oszczędności i wyrzeczeń, a także stawiały nas daleko w tyle poza standardami bogatszych krajów zachodnioeuropejskich. Celem usprawnienia i potanienia budownictwa Rada Ministrów zaleciła ustawą stosowanie w szerokim zakresie projektów i elementów typowych, która to ustawa nie zdała w praktyce egzaminu, a ograniczając twórczą indywidualność stała się ogromnie niepopularna wśród architektów. Za bardzo zdrową i pożyteczną metodę należy uznać natomiast selekcjonowanie ważniejszych projektów na drodze konkursów urbanistyczno-architektonicznych. Wśród ciekawszych wyróżnić można konkurs na rozwiązanie Placu Teatralnego, oraz na Oś Saską w Warszawie, jednakże największe bezwątpienia znaczenie przypisać trzeba rozpisanemu w roku 1959 konkursowi na centrum Warszawy, czyli tzw. ścianę wschodnią ul. Marszałkowskiej, naprzeciw monstrualnego gmachu Pałacu Kultury i Nauki (PKiN). Konkurs ten mający za zadanie naprawić błędy przeszłości i zmienić charakter centrum stolicy, a także w pewnym sensie odwrócić uwagę od straszydła PKiN, przyniósł szereg ciekawych, modernistycznych rozwiązań, z których kilka proponowało nawet ustawienie wysokościowych budynków w bezpośrednim sąsiedztwie PKiN. Były to rozpaczliwe próby zasłonięcia i ukrycia tego wrzodu szpecącego najbardziej wartościowe centrum miasta i stworzenia konkurencyjnej dominanty plastycznej. Zwyciężył koncept zespołu Zb. Karpińskiego i tenże projekt wybrano do realizacji (1962-1967). Dzisiejsza Ściana Wschodnia Placu Defilad prezentuje się jako kompleks wysokich budynków, powiązanych funkcjonalnie w niższych kondygnacjach pawilonami usługowymi. Zgodnie z założeniami konkursu realizacja ta postawiła centrum Warszawy w rzędzie nowoczesnych rozwiązań stolic europejskich i stała się jednym z najbardziej publikowanych obiektów architektury w kraju. W tymże samym okresie, w związku z przestawieniem i unowocześnieniem sytemu handlowego w miastach, rozpoczęto budowę pierwszych, wielkich pawilonów handlowych. Jednym z najbardziej interesujących stał się pawilon „Supersam" w Warszawie (1962), w którym całą przestrzeń budynku pokrywa śmiała konstrukcja wiszącego dachu i w którym po raz pierwszy w kraju zastosowano aluminium. Autorem pawilonu jest niezawodny Jerzy Hryniewiecki wraz z Maciejem i Ewą Krasińskimi. Powstawały również i w innych miastach nowoczesne pawilony gastronomiczne takie jak „Extra" i „Kaskada" w Szczecinie, „Wenecja" w Warszawie, „Alga" w Sopocie i cały szereg pawilonów w Zakopanem. Uznanie zagranicy zdobyły projekty i realizacje polskich pawilonów handlowych na rozmaitych targach i wystawach międzynarodowych, specjalnie w New Delhi, Damaszku, Ismirze, Rio de Janeiro, Buenos Aires i Brukseli. Autorami najciekawszych rozwiązań wystawowych są Oskar Hansen, Stanisław Zamecznik, oraz zespół — Zb. Ihnatowicz, Jerzy Sołtan, Lech Tomaszewski. Udaną konstrukcją jest również pawilon wystawowy typu „Tripolis" zaprojektowany przez zespół architektów i konstruktorów — Jerzy Romański, Aleksander Szwejkowski, Zenon Zieliński i Tadeusz Ziółkowski.

Budownictwo dużych obiektów handlowych, kulturalnych i naukowych również szło w tym czasie drogą poprawnych, prostych i użytkowych reguł współczesnej architektury. W związku z obchodami 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego wzniesiono w Krakowie dla potrzeb uniwersytetu szereg imponujących obiektów o ogólnej kubaturze ok. 400.000 m³. W Warszawie ukończono w r. 1965 budowę (lub raczej odbudowę) ogromnego Teatru Wielkiego, według projektu Bogdana Pniewskiego, który utrzymał neo-klasyczny styl Corazzi'ego. Projekt ten nie znalazł uznania opinii publicznej i był mocno krytykowany nie tylko za styl architektoniczny, ale i za horrendalnie wysoki koszt budowy. Wiele nowych obiektów teatralnych wzniesionych na terenie całego kraju dało już w roku 1965 w skali ogólnokrajowej wysoką przeciętną jednego miejsca teatralnego na 600 mieszkańców, a w dużych miastach nawet jednego miejsca na ok. 100 mieszkańców. Jak grzyby po deszczu powstawały obiekty służące nowoutworzonym instytucjom znanym jako Domy Kultury, które wznoszono zarówno w miastach jak i na wsiach. Za jeden z najciekawszych pod względem architektonicznym projektów tego typu można uznać Dom Kultury w Oświęcimiu, ukończony w r. 1962 (zespół Józefa Polaka). Okres „odwilży" przyniósł nawet

konkursy na projekty kościołów, z których specjalnie konkurs na kościół w Nowej Hucie obfitował w śmiałe i oryginalne rozwiązania. Zwycięzcą konkursu został Zb. Solawa, lecz ani jego projekt, ani żaden inny nigdy zrealizowany w Nowej Hucie nie został, zaś spośród setek projektów budowli sakralnych z terenu całego kraju wpływających do władz z wnioskiem o pozwolenie na budowę, tylko bardzo nieliczne doczekały się realizacji. Z tych ostatnich ciekawą formą wyróżniają się kościoły we Władysławowie (Andrzej Kulesza i Szczepan Baum), oraz w Tarnowie (Jerzy Kozłowski, Krystian Seibert i Zbigniew Wolak).

Budownictwo przemysłowe przodujące w dziedzinie stosowania nowoczesnych metod i technologii i nie mające na swym koncie brzemienia soc-realistycznych form architektury, znalazło olbrzymie pole do popisu wypełniając zadanie uprzemysłowienia kraju w ramach państwowego planu gospodarczego. Powstały giganty przemysłowe takie jak Huta Lenina pod Krakowem, Huta Warszawa, Huta Bieruta w Częstochowie, Petrochemia w Płocku, siłownie przy kopalniach węgla brunatnego w Turoszowie i Koninie, zagłębie siarczane w Tarnobrzegu, lub takie jak nowoczesny park przemysłowy na Służewcu zajmujący teren ok. 260 ha. Jednakże decyzje lokalizacji wielkich inwestycji przemysłowych biorąc pod uwagę wyłącznie czynnik polityczno-społeczny popełniały często jaskrawe błędy urbanistyczne oraz „przynosiły ze sobą poważne patologiczne deformacje w strukturze miast"[6]. Wystarczy tu wspomnieć lokalizację huty „Warszawa" w obrębie przyszłego obszaru rozwojowego dzielnic mieszkaniowych stolicy. O ile metody konstrukcyjne i nowe materiały budowlane wpłynęły na formę plastyczną bryły i elewacji, o tyle aspekt socjologiczny wpłynął na lepsze wyposażenie wnętrz zakładów przemysłowych, poprawiając w znacznym stopniu warunki pracy. Pod względem architektonicznym wyróżnić by można odznaczający się dużą ekspresją platyczną projekt przędzalni w Kaliszu, zbudowanej z prefabrykatów struno-betonowych (Jerzy Główczewski i Stanisław Sikorski — 1962), fabryki mebli w Wyszkowie (Andrzej Dzierżawski, Zbigniew Pawelski i Maciej Siennicki — 1962), fabryki pomp w Warszawie (Zbigniew Pecyński — 1963), fabryki włókien sztucznych w Toruniu (Jerzy Romański, Stanisław Dyszkiewicz i Władysław Wiśniewski — 1965) i wiele innych. Cenną innowacją stał się eksport gotowych obiektów przemysłowych, całkowicie projektowanych w Polsce, głównie do krajów Azji i Afryki. Cukrownie polskie działają dziś w Chinach, Grecji, Iranie, Maroku, Ghanie, Cejlonie; stocznie rybackie w Indonezji, Ghanie, na Kubie; bazy paliwowe w Egipcie i Syrii; zakłady materiałów budowlanych w Czechosłowacji, Bułgarii, Chinach, Mongolii, Jugosławii i ZSSR; huty szkła w Jugosławii, Chinach i Indonezji; stalownie w Indiach; magazyny ryżu w Burmie...

6. Adam Kotarbiński — *Rozwój Architektury i Urbanistyki Polskiej w Latach 1944-1964*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1967, str. 42.

Zgodnie z planem rozwoju sieci placówek służby zdrowia, architektura otrzymała szereg zleceń, powstały nowe obiekty szpitalne, jednakże specjalnie wyróżniają się funkcjonalną architekturą i modernistyczną formą budynki sanatoryjne wznoszone w uzdrowiskach takich jak Krynica, Rabka, Ciechocinek- Kołobrzeg czy Szczawnica, gdzie nowe sanatorium hutników zaprojektowano po raz pierwszy w rejonie górskim w formie 14-piętrowego wysokościowca (Zofia Fedyk i Jerzy Nowicki). Znane polskie miejscowości rekreacyjne i resorty otrzymały również nowe obiekty turystyczne podnosząc własną rangę i zwolna wyrównując wieloletnie zaniedbania w tym kierunku. Pod względem architektonicznym nadal stosowano na Podhalu formy regionalne, bezpieczne politycznie i dobrze pasujące zresztą do naturalnego otoczenia krajobrazu górskiego (schroniska tatrzańskie w Dolinie Chochołowskiej, w Dolinie Pięciu Stawów, na Hali Ornak — projektu Anny Górskiej), lecz później zaczęto wprowadzać formy nowoczesne (Ośrodek Sportowy w Zakopanem — projektu zespołu Stanisław Karpiel, Andrzej Skoczek i Bogumił Zaufal — 1961). Nacisk na rozwój zaniedbanej turystyki i chęć stworzenia odpowiednich warunków dla zachęcenia ewentualnych turystów zagranicznych znalazły odzwierciedlenie we wzroście inwestycji hotelowych. Miejscowości, które z racji swych specyficznych atrakcji mogą spodziewać się największego nasilenia ruchu turystycznego, otrzymały nowe obiekty. Tak więc w Płocku, siedzibie ogromnego kombinatu petrochemicznego wyróżnia się ciekawą formą architektoniczną nowy hotel turystyczny, projektu Marka Leykama (1962); w Krakowie, jedynym zabytkowym wielkim mieście polskim oszczędzonym przez wojnę — hotel „Cracovia", projektu Witolda Cęckiewicza (1965); w Poznaniu, siedzibie znanych Targów Międzynarodowych — hotel „Merkury" (Jan Cieśliński, Jan Węcławski, Henryk Grochulski — 1965). Osiągnięcia Warszawy w tym kierunku niestety nie zachwycają, gdyż ani nowy, o dowcipnej nazwie „Dom Chłopa" (Bogdan Pniewski z zespołem — 1962), i wcześniejszy „Grand" (Stanisław Bieńkuński — 1955), ani też rozbudowane „Europejski" i „Polonia-Metropol" nie są arcydziełami architektury.

W budownictwie obiektów sportowych, projekt nowej hali sportowej w Katowicach („latający spodek"), którego autorem jest Jerzy Hryniewiecki wraz z Maciejem Krasińskim i Maciejem Gintowtem, zwraca uwagę międzynarodową, zarówno oryginalną formą plastyczną jak i konstrukcją[7]. Autorem koncepcji konstrukcyjnej jest tu Wacław Zalewski, twórca rozwiązań konstrukcyjnych najbardziej udanych obiektów architektonicznych, głównie przemysłowych, mający pokaźny dorobek projektowy tak w kra-

7. G. E. Kidder-Smith, *The New Architecture of Europe*, Pelican Books, 1962, str. 322: „Perhaps the most fascinating of all is the design for a sports hall in Katowice, also won in competition by the delightful Jerzy Hryniewiecki. This 'slipped bowl' with central dome promises to be one of Europe's outstanding arenas".

ju jak i zagranicą. Z innych obiektów sportowych wymienić można wielkie centra sportowe w Krakowie, Lublinie, Rzeszowie, Stalowej Woli, Włocławku i Łodzi; olimpijski ośrodek treningowy w Warszawie i podobny w Zakopanem; stadiony w Chorzowie, Poznaniu oraz wspomniany uprzednio Stadion Dziesięciolecia w Warszawie. Projekt przebudowy skoczni narciarskiej na Krokwi w Zakopanem (Stanisław Karpiel, Jadwiga Gajewska, Bronisław Stefanik — 1962), z użyciem prefabrykatów stalowych, postawił ten obiekt w rzędzie najnowocześniejszych tego typu w świecie.

◆

Osobnym zagadnieniem są, nie dające się w żadnym wypadku pominąć, osiągnięcia architektów polskich zagranicą. Jeśli świat zna i docenia dzisiaj architekturę polską to zawdzięczamy to nie tyle realizacjom w kraju, ile licznym konkursom międzynarodowym wygrywanym przez zespoły polskie, architektom polskim pracującym na kontraktach zagranicznych, wreszcie emigrantom polskim wsławiającym się w dziedzinie architektury i urbanistyki poza granicami kraju. Nie jest przypadkiem, że tylko w okresie 1959-1965 polscy architekci i urbaniści zdobyli w 28 konkursach międzynarodowych 40 nagród i wyróżnień, w tym 7 pierwszych, 5 drugich i 8 trzecich nagród[8]. Jurorzy zgodnie podkreślają śmiałość koncepcji i realność opracowań, przy równoczesnym wykazaniu znajomości warunków lokalnych. Najwyższą nagrodę w konkursie na centrum kulturalne w Leopoldville w Kongo przyznano w r. 1959 zespołowi warszawskiemu w składzie — Józef Polak, Jacek Chyrosz i Krzysztof Łukasiewicz, zaś trzecia nagroda w tymże konkursie również przypadła Polakom. W następnym roku zespoły polskie wygrywają jedną z dwu pierwszych, trzecią, czwartą i piątą nagrodę w konkursie na biurowiec w Bagdadzie. Autorami projektu, który otrzymał pierwszą nagrodę są Aleksander Markiewicz i Jerzy Staniszkis. Młody zespół wrocławski — Zbigniew Bać, Wiktor Jackiewicz i Elżbieta Król, bierze pierwszą nagrodę w konkursie na budynek Teatru Narodowego w jugosłowiańskim mieście Novy Sad, przy czym trzecia nagroda również należy do innego zespołu polskiego. Miastoprojekt krakowski, pod kierunkiem Tadeusza Ptaszyckiego zdobywa drugą nagrodę w konkursie na osiedle mieszkaniowe w Moskwie. Młodzi krakowscy architekci — Władysław Bryzek, Barbara Perchał, Jerzy Plesnar i Mieczysław Turski otrzymują w roku 1960 jedną z trzech drugich nagród (pierwszej nie przyznano) w konkursie na centrum Tunisu, a dwa inne polskie zespoły dostają honorowe wyróżnienia. Niestety, nieudolność biurokratyczna polskich central spowodowała zaprzepaszczenie szansy na realizację projektu, który zdobył jedną z głównych nagród. Pierwszą nagrodę w konkurencji 400 projektów dostaje w 1963 r. młody zespół — Andrzej

8. *Building and Architecture in Poland, 1945-1966*, praca zbiorowa, Warszawa 1968, str. 113.

Domański, Andrzej Mrowiec, Grażyna Baczewska, Marek Budzyński i Wiesław Szymański, w konkursie na Pomnik Zwycięstwa na Playa Giron na Kubie. Wielkim również sukcesem zakończył się w r. 1964 konkurs na budynek opery w Madrycie, gdzie pierwszą nagrodę otrzymał zespół — Jan Bogusławski, Bohdan Gniewiewski i Marcin Bogusławski. W konkurencji 800 projektów Andrzej Wejchert zdobywa pierwszą nagrodę w konkursie na uniwersytet w Dublinie. Jedną z pierwszych nagród w konkursie na zagospodarowanie wyspy Tronchetto w Wenecji przyznano zespołowi katedry urbanistyki Politechniki Warszawskiej pod kierunkiem Wacława Ostrowskiego. W 1965 r. druga nagroda w wielkim konkursie na plac centralny w San Francisco przypada młodemu zespołowi z Warszawy w składzie — Iwona Sadowska, Andrzej Gorczyński i Marek Lewandowski. Jedną z pierwszych nagród w konkursie na Plac Narodów w Genewie zdobywa polski projekt, którego autorami są Benedykt Kasznia, Włodzimierz Wojciechowski i Edmund Nowak. W konkursie na kompleks hotelowo-rekreacyjny w hiszpańskim San Sebastian zespół włoski przy współudziale przebywającego stale we Włoszech krakowskiego architekta Bogdana Paczowskiego, zdobywa jedną z drugich nagród. W 1967 r. znów pierwsza nagroda dla Polaków w konkursie na centrum Espoo w Finlandii (Jan Chmielewski, Janusz Kazumiński, Krzysztof Kuraś). Oto wymienione jednym tchem główne sukcesy polskie, szereg innych nagród i wyróżnień otrzymali Polacy w konkursach na pomnik w Montevideo w Urugwaju, na projekt rezydencjalny Elviria w Hiszpanii, na projekt urbanistyczny Maspalomas na Wyspach Kanaryjskich, kościół w Danii, biurowiec w Tunisie, wieś na Węgrzech, kino w Czechosłowacji, projekt urbanistyczny dla D'Asua Bilbao w Hiszpanii, centrum Sofii, centrum Tel-Aviv, domki jednorodzinne w Hollywood, projekt urbanistyczny Bagdadu...

Wielu architektów i urbanistów polskich pracuje na kontraktach zagranicznych w charakterze ekspertów wysyłanych przez polskie centrale (CEKOP, Polservice) na zaproszenia rządów rozwijających się krajów, głównie Azji i Afryki. Nieliczni działają również jako reprezentanci Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pozbawieni codziennych trosk materialnych trapiących ich w kraju, mając możność poruszania się w świecie i oddychając swobodniej pod względem politycznym i zawodowym — osiągają oni na ogół doskonałe wyniki, a talent ich rozkwita bujniej, pomimo trudnych niekiedy warunków klimatycznych i niezwykłej egzotyki kraju. Przykładowo wymienić można projekt zagospodarowania stolicy Zachodniej Samoa — Apia, wykonany przez eksperta ONZ Zbigniewa Wolaka, projekty urbanistyczne nowych miast w Afganistanie, których autorem jest Adam Berestyński, projekty dla Bagdadu opracowywane na miejscu przez zespół krakowskiego Miastoprojektu, oraz wiele wartościowych osiągnięć w Tunisie, Libii, Iranie, na Cyprze, w Ghanie itd. Poza krajem działają na eksponowanych stanowiskach m.in. Jerzy Sołtan, dziekan szkoły architektury na amerykańskim uniwersy-

tecie w Harvard, oraz Alfred Ciborowski w ONZ. Bodajże jedynym jednak polskim architektem, którego nazwisko reprezentuje wielką klasę światową był, wspomniany na wstępie, Maciej Nowicki. Niewiele wie się o nim w kraju, jego osiągnięcia są chętnie przemilczane i rzadko wspomina się o człowieku, który dał się poznać we wczesnych, powojennych projektach dla Warszawy, a później wyjechał do USA (1946) i zdecydował tam pozostać zdobywając sławę stawiającą go w rzędzie czołowych architektów świata. Śmierć w katastrofie lotniczej nad Egiptem w roku 1950 przedwcześnie położyła kres karierze znakomicie rozkwitającego talentu Macieja Nowickiego. Jednym z czołowych jego osiągnięć jest budynek hali wystawowej w Raleigh, USA; jeden z tych, które wywarły decydujący wpływ na rozwój architektury i kopiowane były w dziesiątkach projektów na świecie. Po raz pierwszy wprowadza tu Nowicki popularną dziś koncepcję dachu zawieszonego na linach stalowych. Zaproszony przez rząd Pendżabu w Indiach celem zaprojektowania nowej stolicy w Chandigarh, leci do Indii i w drodze powrotnej ginie w katastrofie lotniczej. Projekt Chandigarh przejmuje po nim i realizuje Le Corbusier. „Władze indyjskie były tak bardzo pod wrażeniem projektu Nowickiego, że zaproponowały mu stanowisko rządowe dla kierowania projektem i realizacją nowej stolicy[9]". Wybitny amerykański krytyk architektury Lewis Mumford pisał o Nowickim: „Niewielu mogło równać się z nim odwagą i pełną radości, wyzywającą śmiałością, bujną inwencją, dyscypliną, poczuciem obowiązku, a także skromnością — cechą wielkich geniuszów". Dziś, w każdym opracowaniu historii architektury lat pięćdziesiątych osobny rozdział poświęcony jest Nowickiemu, jednemu z najznakomitszych architektów swego pokolenia.

◆

Krótki ten przegląd osiągnięć ostatnich lat architektury polskiej nie pretenduje oczywiście do wyczerpania całości zagadnień i wyliczenia wszystkich godnych wzmianki nazwisk, projektów i realizacji. Celem tu jest podkreślenie, że żywa i twórcza architektura przeciwstawia trudnościom ekonomicznym panującym w kraju wspaniały talent projektantów. Z pewnością, gdyby nie ograniczenia gospodarcze, techniczne i materiałowe, a także hamowanie postępu przez połączone oddziaływanie standardów projektowania, normatywów urbanistycznych i urzędowanie komisji do spraw oceny projektów inwestycyjnych (KOPI), realizacja obiektów architektury w kraju dorównałaby osiągnięciom światowym, tak jak dorównuje im dziedzina projektowania urbanistycznego i architektonicznego.

Bogdan ADAMSKI

9. Norma Evenson, *Chandigarh*, University of California, Berkeley, 1966.

Komunikaty

ZJAZD POLEK W WIELKIEJ BRYTANII

Każdy, kto zna życie ośrodków polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, musiał zetknąć się z wielkim wkładem pracy, dobrej woli i ofiarności miejscowych Polek. W niektórych środowiskach działają samodzielne organizacje kobiece, w innych — koła kobiet, włączone w ramy większych organizacji społecznych. Główny teren ich działania to praca społeczna, charytatywna i wychowawcza; na tym polu mają one znaczne osiągnięcia, na ogół niestety niedoceniane.

Zjednoczenie Polek w Londynie, jako najstarsza polska organizacja kobieca w Anglii, podjęło inicjatywę zwołania w lutym roku 1970 dwudniowego zjazdu kobiet polskich w Wielkiej Brytanii, aby podsumować dorobek organizacji kobiecych i wspólnie omówić najważniejsze bieżące problemy życia emigracyjnego.

Zjazd odbywać się będzie pod hasłem: „Służymy sprawie polskiej". Zamierzony program zjazdu w ogólnych zarysach objąć ma następujące tematy: 1) emigracja i kraj, 2) położenie kobiet w Polsce, 3) problem młodego pokolenia na emigracji, 4) zagadnienia opieki społecznej w środowisku emigracyjnym.

Ostateczny program zjazdu zostanie ustalony po korespondencyjnym przedyskutowaniu go z terenowymi organizacjami kobiecymi.

Do Tymczasowego Komitetu Organizacyjnego Zjazdu weszły do tej pory przedstawicielki następujących organizacji: Zjednoczenie Polek Na Emigracji, Koło Kobiet Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, Sekcja Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, SPK — Koła Pań, Związek Katolickich Polskich Organizacji Kobiecych, Koło Pań Veritas, Zrzeszenie Ewangelików Polskich — Koło Kobiet, Obywatelski Związek Polek na Uchodźtwie, Związek Szkół Młodszych Ochotniczek, Koło Porto St. Giorgio, Koło b. Wychowanek Pittsford, Związek Harcerstwa Polskiego — Chorągiew Harcerek w Wielkiej Brytanii.

Potrzeba zwołania takiego zjazdu nasuwa się sama przez się, jej powodzenie wymagać będzie wielu jeszcze wysiłków, ale znając wytrwałość i wiarę we własne siły kobiet polskich, można być pewnym, że zjazd dojdzie do skutku i nie zawiedzie oczekiwań.

Tymczasowy Komitet Organizacyjny Zjazdu pragnie nawiązać kontakt nawet z najmniejszymi i najbardziej odległymi od Londynu kołami kobiet, z organizacjami, w których czynny udział biorą kobiety, z poszczególnymi terenowymi działaczkami organizacji niepodległościowych oraz z Polkami niezrzeszonymi, które chciałyby wziąć udział w zjeździe.

W celu zapewnienia im uczestnictwa w zjeździe, Komitet prosi o skontaktowanie się. Adres: *Zjednoczenie Polek, 28, Warwick Rd., London, S.W.5.*

FUNDUSZ TADEUSZA SENDZIMIRA

Mecenasi, którzy w popieraniu i rozwoju nauki i sztuki odegrali w przeszłości tak piękną rolę, schodzą ze sceny. Bogactwo coraz rzadziej skupia się w rękach prywatnych, a opiekę nad kulturą przejmują na siebie w stopniu coraz większym — państwa. Tendencje w tym kierunku obserwuje się

wszędzie. Nawet w Stanach Zjednoczonych, choć w mniejszej mierze, niż gdzie indziej. W krajach komunistycznych natomiast, program ten został zrealizowany w pełni: warstwa ludzi bogatych przestała istnieć, a opiekę nad nauką i sztuką przejęło na siebie w całości państwo, czyniąc z niej jeden z instrumentów rządzenia.

Toteż polskich „milionerów", warunkujących istnienie mecenasów, znaleźć jeszcze można tylko poza granicami kraju. Niestety nielicznych. Są jednakże pomiędzy nimi tacy, co poczuwają się do obowiązku popierania kultury polskiej na obczyźnie. Należy do nich niewątpliwie Tadeusz Sendzimir.

W roku ubiegłym stworzył on Fundusz swego imienia w wysokości 400.000 dolarów, z którego dochody są do podziału pomiędzy trzy instytucje: Fundację Kościuszkowską, Polski Instytut Naukowy w Ameryce i Kolegium Związkowe (Alliance College) w Cambridge Springs, Pa.

Kim jest fundator, kontynujący tradycję dawnych mecenasów?

Tadeusz Sendzimir urodził się we Lwowie. Jest wychowankiem Wydziału Mechaniki tamtejszej Politechniki. W czasie pierwszej wojny światowej znalazł się w Kijowie. Tam zastała go rewolucja bolszewicka. W roku 1918 wydostał się stamtąd, udając się na Daleki Wschód. Osiadł w Szanghaju, gdzie założył fabrykę gwoździ i drutu. Z tym pobytem, który trwał ponad dziesięć lat, wiąże się początek jego kariery. W Szanghaju zarysowały się jego talenty wynalazcze, odwaga w atakowaniu problemów i wytrwałość w realizacji nowych idej. Cechy nieodzowne w każdej działalności pionierskiej.

Któregoś dnia fabryka jego otrzymała zamówienie na wielką ilość drutu galwanizowanego (ocynkowanego). Brak potrzebnych materiałów i ekwipunku do galwanizacji stały na przeszkodzie wykonania tego zmówienia metodą konwencjonalną. Jedynym sposobem rozwiązania tego problemu było opracowanie nowego procesu, opartego na całkowicie odmiennych zasadach. Nie wdając się w szczegóły techniczne, stwierdzić należy, że postawione sobie zadanie Sendzimir nie tylko rozwiązał, ale równocześnie zapoczątkował nowy okres w dziedzinie galwanizacji.

W r. 1929 Sendzimir wrócił do Europy, gdzie rozwijając proces galwanizacji, opracował równocześnie nową metodę zimnego walcowania stali.

W r. 1933 zbudowano instalację doświadczalną w Hucie Pokój, a zakład galwanizacyjny w Kostuchnie na Śląsku. Na terenie międzynarodowym jednakże Sendzimir przebijał się z trudem. Wielcy producenci stali odnosili się ze sceptycyzmem do wynalazków mało znanego im człowieka.

Rok 1934 można uznać za przełomowy pod tym względem. Fabrique de Fer de Maubège we Francji zbudowała hutę opartą na wynalazku Sendzimira.

Wyniki, wykazujące niezbicie przewagę jego systemu nad dotąd stosowanymi metodami, wzbudziły zainteresowanie światowych producentów stali. Hutnicy z różnych krajów Europy i Ameryki jeździli oglądać instalacje Sendzimira i wkrótce metody jego utorowały sobie drogę.

W roku 1935 zawarł umowę z jedną z hut amerykańskich celem wspólnego eksploatowania jego patentów. W roku 1939 Sendzimir przybył do Ameryki, gdzie zbudowano wiele instalacji, opartych na jego metodach.

Światowa reputacja Sendzimira została ustalona.

Damian WANDYCZ

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W dniu 7 lipca rb. odbyło się doroczne Walne Zebranie Gminy Południowego Londynu, która liczy 412 członków. Majątek Gminy wzrósł obecnie

do sumy £. 5.265. Na Zebraniu m.in. przeprowadzono uchwałę przystąpienia Gminy do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. (Prezesem Gminy na rok 1969/70 został wybrany K. Szemirski, sekretarzem inż. J. Grudniewicz, a skarbnikiem J. Piwowarczyk).

14 lipca rb. Koło 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich na Walnym Zebraniu uchwaliło przekazać swój majątek do P.O.S.K.'u.

18 lipca rb. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, poświęcony badaniom najnowszej historii Polski, postanowić wpłacić jednorazowo do P.O.S.K.'u co najmniej £. 1.000. P.O.S.K. zapewni Instytutowi lokal na jego działalność i zbiory.

26 lipca rb. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów pobiera decyzję zainwestowania kwoty £. 50.000 celem wybudowania w ścisłej współpracy z P.O.S.K.'iem lokalu organizacyjnego SPK w ramach Centrum Polskiego na Hammersmith.

Pierwsze organizacje otrzymują pomieszczenie w budynkach Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego na Hammersmith, a mianowicie: Instytut Wschodni „Reduta", Koło Lwowian, Gmina Zachodniego Londynu, Harcerstwo, Teatr dla dzieci „Syrena" i zespół taneczny „Tatry".

Gomułka

His Poland and his Communism

Nicholas Bethell

This is the first full-scale work in English on Władysław Gomułka, statesman, communist and patriot, first secretary of the Polish Communist Party. It is more than just a biography; it is a history of modern Poland.

When Gomułka was born, the son of an emigrant returned from the USA, Poland did not exist as an independent country. With Polish independence after World War I, he joined the ill-starred first Polish communist party and was imprisoned.

Nicholas Bethell's examination and analysis of Gomułka's personality, of his policies and of his troubled country make this book essential reading for anyone who wants a proper understanding of modern Poland and the context in which it exists. *illustrated* 50s

Longmans

Książki

Uczeń i mistrz

Uwagi z okazji ogłoszenia listów Husserla do Ingardena[1].

Roman Ingarden jest chyba, obok Tadeusza Kotarbińskiego, najbardziej znanym w świecie żyjącym filozofem polskim. Nie tylko sam ogłosił szereg prac w języku niemieckim, a także — choć w bez porównania dużo mniejszej ilości — i w języku francuskim, ale nadto tłumaczony jest dziś już na angielski, czeski, francuski, niemiecki, rosyjski i włoski[2]. Poza Polską poczytny jest bodajże najbardziej w Niemczech i w Austrii, gdzie nawet otrzymał ubiegłego roku nagrodę Herdera. Ale znany jest i ceniony w wielu innych krajach. We Francji miał przyjaciół, jak zmarły niedawno Alexandre Koyré, wraz z którym należał do grona uczniów i przyjaciół Husserla, lecz rzeczywiste zainteresowanie jego pracami zaczyna dopiero budzić się[3].

Czy Roman Ingarden znany jest Polakom? W kraju jak najbardziej. Wszak był profesorem przed wojną na Uniwersytecie Jana Kazimierza, a po wojnie na Jagiellońskim, pracował w Polskiej Akademii Nauk jako tłumacz Kanta, bywał częstym gościem w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim... Toteż nie można się dziwić, że sześć grubych tomów jego *Dzieł filozoficznych*, wydanych przez PWN w latach od 1957 do 1963, zostało rozsprzedanych tak szybko jak jakiś beletrystyczny *best-seller*. Ale Ingarden dobrze znany jest i poza krajem, gdzie pracują niektórzy z jego

1. Edmund HUSSERL, *Briefe an Roman Ingarden mit Erläuterungen und Erinnerungen an Husserl* herausgegeben von Roman INGARDEN, Den Haag, Martinus Nijhoff, 1968 („Phänomenologica" 25). 186 s. Płótno: 27,90 guldenów.

2. Bibliografia prac filozoficznych R. Ingardena za lata 1915-1965 znajduje się na końcu drugiego tomu *Studiów z estetyki*.

3. *Archives de Philosophie* ogłosiły w ubiegłym roku tłumaczenie francuskie pierwszego rozdziału *O poznawaniu dzieła literackiego*, a w niedługim czasie opublikują w wersji francuskiej studium Romana Ingardena o Franciszku Brentanie.

uczniów i przyjaciół — i to bardzo wybitni — by wymienić tylko Annę Teresę Tymieniecką lub Władysława Bednarowskiego. Tym niemniej nie jest może całkiem od rzeczy przypomnieć Czytelnikom *Kultury* naszego Fenomenologa. W każdym razie jest po temu szereg powodów. Po wojnie jak przed wojną Roman Ingarden nie raz odwiedzał Francję (w Paryżu pisał swą, bodajże największą i najlepszą, ukończoną książkę *O dziele literackim* (*Sporu o istnienie świata* wyszły dotąd tylko dwa tomy), której wersja polska jest tłumaczeniem Marii Turowiczowej, a oryginał, w języku niemieckim, nosi tytuł *Das literarische Kunstwerk*. W ciągu ostatnich lat Niemeyer wydał po niemiecku, i to kilkakrotnie, najważniejsze dzieła filozoficzne Ingardena: *Spór o istnienie świata, O dziele literackim, O poznawaniu dzieła literackiego*, wybrane *Studia z estetyki* (o dziele muzycznym, o obrazie, o architekturze, o filmie)[4], wszystkie te książki, które, rzecz jasna, rozeszły się po różnych krajach i są w nich tłumaczone, dotarły i do Francji, zaczynają tu być czytane i omawiane. Wreszcie, z końcem ubiegłego roku wyszły w Holandii *Listy Husserla do Ingardena*.

Pierwsze pytanie, jakie się rodzi w związku z tą ostatnią publikacją, to: „Dlaczego nie ogłoszono równocześnie listów Ingardena do Husserla?". Redaktor książki, którym jest sam Roman Ingarden, byłby niewątpliwie dołączył je, gdyby one jeszcze istniały. Niestety, wedle relacji prof. van. Bredy, dyrektora *Archiwum Husserlowskiego* w Lowanium, na skutek ataku lotniczego spłonęły w czasie ostatniej wojny w banku, w którym były zdeponowane. Skutkiem tego głos Romana Ingardena w tej wieloletniej, równocześnie filozoficznej i przyjacielskiej rozmowie na odległość, którą stanowiła ich korespondencja trwająca lat przeszło dwadzieścia, przybiera z konieczności formę zastępczą wspomnień ze spotkań z Husserlem lub komentarzy do zachowanych jego listów (gdyż niektóre również zaginęły w ciągu lat).

Tym niemniej książka jest bogata w treść tak życiową jak filozoficzną, spotkań tych bowiem było bardzo wiele, zwłaszcza w okresie studiów Ingardena w Getyndze (1912-1915) i we Fryburgu Badeńskim (1916/1917), kiedy to uczeń odprowadzał mistrza do domu i tam dyskusja ciągnęła się do późna w noc. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach między studentem i jego profesorem szybko zrodziła się przyjaźń i nawiązała współpraca trwająca aż do śmierci Husserla, która nastąpiła w 1938 r. Od chwili pierwszego ich spotkania Husserl zaważył na całym życiu Ingardena: ten stał się fenomenologiem, przejął koncepcję filozofii mistrza jak również jej problematykę, metodę i język.

Ale też od pierwszej chwili uwydatniła się zasadnicza różnica zachodząca między nimi na płaszczyźnie filozoficznej: podczas gdy Edmund Husserl, w okresie, w którym zetknął się z nim po

4. Tytuły wersji niemieckiej brzmią: *Der Streit um die Existenz der Welt, Das literarische Kunstwerk, Vom Erkennen des literarischen Kunstwerks, Untersuchungen zur Ontologie der Kunst.*

raz pierwszy Ingarden, stał już na stanowisku tzw. transcendentalnego idealizmu — *Idee zur einer reinen Phänomenologie*, w których wyraźnie zajął tę postawę, ukazały się w 1913 r. — Roman Ingarden czuł się jak najsilniej przekonany o słuszności realizmu. Od dawna toczący się spór między idealizmem a realizmem przybrał w stosunkach między Ingardenem a Husserlem kolejno postać najpierw ustnej, następnie listownej, a wreszcie publikacyjnej dyskusji, w której Ingarden był — i jest nadal, nawet można powiedzieć coraz bardziej zdecydowanie — stroną broniącą realizmu i atakującą idealizm Husserla. Pierwszym i najwymowniejszym tego wyrazem — ale bynajmniej nie jedynym! — jest jeden jedyny list Ingardena do Husserla, który zachował się w brudnopisie i mógł skutkiem tego być ogłoszony w szóstym tomie *Dzieł filozoficznych* Ingardena zatytułowanym *Z badań nad filozofią współczesną*. Z listu tego, jak to sam jego autor zaznacza, zrodził się z czasem *Spór o istnienie świata*, najobszerniejsze (ale jeszcze niedokończone), najbardziej filozoficzne, filozoficznie najgłębsze, najbardziej zasadnicze dzieło Romana Ingardena, dzieło jego życia. Jak to już zostało ubocznie wzmiankowane, wydanych zostało jego dotąd tylko dwa pierwsze tomy. Swego czasu myślał autor, iż całość będzie liczyła tomów cztery. Czy nadal tak widzi kompozycję całości, nie jest wiadome. W każdym razie pracuje nad tomem trzecim.

Warto jest zastanowić się nad tym sporem, odkrywającym, zdaniem Ingardena, rolę zagadnienia centralnego w filozofii nowożytnej. Chodzi w nim o to, czy istnieje tylko świadomość, czy też *i* świadomość *i* pozaświadomościowa, niezależna od niej rzeczywistość. Idealizm Husserla jest wyrazem tendencji monistycznej, redukującej rzeczywistość i to w tak radykalny sposób, że nazwa „rzeczywistość" oznacza już jedynie „sens noematyczny" nieskończonej mnogości spostrzeżeń. Według wyrażenia samego Husserla rzeczywistość jest tylko czystym domniemaniem, a poza tym niczym: „[...] *(Vermeintes) und darüber hinaus ein Nichts*".

Zdumiewające jest to zwrócenie się do świadomości i odwrócenie od rzeczywistości idące aż do zaprzeczenia jej istnienia! Nawet jeśli się wie, że ta postawa zajęta jest nie w życiu — w życiu nikt na serio nie przeczy istnieniu rzeczywistości! — ale w refleksji filozoficznej, ze względów metodycznych, by być możliwie najostrożniejszym w swych sądach i nadać im maximum pewności, jeszcze się człowiek pyta, czego takie stanowisko jest symptomem. Odpowiedź na to pytanie znajduje się chyba w następującej analizie: „Co do schizoidy, to on nie jest w stanie nawiązać swobodnie stosunków z kimś innym poza samym sobą. W każdej chwili przeszkadza mu w tym nazbyt pierwotny i nazbyt głęboki lęk, który wdarł się w jego najwcześniejsze przeżycia uczuciowe. Wobec tego, jeśli to jest skądinąd filozof, podda on w wątpliwość sam stosunek z drugim, gdyż ten to stosunek właśnie jest źródłem owego lęku. Postawi więc sobie pytanie, czy to, co istnieje tu przed nim, istnieje rzeczywiście w sposób niezależny od jego własnej myśli. Tego nie jest on *pewien* i

w następstwie tego, w granicznym wypadku, dojdzie do tego, że, by się upewnić, będzie podtrzymywał, iż to nie istnieje. Na tym właśnie polega idealizm[5]".

Na przeciwnym biegunie stoją materialiści, dla których świadomość jest tylko pewnym stanem organicznie w wysokim stopniu uorganizowanej materii. Tu w pewnym sensie świadomość znika na rzecz pozaświadomościowej rzeczywistości. Stanowiska tego nie będziemy tu ani bliżej charakteryzowali, ani też dyskutowali, gdyż jedno i drugie oddaliłoby nas niepotrzebnie od tematu, którym jest stosunek Ingardena do Husserla. Ograniczmy się więc tylko do wysunięcia przypuszczenia, że chyba i w tym wypadku wiele wyjaśniłaby odpowiednia psychoanaliza wskazująca również na jakiś kompleksowy lęk, tyle że innego rodzaju...

Między skrajnym idealizmem w rodzaju Husserla a skrajnym realizmem materialistów staje dualizm utrzymujący istnienie niezależne *i* świadomości *i* rzeczywistości pozaświadomościowej. Nazwijmy go realizmem umiarkowanym. Roman Ingarden, od pierwszego swego zetknięcia się z Husserlem, opowiedział się niedwuznacznie po stronie tego realizmu i do dziś, jak już było powiedziane, zajmuje to stanowisko. Ale...

Tak, ale..., gdyż sprawa nie jest całkiem prosta. W obrębie bowiem realizmu umiarkowanego lub, jakby może lepiej było powiedzieć, „dualistycznego" zarysowują się jeszcze dwie zasadnicze postawy. Można by je nazwać: jedną — przed-kartezjańską (choć wśród zwolenników jej znajdują się zarówno filozofowie wcześniejsi jak późniejsi od Kartezjusza), a drugą — po-kartezjańską, gdyż do myśli filozoficznej nowożytnej wprowadził ją właśnie Kartezjusz (co nie znaczy, że nie miała swoich adeptów i wcześniej). Pierwsza bywa niekiedy określana mianem realizmu naiwnego, podczas gdy druga szczyci się być realizmem krytycznym. Nazwy te nie wydają się najlepiej wybrane. Postawa bowiem przed-kartezjańska nie musi być naiwna: i ona może — a nawet powinna — być krytyczna, tyle że na swój sposób, nieco inaczej niż postawa po-kartezjańska.

Pozostawmy jednak na boku te niewątpliwie bardzo ważne ale być może dla nie-filozofa zbyt subtelne rozróżnienia, w które zresztą nie potrzebujemy tu wchodzić, jeśli chcemy ograniczyć się do rzeczy w naszym kontekście najistotniejszych. Realizm umiarkowany typu po-kartezjańskiego — taki, jaki spotykamy właśnie u Romana Ingardena — boi się pomyłki i wobec tego powiada — nie w życiu, ale w filozofii, w pewnym sensie nie na serio, ale ze względów metodycznych: „A może mylimy się sądząc, iż rzeczywistość pozaświadomościowa istnieje na prawdę?...". Jakbyśmy rzeczywiście nie byli w stanie rozróżniać między snem a jawą, między ułudą a rzeczywistością! Postawę tę nazwaliśmy po-kartezjańską właśnie dlatego, że to Kartezjusz a nie kto inny położył nacisk na możliwość pomyłki w tym względ-

5. Marc ORAISON, *Une morale pour notre temps*, Paris, Librairie Arthème Fayard, c.r. 1964 („Le Signe"), p. 191.

dzie i starał się skutkiem tego znaleźć jakiś nieodparty dowód pozwalający przezwyciężyć metodyczne wątpienie o istnieniu pozaświadomościowej rzeczywistości. Ale dowód ostatecznie zaproponowany przez Descartesa nie został uznany za zadawalający, między innymi ani przez Husserla ani, przez Ingardena, a nikt dotąd nowego, lepszego dowodu nie zaproponował. Oto dlaczego Roman Ingarden sądzi, iż spór o istnienie świata realnego pozostał do dziś dnia nierozstrzygnięty.

Ale czy nie jest on nadal nierozstrzygnięty — i, co więcej, w ogóle nierozstrzygalny — tylko dlatego, że dla uznania go za rozstrzygnięty, w sensie pozytywnym, żąda się dowodu ze względów czysto formalnych niemożliwego do przeprowadzenia? Wniosek nie może być w żadnym wypadku, jeśli ma być pewny, różny *istotnie* od przesłanek, jak mówią logicy „mocniejszy" od nich. Z samych przesłanek przeczących nie można otrzymać wniosku twierdzącego. Przesłanki wyłącznie praktyczne (nazywamy tak przesłanki będące zdaniami oceniającymi, normującymi lub rozkazującymi) nie mogą w żadnym wypadku dać wniosku teoretycznego, tj. zdania stwierdzającego (opisującego, wyjaśniającego itp.). Otóż całkiem podobnie przesłanki, które są tylko wyrazem zawartości jaźni (świadomości), nie doprowadzą nigdy do wniosku, który by był stwierdzeniem istnienia pozajaźniowego czegoś czy kogoś. Jeśli się na początku weźmie w nawias, by posłużyć się w tym wypadku językiem fenomenologów, wszelkie istnienie, nie tylko świata (wraz z ewentualnym jego Stwórcą) ale i własne tak, że pozostanie tylko czysta świadomość, to się nigdy niczyjego istnienia nie dowiedzie: nie tylko istnienia świata czy Boga, lecz nawet własnego. To jest, sądzić można, główny powód, dla którego „Spór o istnienie świata" jest — i chyba pozostanie — dziełem niedokończonym.

Dlatego też zdaje się, że Roman Ingarden, którego atak na idealizm Husserla, atak trwający od pierwszego roku jego getyńskich studiów po dziś dzień, jest jak najbardziej normalną reakcją człowieka zdrowego na schizoidalne wypowiedzi, przecież nigdy nie potrafił wyrwać się całkowicie z zaczarowanego koła idealizmu, w które dał się mimowoli wciągnąć przez swego ponad wątpliwość niezwykłego współdyskutanta. (W dyskusji często tak bywa, że atakujący podświadomie staje powoli na gruncie tez broniącego się). Nigdy nie zerwał całkiem z idealizmem, gdyż pozostał przy postawie po-kartezjańskiej, gdyż nigdy nie zajął pozycji realizmu przed-kartezjańskiego, sądząc prawdopodobnie, iż są one wsteczne jako naiwne i chronologicznie wcześniejsze. W filozofii jednak nie koniecznie to, co nowsze, jest prawdziwsze od tego, co dawniejsze. A nadto postawa przed-kartezjańska, jak to już było powiedziane, nie musi być naiwna: może ona — i powinna nawet — być na swój sposób krytyczna.

Nie umniejsza to jednak w niczym wielkości Romana Ingardena jako filozofa. I najwięksi mylili się. *Humanum errare est.* Należy przytem pamiętać, że i w *Sporze o istnienie świata* są całe rozdziały analiz, które już weszły raz na zawsze do skarbca *philosophiae perennis.* A nadto mamy ingardenowskie dzieła — książki i artykuły — jakie obszerne i jakie liczne! — poświęcone tej analizie przedmiotów czysto intencjonalnych, zwłaszcza artystycznych, literackich, muzycznych, plastycznych itd., w której Fenomenolog polski jest mistrzem niezrównanym. W nich to wypracował Roman Ingarden ontologię tworów sztuki i teorię ich poznania, a w następstwie naukę o literaturze, naukę w ścisłym tego słowa znaczeniu, tj. poznanie metodyczne, krytyczne, intersubiektywne dzieł literackich, by ograniczyć się do dziedziny najbardziej wyczerpująco przezeń zanalizowanej, jak również estetykę ogólną, przynajmniej w jej podstawach. Jeśli więc — pomijając sprawę idealizmu transcendentalnego autora *Idej* — Roman Ingarden, który 57 lat temu, w Getyndze, zgłosił się po raz pierwszy, z początkiem semestru zimowego, na seminarium u Husserla, może być słusznie dumny z tego, że stał się jego uczniem, współpracownikiem i przyjacielem, to i Husserl, gdyby jeszcze żył, na pewno byłby również bardzo z tego dumny.

Jerzy KALINOWSKI

"Zeszyty Historyczne"

Nasz apel o zwiększenie liczby prenumeratorów *Zeszytów Historycznych* — co było niezbędnym warunkiem kontynuowania tego wydawnictwa — znalazł oddźwięk: liczba prenumerat wzrosła o tyle, że możemy wydawanie *Zeszytów* kontynuować.

Zwracamy się jednak do naszych Przyjaciół w dalszym ciągu z prośbą o zdobywanie nowych prenumeratorów. Naszą ambicją, ze względu na prawdziwy nawał materiałów — jest przekształcenie *Zeszytów Historycznych* od 1971 roku na kwartalnik. Czy nam się to uda — zależy tylko od Czytelników.

W bieżącym roku cena pojedynczego *Zeszytu* pozostaje bez zmiany, w r. 1970 cena *Zeszytu* pojedynczego będzie wynosiła F. 18,50. Prenumerata roczna (dla abonentów *Kultury*) F. 30,00.

REDAKCJA

Nadesłane nowości wydawnicze

GARRONE (Gabriel-Marie, Kardynał). *Orientacje Soboru.* Przekład z francuskiego ks. dr Józef Sadzik i ks. mgr Władysław Tokarek. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Seria „Znaki Czasu" T. 7; Paryż, 1969).

CATTI DE GASPERI (Maria Romana). *De Gasperi.* Polityk i człowiek. Przeł. z włoskiego Antoni Czułowski. Str. 297 i 7 nlb. (Wyd. „Odnowa", Londyn, 1968).

WIELOWIEYSKI (Andrzej). *Przed trzecim przyspieszeniem.* Szkice do zagadnień rozwoju społecznego. Str. 423 i 1 nlb. (Biblioteka „Więzi", T. 24, Warszawa 1968, cena zł. 60).

STABIŃSKA (Jadwiga, O S B a p). *Królowa Jadwiga.* Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Społ. Instytut Wyd. „Znak", Kraków, 1969, zł. 35).

TABORSKI (Bolesław). *Głos milczenia.* Poezje. Str. 70 i 6 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1969, zł. 15).

GRAVES (Robert). *Wiersze.* Wybór i przekład Bolesław Taborski. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. P.I.W., Warszawa, 1968, cena zł. 10).

CZERNIAWSKI (Emil Jerzy). *Dmowski wobec Piłsudskiego.* Próba wyjaśnienia w świetle faktów historycznych. Str. 32. (Wyd. nakładem czasopisma „Nurt", Sydney, Australia, 1969).

WANDYCZ (Piotr S.). *Soviet-Polish Relations,* 1917-1921. Str. 403 i 5 nlb. Z bibliografią, notami i indeksem. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge, Mass, 11 lipiec 1969, cena dol. 10,00).

LUCE (Don) & SOMMER (John). *VIET NAM — The Unheard Voices.* Przedmowa Edwarda M. Kennedy'ego. Str. 336 i 2 nlb. z Appendixem, notą o autorach i indeksem. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca i London, 1969).

The Soviet Union. A half-century of Communism. Pod redakcją Kurta LONDONA. Str. 493 i 5 nlb. z Notami i Indeksem. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Maryland, 1968, oraz IBEG, Ltd., Londyn, 23 czerwiec 1969, cena w opr. 85/-, broszura 33/-).

SHANE (Alex M.). *The Life and Works of Evgenij Zamjatin.* Str. 302 z Notami, chronologicznym wykazem powieści Zamiatina, bibliografią i indeksem. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn, 23 czerwiec 1969, cena w opr. 76/-).

SCHURMANN (Franz). *Ideology and Organization in Communist China.* Wyd. drugie, poszerzone. Str. 642 z Dodatkiem, bibliografią i indeksami. (Wyd. Univ. of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn, 1969, cena 47/-).

MORRISON (James F.). *The Polish People's Republic.* Str. 160. Seria: Integration and Community Building in Eastern Europe. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md., 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn, 1969, cena w opr. 62/-, broszura 28/-).

HANHARDT, jr. (Arthur M.). *The German Democratic Republic.* Str. 126 i 2 nlb. Seria: Integration and Community Building in Eastern Europe. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md. 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn 1969, cena w opr. 57/-, w brosz. 24/-).

SCHIFFRIN (Harold Z.). *Sun Yatsen and the Origins of the Chinese Revolution.* Str. 412 z glossami, bibliografią i indeksem. (Wyd. Univ. of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn, 1969, cena w opr. 91/-).

POLSKA — BLOK WSCHODNI

16-6-69

Zakończył się proces b. dyrektorów dept. w Min. Zdrowia. Tadeusz Gnat został skazany na 4 lata, a Hieronim Potocki na 3 lata oraz grzywnę. ■ Ponad 100 polskich naukowców uczestniczyło w ub. roku w zjazdach i konferencjach międzynar. Polska należy do 136 naukowych organizacji międzynar. W ub. roku w Polsce odbyło się 60 zjazdów i konferencji z udziałem 1.200 naukowców z całego świata. ■ Tegoroczne nagrody Polskiego Inst. Spr. Międzynar. otrzymali: R. Bierzanek za pracę „Zasady prawne pokojowego współistnienia", prof. A. Klafkowski za „Ściganie zbrodniarzy wojennych w NRF" i Dr J. Banaszkiewicz, dr J. Kokot, Z. Dobosiewicz i Wł. Wieczorek. ■ W r.b. zanotowano w Polsce dalszy spadek przyrostu naturalnego (do 8 promille). Polska liczy obecnie 32.500.000 ludności. ■ W Krakowie rozpoczął się IX Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych, a 17. VII. — Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych.

19-6-69

W ub. roku wydalono z PZPR 6.500 członków oraz skreślono 27.700 członków i kandydatów za „poglądy i postawę niezgodne z zasadami ideowymi partii". ■ Janusz Teodor Dybowski obchodził jubileusz 40-lecia pracy pisarskiej.

20-6-69

Zmarł w Warszawie Tadeusz Teslar, legionista 2-ej Brygady, b. oficer, Akowiec, pisarz. ■ Japoński min. Obrony Kiichi Arita oświadczył, że w przyszłym roku Chiny będą produkowały międzykontynentalne pociski balistyczne.

22-6-69

W Związku Sowieckim powstała chińska partia komunistyczna na wygnaniu pod przewodnictwem Wang Minga. ■ Rząd czeski rozwiązał Zw. Studentów Czech i Moraw. ■ Stow. Dziennikarzy Polskich liczy 4.800 członków. 70 % dziennikarzy jest członkami PZPR, 10 % to członkowie Stronnictwa Demokratycznego i Zjedn. Stron. Ludowego. W r. 1968 ukazywało się w Polsce 1.600 tytułów gazet i czasopism o średnim jednorazowym nakładzie 30 milionów egzemplarzy. Prezes Stow. Dziennikarzy twierdzi, że nie zaspakaja to potrzeb i oblicza deficyt na 5-6 milionów egzemplarzy.

25-6-69

Nagrody XI Wiosny Poetów, która odbyła się w Łodzi otrzymali: I-szą St. Celnik z Krakowa, dwie drugie — Tadeusz Mieszkowski z Warszawy i J. Mrzygłodzki z Krakowa; trzy trzecie: St. Gola z Mikuszowic Śląskich, P. Lachert z Brukseli i B. Z. Michnik z Płocka. ■ W szkołach zawodowych PRL uczy się 1,4 miliona uczniów, przygotowując się do pracy w 220 zawodach z wymaganym zasadniczym wykształceniem i 260, które wymagają dyplomu technika. ■ Naukowcy szczecińscy opracowali filtr do oczyszczania wody przetwarzający wodę morską w wodę do picia. Rewelację tę podaje *Polityka.*

26-6-69

W Czechosłowacji, zwłaszcza w okręgu Morawskim, występuje ostry brak węgla. Brak co najmniej 250.000 ton węgla opałowego. Przewiduje się ograniczenia, m.in. brak ciepłej wody w okresie zimowym.

27-6-69

Zmarł w wieku lat 39 Adam Kruczkowski, wicemin. Spr. Zagr. PRL.

28-6-69

Nagrody tyg. *Polityka* otrzymali: St. Kieniewicz za książkę „Historia Polski 1795-1918" (PWN), M. Pietrzak za „Rządy parlamentarne w Polsce w latach 1919-1926 (KiW), J. Tomicki za „Norbert Barlicki" (PWN), Andrzej Micewski za „W cieniu marszałka Piłsudskiego" (Czytelnik).

29-6-69

Szkolnictwo zawodowe obejmuje w r. 1969/70 — 1.700.000 uczniów. Od ub. roku jest to wzrost o 230.000.

1-7-69

Zakończyły się 38 Międzynar. Targi Poznańskie. Bilans ich był zdecydowanie ujemny. Prasa PRL twierdzi jednak, że „kontrakty handlowe nie stanowią dziś o powodzeniu międzynarodowych imprez handlowych". ■ Zmarła w wieku lat 81 w Warszawie Regina Fleszarowa, geograf i geolog.

2-7-69

Doroczną nagrodę im. St. Nowickiego i St. Skripija zdobyła Jadwiga Król z Politechniki śląskiej za pracę dypl. pt.: „Studialny projekt mieszkań i ich zespołów". ■ 50 krajów kupuje polskie ryby i przetwory rybne. W krajach zachodnich, z USA na czele, sprzedaje się ok. 60.000 ton, co stanowi 1/5 połowów. ■ W Warszawie otwarto Instytut Żywności i Żywienia. ■ PRL sprzedała dotąd do ZSSR 5,7 tysięcy wagonów osobowych, 56 tys. wagonów towarowych 10,4 tys. wagonów-cystern i 2,6 tys. wagonów samowyładowczych. ■ *Leninskoje Znamja* zaatakowała pisarza A. Kuzniecowa, autora powieści „Babij Jar" za powieść drukowaną w mies. *Junost'* pt. „Ogień", „szkalującą robotnika sowieckiego".

5-7-69

W Warszawie obradował Zjazd Europejskich Narodowych Komitetów UNICEF (Międzynar. Nadzwyczajny Fundusz Pomocy Dzieciom). ■ Wł. Bieńkowski, były członek KC PZPR i b. min. Oświaty — został usunięty z partii. ■ Inż. Ryszard Strzelecki został mianowany podsekretarzem stanu w Min. Handlu Zagr. Jest to syn Wł. Gomułki. Komunikat urzędowy ogranicza się do zaznaczenia, że „urodził się w rodzinie inteligenckiej" (?).

6-7-69

W Zgorzelcu odbyły się uroczystości z okazji 19 rocznicy podpisania Układu między PRL a NRD, uznającego Odrę i Nysę jako granicę polsko-niemiecką. ■ Zmarł w Warszawie Adam Stebelski, jeden z działaczy niepodległościowych w okresie międzywojennym, w PRL dyr. Archiwum Głównego Akt Dawnych.

7-7-69

M. Klimaszewski, przew. Twa Łączności z Polonią Zagr. twierdzi w udzielonym wywiadzie, że w rb. ma przyjechać do Polski „blisko 100.000 Polaków, głównie z USA". Do pierwszych dni lipca przyjęto „blisko 80 dużych zorganizowanych grup z USA, Australii, Francji, Kanady i NRF". Two „Polonia" wraz ze ZBOWiDem i CRZZ zaprosiły na 2 tyg. pobyt 100 czołowych działaczy polonijnych „to zaproszenie jest wyróżnieniem". Nazwisk nie podano.

8-7-69

W Polsce wydano 500-tysięczny dyplom po wojnie. Pierwszy dyplom otrzymał inż. Wacław Leśkiewicz, obecnie prof. AGH w Krakowie. W PRL jest 98 wyższych uczelni cywilnych i wojskowych. ■ Realizacja ustawy narodowościowej w Czechosłowacji, uchwalonej w październiku ub.r. posuwa się niezmiernie powoli, nie można się spodziewać wprowadzenia jej w życie przed 1970 r. Będzie to pierwsza norma prawna dot. polskiej mniejszości narodowej od 1947 r. Polskie społeczeństwo reprezentuje J. Rusnok i dr Tad. Siwek.

10-7-69

Zmarł w Warszawie wybitny aktor B. Kobiela. ■ Zmarł Roman Pisarski, popularny autor książek dla dzieci. ■ Zmarł w drodze na Krym wybitny polski geolog, prof. Henryk Świdziński. ■ Polska przyjęła francuski patent telewizji kolorowej SECAM. Pierwsze audycje nastąpią w 1970 roku. ■ W związku z 25-leciem PRL w Chełmie Lubelskim odbyło się uroczyste zebranie Zrzeszenia Katolików „Caritas". ■ Komitet partyjny Hradec Kralove anulował listy wysłane w ub.r. do Czernichowskiego Komitetu Partii KPZS i kom. woj. PZPR we Wrocławiu o zerwaniu przyjaźni z tymi organizacjami. Hradec Kralovy obecnie przeprasza za swoje postępowanie. Przypominamy że Hradec Kralove był centrum polskiej okupacji Czechosłowacji w ub. roku.

15-7-69

W Polsce trwają egzaminy wstępne dla kandydatów na wyższe uczelni. Kandydatów jest ponad 100.000 — wolnych miejsc 47.000.

16-7-69

W Jabłonnie dekorowano 213 zasłużonych pracowników UB. Analogiczne uroczystości odbyły się we wszystkich większych miastach Polski, z tym, że wszędzie kładziono nacisk na walkę z „bandami leśnymi" w pierwszych latach w wojnie. Prasa nie podaje czy w tych uroczystościach brali udział B. Akowcy, członkowie ZBOWiDu.

17-7-69

Zmarł w Warszawie Leon Grochowski, Bp Polskiego Kościoła Narodowego w USA, przebywający w kraju z okazji uroczystości 25-lecia PRL. ■ Doszło do nowego starcia zbrojnego na granicy chińsko-sowieckiej, na wyspie Goldinskiej na rzecze Amur.

24-7-69

Głos Wielkopolski z 23. VII. podaje, że w PRL ukazuje się 57 pism katolickich o łącznym nakładzie 550.000. 42 pisma wydaje Kościół, 15 — należy do świeckich stowarzyszeń katolickich. ■ Z okazji 25-lecia PRL przyznano liczne odznaczenia działaczom „Znaku", „Paxu", „Caritasu" oraz bardzo wielu księżom w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Wrocławiu, Olsztynie, Bydgoszczy, Łodzi i Koszalinie. Wśród odznaczonych nie ma biskupów. ■ Komunikat GUS'u o wykonaniu planu gosp. za I-sze półrocze zwraca uwagę na niedociągnięcia: opóźnienia w inwestycjach, zbyt powolne unowocześnianie produkcji przemysłowej i szybszy niż zaplanowano wzrost zatrudnienia. ■ Tygodnik *Kraj Rad* w Warszawie zamieszcza apel miast bliźniaczych gdzie jest mowa o współpracy: Moskwy z Warszawą, Charkowa z Poznaniem, Leningradu z Gdańskiem, Doniecka z Katowicami, Kijowa z Krakowem, Rygi ze Szczecinem oraz obw. mińskiego z ziemią Mazowiecką. ■ Ponad 50 % kandydatów na wyższe uczelnie zdających matematykę otrzymało w br. stopnie niedostateczne.

27-7-69

W Olsztynie otwarto radiowo-telewizyjny ośrodek nadawczy. ■ Historycy warszawscy pod kier. prof. St. Herbsta przygotowują „Historię Polski Ludowej". Tom jednak ukaże się dopiero za 5 lat!

1-8-69

Tygodnik *Świat* w Warszawie został zlikwidowany. Jego redaktorem był osławiony St. Arski, którego nazwisko od szeregu miesięcy zniknęło ze stopki pisma.

4-8-69

Czasopismo sowieckie *Rassija* atakuje znowu miesięcznik *Nowyj Mir* i jego redaktora A. Twardowskiego za „dostarczanie argumentów propagandzie burżuazyjnej".

13-8-69

W Bukareszcie zakończył się X Zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej, który był sukcesem dla Ceausescu, który został jednomyślnie wybrany sekretarzem Partii. Z KC usunięto dwóch ostatnich stalinowców: Apostola i Stojcę. ■ Mimo ostatnio podpisanego w Chabarowsku układu regulującego stronę techn. nawigacji na rzekach granicznych sowiecko-chińskich, wybuchł nowy konflikt w Sing kiangu. Obie strony oskarżają się wzajemnie o agresję i stwierdzają obopólne duże straty.

15-8-69

GUS podaje, że na 100 mieszkań zamieszkałych przez rodziny pracownicze 62,3 posiada kanalizację, 98,2 — elektryczność, 40,5 — gaz sieciowy, 36,8 — łazienkę, 45,7 — ubikacje, a 23,4 — centralne ogrzewanie. Ponad 15 % gospodarstw domowych (poza rolnictwem) użytkuje mieszkania niesamodzielne. ■ Po dwu latach bardzo dobrych urodzajów w ZSSR obecny rok zapowiada się dużo gorzej jeśli chodzi o zbiory zbóż i hodowlę. ■ W związku z żywiołową klęską pożarów w Polsce, Min. Komunikacji wyznaczyło nagrodę w wysokości do miliona zł. za pomysł racjonalizatorski, który gwarantowałby maksimum bezpieczeństwa zapobiegając iskrzeniu kominów w parowozach i zapewniając szczelność klap popielniczych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-6-69

W Pretorii, w galerii Netherlands Bank otwarto wystawę Michała Makowskiego. ■ Pismo ukraińskie *Hołos Łemkiwszczyny*, ukazujące się w Kanadzie, zamieściło artykuł udowodniający, że Tadeusz Kościuszko był Ukraińcem. Pismo twierdzi, że pochodzenia ukraińskiego byli również: hetmani Chodkiewicz i Żółkiewski, Matejko oraz Kossak-Szczucka. ■ Zmarł w Londynie marsz. Aleksander, lord Tunisu w wieku 77 lat. Był on d-cą 8 Armii w skład której wchodził 2 Korpus gen. Andersa w czasie kampanii włoskiej. ■ Kongresman polskiego pochodzenia Henryk Helstoski, który ubiegał się o nominację w prawyborach stanu New Jersey — nie uzyskał potrzebnej ilości głosów. ■ Odbył się XIII Zjazd delegatów Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii. Gen. K. Kleeberg został ponownie prezesem Rady. Zjazd m.in. ustalił rezolucję, domagającą się połączenia rozbitych ośrodków politycznych emigracji i wzmożenia czujności wobec akcji propagandowej Warszawy, jak również uchwalił skreślenie z listy członków osób, które przyjęły lub przyjmą odznaczenia PRL. ■ Zmarł w Urbana, Ill. w wieku 92 lat, prof. Józef Tykociner, wynalazca pierwszego modelu filmu dźwiękowego (1922).

18-6-69

W Londynie Liverpool Philharmonic Orchestra pod batutą Charles Groves'a odegrała Symphony Nr 2 Lutosławskiego. Symfonia ta otrzymała w ub. roku 1-szą nagrodę na Konkursie International Rostrum of Composers.

19-6-69

Na Międzynarodowym Konkursie na projekt centrum telewizyjnego w Tunisie zespół polski (M. Dąbrowska, St. Miszczak, A. Dzierżawski, Zb. Pawelski i W. Rzepko) uzyskał 3-cią nagrodę.

21-6-69

Zmarł w Toronto gen. bryg. Tadeusz Majewski, b. z-ca d-cy 1 Brygady Pancernej. ■ W Orchard Lake odbyła się konferencja zarządów 11 największych organizacji polonijnych. M.in. uchwalono, że uczestniczące w naradzie organizacje będą wpłacały Kongresowi Polonii Amerykańskiej 5 centów od każdego członka rocznie.

22-6-69

Opera w Hamburgu wystawiła Pendereckiego „Diabły z Ludunu". ■ W Londynie odbyło się uroczyste zebranie dla uczczenia 400-lecia Unii Lubelskiej. Głównym mówcą był prof. O. Halecki.

24-6-69

W serii koncertowej CBC Toronto Festival został odegrany utwór Waltera Buczyńskiego pt. „Iskry". W. Buczyński jest urodzony w Toronto. ■

Two Przyjaciół Paryskiej *Kultury* w Toronto zorganizowało wieczór poświęcony polskiemu teatrowi. Wzięli udział: Z. Czerniakowski, K. Chabrowska-Jellaczyc, p. Samolewiczowa, p. Czarnecki i p. Olbryski. ■ Deficyt szkół parafialnych diecezji nowojorskiej wynosi 30 milionów dolarów. W razie ich likwidacji napływ uczniów do szkół publicznych wzrośnie o 22 % co będzie kosztowało 300 milionów dolarów.

25-6-69

Adela Araś, dyr. Homemmaker Service of Metropolitan Detroit została wybrana „the most oustanding social worker of 1969".

26-6-69

W Domu Polskim w Melbourne odbył się wieczór dyskusyjny, poświęcony sztuce Rolfa Hochhutha pt. „Żołnierze". Organizatorem było Two Przyjaciół paryskiej *Kultury*. Przewodniczył red. Gronowski, przemawiali: A. Chciuk, J. Kaczorowski, S. Meysztowicz, K. Milicer i I. Lewulisowa.

27-6-69

W Cambridge Springs, Pa. w Alliance College rozpoczął się zjazd polsko-amerykańskich intelektualistów, zorganizowany przez Kongres Polonii Amerykańskiej. ■ W siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku odbyło się zebranie Stow. Dziennikarzy Polsko-Amerykańskich. Prezesem został ponownie A. W. Marth. Na miejsce zmarłego St. Strzetelskiego wszedł do Rady Stowarzyszenia Wojciech Wasiutyński. ■ Setna rocznica urodzin i 30-ta rocznica śmierci popularnego pisarza Wacława Gąsiorowskiego, który był specjalnie związany z Polonią Amerykańską.

1-7-69

W Kurytybie utworzono komitet obchodu 100-lecia emigracji polskiej w Brazylii, które przypada na rok 1971. Prezesem został Z. Bradowski, sekretarzem gen. L. Ostoja-Roguski.

2-7-69

Na I Biennale malarstwa współczesnego w Montecatini Barbara Gawdzik-Brzozowska otrzymała złoty medal prezydenta Włoch, a W. Winiecki złoty medal min. spraw zagr.

6-7-69

W Brukseli odbył się 24 Walny Zjazd Zw. Polaków w Belgii. Prezesem został ponownie dr Edward Pomorski. Dochody Związku w roku sprawozdawczym wyniosły 110.000 FB. Rozchody 60.000 FB. Związek wydaje regularnie miesięcznik *Polak w Belgii*. ■ W Cleveland odbył się VII Zjazd SPK w St. Zjedn. ■ Seminarium polskie w Orchard Lake dało w rb. 21 księży dla 10 różnych diecezji. ■ Zmarł w Anglii gen. Sir Ronald Scobie, b. d-ca Tobruku w okresie gdy go broniła Sam. Bryg. Strzelców Karpackich.

7-7-69

W Szwajcarii w miejscowości Coire zostało otwarte drugie Sympozjum biskupów europejskich, w którym wzięło udział ponad 100 kardynałów i biskupów.

9-7-69

Zmarł w Londynie płk. Wiktor Malec, przew. Ukr. Rady Kombatanckiej. W okresie międzywojennym był on polskim oficerem kontraktowym; brał udział w kampanii wrześniowej jako szef sztabu Grupy Operacyjnej.

11-7-69

W Rivoli (Włochy) zakończyły się obrady V Europejskiego Zjazdu Proboszczów. W obradach wzięło udział ponad 200 proboszczów z 15 krajów europejskich.

15-7-69

W Paryżu podpisano układ między Hiszpanią i Polską, wznawiający stosunki dyplomatyczne i handlowe. W 1967 r. Hiszpania nawiązała stosunki z Rumunią. Toczą się pertraktacje z Węgrami i ZSSR. W 1968 r. Hiszpania importowała z krajów Komekonu na sumę 350 milionów franków. ■ W Belgradzie zakończyło się konsultatywne spotkanie 51 państw niezaangażowanych. Nie ustalono ani terminu ani miejsca następnego spotkania.

18-7-69

Odbyło się plenarne posiedzenie Rady Polonii Amerykańskiej, na którym postanowiono zmienić cały plan dotychczasowej pomocy dla Polski przechodząc z pomocy dla ludności na pomoc dla szpitalnictwa w Polsce.

19-7-69

Zmarł w New Yorku J. Dembiński, współzałożyciel Polskiej Bratniej Pomocyć organizacji opiekującej się nową emigracją. ■ Po trzydziestu kilku latach „Sól Ziemi" Józefa Wittlina została ponownie wydana w Niemczech („Das Salz der Erde", Fischer Verlag) i wybrana w Austrii jako „książka miesiąca". ■ W Londynie zaczął się ukazywać pod red. Rowmunda Piłsudskiego kwartalnik polityczny *Trybuna*, będący organem polskiego ruchu wolnościowego „Niepodległość i Demokracja".

24-7-69

Kabina kosmiczna Apollo 11 zakończyła pomyślnie 8-miodniową wyprawę na księżyc. ■ Blisko 100 lekarzy polskich pracuje w Afryce. ■ Odbył się 41 Zjazd delegatów Zw. Polaków w Argentynie. Zjazd nie przyniósł spodziewanych reform. M.in. nie została załatwiona głośna sprawa „Colonizadory". Przedwojenne Państw. Two Osadnicze, dysponujące znacznym majątkiem, po wojnie prowadzone przez powierników znajduje się całkowicie poza kontrolą społeczną. ■ Odbyło się Walne Zebranie Stow. Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires, które wystąpiło z inicjatywą stworzenia ośrodka nauczania kultury polskiej na poziomie szkoły średniej oraz uchwaliło zwrócenie się do b. min. Żółtowskiego o przekazanie Bibliotece książek i dokumentów po b. Poselstwie Polskim w B.A. ■ W nocy z 24 na 25 lipca zmarł w Vence (Francja) Witold Gombrowicz.

25-7-69

Od 1963 do 1968 — 3.300 księży diecezjalnych zabiegało o pozwolenie na zawarcie małżeństwa, z czego 2.949 otrzymało odpowiedź pozytywną oraz

3.807 zakonników, którym pozytywnie załatwiono 2.703 podań. Liczby te stanowią 2 % ogólnej liczby księży i 2,31 % ogółu zakonników.

26-7-69

W Waszyngtonie odbyły się uroczystości związane z 25-leciem Kongresu Polonii Amerykańskiej.

30-7-69

W Londynie odbył się wieczór *Kontynentów*, na którym B. Czaykowski wygłosił odczyt o pozycji literatury polskiej w świecie anglosaskim ■ Konsul gen. PRL w Paryżu, St. Pichla, został zmuszony do opuszczenia Francji. Jego następcą został J. Łukomski. ■ Papież Paweł VI przybył do Ugandy. Jest to już 8-ma podróż Papieża. ■ Pisarz sowiecki A. Kuzniecow wybrał wolność w Londynie.

1-8-69

Wśród naukowców kosmologicznych pracuje 2 Amerykanów polskiego pochodzenia: dr M. Krzywobłocki, abs. Politechniki Lwowskiej i prof. R. Korycíński, asystent dyrektora planowania lotów kosmicznych. ■ BBC Program IV nadał godzinną audycję, poświęconą Powstaniu Warszawskiemu. ■ Korespondent PRL w Paryżu, Leszek Kołodziejczyk został odwołany — na jego miejsce przyszedł Jerzy Kasprzycki. ■ Węgry złożyły wniosek o przyjęcie do GATT. Jest to 4-ty kraj socjalistyczny należący do GATT na prawach członka.

6-8-69

Nagroda literacka „Tazaba" w wysokości 250 dol. została przyznana Józefowi Mackiewiczowi.

15-8-69

Na Monte Cassino uroczysty obchód 25-lecia zdobycia klasztoru przez 2 Korpus, z udziałem Gen. Wł. Andersa. Uroczystość była połączona ze Zlotem Harcerstwa emigracyjnego. ■ Kwartalnik *Tematy*, poświęcony kulturze amerykańskiej i redagowany przez P. Mayewskiego, przestaje wychodzić. Na jesieni ukaże się ostatni zeszyt poświęcony twórczości Amerykanów polskiego pochodzenia. ■ Jubileusz 20-letniej pracy scenicznej znanego polskiego tenora Z. Kossakowskiego. ■ Sprawa biskupa-sufragana Monachium, Defreggera, który w 1944 r. przekazał rozkaz rozstrzelania 17 mieszkańców włoskiej wsi Filetto, nabiera coraz większego rozgłosu. Włoskie władze prokuratorskie prowadzą oficjalne śledztwo.

Listy do Redakcji

Londyn, dn. 19 lipca 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Sprawa Szulgina jest bardziej złożona i bardziej interesująca, niżby to wynikało z notatki p. Bohdana Osadczuka (*Kultura*, maj 1969) i z listu p. Michała K. Pawlikowskiego (*Kultura*, lipiec-sierpień 1969).

Wasilij Witaliewicz Szulgin był swoistym bohaterem wyprawy do ZSSR z ramienia rosyjskiego ruchu antybolszewickiego, za wiedzą i zgodą barona Wrangla, który wówczas stał na czele Russkogo Obszczewojenskogo Sojuza w Paryżu. Szulgin wyruszył we wrześniu 1925 r. z Paryża drogą przez Warszawę i Równe do Kijowa, Moskwy i Leningradu. Przebywał w ZSSR do wiosny 1926 r. Cała ta podróż i objazd ZSSR odbył się w rzeczywistości za wiedzą OGPU i był przez nie zorganizowany. OGPU działało przy tym za pośrednictwem tzw. „trustu", prowokatorskiej organizacji rzekomo antybolszewickiej, która czynna była w latach 1922-1927 jako podziemna Wszechrosyjska Unia Monarchistyczna i jawne Moskiewskie Towarzystwo Kredytu Municypalnego; obie te formacje były oczywiście fikcyjne. Na czele „trustu" stał Aleksander Aleksandrowicz Jakuszew, alias Feodorow.

W kwietniu 1926 r. Szulgin drogą przez Polskę wydostał się z ZSSR do Jugosławii. W styczniu 1927 r. ukazała się w Berlinie książka Szulgina pt. „Trzy stolice", opisująca jego spotkania z szeroko jakoby rozgałęzionym podziemiem antybolszewickim i monarchistycznym, w rzeczywistości — z agentami OGPU. OGPU odpowiedziało książką pt. „Kak my duraczyli Szulgina", której tytuł mówił sam za siebie. Cała ta afera doszczętnie skompromitowała na Zachodzie rosyjski ruch monarchistyczny.

Z końcem II wojny światowej Szulgin, który przebywał w jakimś małym miasteczku jugosłowiańskim, został przez tamtejsze władze komunistyczne wydany rządowi sowieckiemu. Spędził 12 lat w łagrach sowieckich. W listopadzie 1960 r. ukazał się w wychodzącym w Berlinie prosowieckim piśmie *Gołos Rodiny*, nr 91, list otwarty Szulgina do emigrantów rosyjskich. W liście tym przedstawiał się jako mistyk i przeciwnik materializmu, tym niemniej nawoływał do udzielania komunistom poparcia w walce przeciwko wojnom jako największej zmorze ludzkości. Jak stwierdza Borys Lewićkyj w książce „Die rote Inquisition", Frankfurt nad Menem 1967, „na próżno szuka się w jego [Szulgina] liście jednego słowa uczciwej rozprawy z swą własną przeszłością. Szulgin był reakcyjnym monarchistą i znanym pogromowym antysemitą. W liście mowa była tylko o jego błędnej taktyce". List ten przedrukowany potem został przez prasę w ZSSR. Wprawdzie Szulgin w chwili opublikowania owego listu liczył 83 lata życia, być może był dziecinniały i sterroryzowany, uderza jednak konsekwencja w poglądach „od białego caratu do czerwonego". Uderza też posługiwanie się przez „władzę sowiecką" moralnym i politycznym poparciem człowieka w rodzaju Szulgina. Lewićkyj notuje nawet, że — wedle pogłosek — zaawansował on do roli przyjaciela Chruszczowa. Zmarł w roku 1965.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu listu O. Edwarda Szymeczko stwierdzam co następuje: Styl i ton listu, jak zresztą jego poprzednich wystąpień w *Głosie Katolickim* nadaje się więcej do *Trybuny Ludu*, jak do naszych pism emigracyjnych. Nie wystarczy wołać o „uczciwość" i wymyślać od „oszczerców i krzykaczy", by przez to mieć rację. W ten sposób postępuje prasa reżymowa. Widać, że dobrze sobie przyswoił jej ducha!

Ironiczna i sadystyczna krytyka spokojnych wypowiedzi p. Mieroszewskiego, była wystąpieniem politycznym. „Apolityczny" wybór między „dwoma panami" wynikał z całego kontekstu artykułu, chociaż w nim nie wymieniono nazwiska towarzysza Gomułki, lecz tylko potępiono „polski Londyn". Jeżeli autor nie miał intencji deklarowania się po stronie tego pierwszego, to należało się wyrazić jasno i bez dwuznaczności. W ten sposób jak ja, odczytało wypowiedzi O. E. Szymeczki wielu innych poważnych ludzi.

Zresztą O. Edward Szymeczko jest zbyt pewny siebie i pozwala sobie na ubliżające krytyki nawet duszpasterstwa polskiego — np. jego krytyka pracy duszpasterskiej w rejonie Charleroi, którą kiedyś ogłosił w *Głosie Katolickim*. Niech mu na to odpowiedzą zainteresowani...

Reszta mojego listu nie odnosiła się do niego. Fakty w nim wspominane są zbyt znane bym je przytaczał ponownie!

Skarga na redakcję *Kultury* za nie publikowanie jego listów obraca się w pochwałę dla niej. Trudno drukować wypowiedzi ludzi, którzy jeszcze nie poznali emigracji, a już ubierają się w togi sędziów — i zamiast piórem posługują się... kogucim pazurkiem!

Z poważaniem,

Jacek DYWIŃSKI

◆

Pretoria, 21 czerwca 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o łaskawe sprostowanie wiadomości o Polakach w Południowej Afryce podanych w *Kulturze* 5/260, str. 81-7, a mianowicie śp. inż. Antoni Wejtko, w wojsku był ppłk. saperów, zmarł 25. 6. 1962 r., a „Rodzina Polska w Pretorii" powstała dopiero 10. X. 1962 r., a więc nie mogła być zorganizowana przez nieboszczyka.

„Rodzina" nie zbiera składek, nie ma statutu i nie ma prezesa. Mimo tylu iście nie-polskich cech jakoś żyjemy, a to dlatego, że członkowie „Rodziny Polskiej w Pretorii" mają polskie kręgosłupy.

Ilość polskich rodzin w Pretorii waha się między 40 a 50; z tej liczby połowa jest rdzennie polska, a resztę stanowią rodziny mieszane, które nie są ani lepsze ani gorsze od poprzednich.

F. KAŁUŻA, Dr Sc. Techn. (ETH)

◆

Rzym, 22 czerwca 1969.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Poruszane w *Kulturze*, a stylem „laików", bo „bez namaszczenia" (kaznodziejskiego) pisane wypowiedzi na temat aktualnych zagadnień życia religijnego nie mogą nie znaleźć życzliwych odbiorców także po stronie samego kleru. Zwłaszcza, gdy ktoś z nich nie podziela niepokoju organisty, który wobec faktu, iż zabrano mu syna w poborze do wojska, usiłuje identyfikować to drobne wydarzenie z innymi przejawami kierunku antykościelnego.

Usprawiedliwianie podrażnionej dumy na zauważonych dywagacjach ateistycznych nie tylko w Kraju, lecz i na Emigracji, jak to uczynił obrońca duchownych, zresztą sam jeden z nich, umniejszyło (moim zdaniem) rzeczowość repliki, choć do napisania jej wystąpienia naszych niektórych publicystów emigracyjnych dawały mu niewątpliwie prawo.

Że są oponenci, i że mogą publicznie dać wyraz swemu stanowisku — to jest rzecz raczej pozytywna: czytelnicy zaś czy to *Kultury* czy *Wiadomości* są na tyle ludźmi inteligentnymi, aby nie dawali się ponieść animuszowi jednego czy drugiego publicysty, a co najwyżej aby z okazji zaistniałej polemiki powzięli sobie właściwy osąd w obchodzącej ich sprawie.

Sam bowiem J. Mieroszewski, gdy w tej samej *Kulturze* (260, 35) zaryzykował rzec: „Nigdy nie było i nigdy nie będzie obiektywnej publicystyki", bo na nią składają się nie tyle analiza „faktów", co raczej „wnioski" będące przecież przejawem subiektywnego stanowiska, — nieco dalej (str. 36) jako Londyńczyk uderzył się w piersi wobec zaczepianej Emigracji, stwierdziwszy, iż w setkach artykułów „gromiłem i wytykałem błędy — czasem może przesadnie"!

Z poważaniem,

ks. Hieronim KWIATKOWSKI

◆

Londyn, 11 lipca 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan J. Mieroszewski w czerwcowym numerze *Kultury* (6/261 - 69) poucza jej czytelników że „Brytyjczycy są niewątpliwie jednym z najbardziej uczciwych społeczeństw pod słońcem". Niewątpliwie nikt z gazowni, czy też elektrowni nie popełni drobnej kradzieży, która w konsekwencji mogłaby pozbawić go pracy, a świat przestępczy wie, że niewiele można tam oczekiwać. Domyślam się, że p. Mieroszewski posiada dość bogaty zbiór książek. Na te rzeczy nikt z tego rodzaju tubylców nie skusi się, bo „tylko głupcy czytają książki", jest opinią do średnio-niższej grupy urzędniczej włącznie. Na rynku książka idzie za penny.

Po wylądowaniu w tym kraju już w czerwcu 1940 r. karmiono nas „Kawalkadą angielską", czy też „Anglią wyspą nieznaną". Te rzeczy już przebrzmiały i nie pozostało nawet po nich echa. Nie ma kawalkady i nie ma nieznanej Anglii. Po nauczeniu się kilkudziesięciu słów, słyszeliśmy od mieszkańców tej wyspy wiele opowiadań o ich cnotach, uczciwości, honorze, braku prostytucji, o przegranych bitwach i wygranych wojnach, itd. itd. I dziś można usłyszeć w radio, czy też wyczytać w prasie o ich niezwykłych wartościach i że coś „nie może zdarzyć się w tym kraju", co jest z dziedziny przestępstwa, czy też ujmy na honorze. Jednak bywa i tak, że już na drugi dzień radio boleje, że coś podobnego wydarzyło się.

W tym roku słyszałem z bólem wypowiedzianą skargę przez BBC na „Radio 4", że „jesteśmy narodem złodziei". Nie chodzi tu o świat przestępczy, który swoją działalność wzmaga szczególnie przed Bożym Narodzeniem, by mieć coś wyjątkowego na gwiazdkę, jak np. lorę whisky, czy też papierosów. Chodzi tu o przeciętnego Brytyjczyka, którego uczciwość nie jest sprawą sumienia, lecz bezpieczeństwa.

Oto krótkie przykłady. *Sunday Telegraph* z dn. 15. VI. 69 r. boleje, że robotnicy budowlani będąc zatrudnieni prywatnie, udają bezrobotnych pobierając z tego tytułu zapomogi, co kosztuje bagatelną sumę £ 20.000.000. Robi to 250.000 robotników. *Daily Telegraph* z dn. 2 lipca br. podaje informacje, że posiadacze aparatów radiowych i telewizyjnych nie wykupują licencji na sumę £ 7.500.000. Też nie mała suma. Uczciwi, lub lękliwi posiadacze radia i telewizji płacą £ 22.000.000. Tak zwany *shoplifting* w samoobsługowych magazynach, to 5 % obrotu, a więc na pewno kilkanaście milionów, jeśli nie kilkadziesiąt*.

Robi to przeciętny obywatel, a nie świat przestępczy. Wiem z własnego doświadczenia z jakim zdziwieniem wszędzie i w każdych okolicznościach przyjmują z powrotem źle wydaną resztę. Jestem przekonany że towarzyszy temu zdziwieniu przekonanie o wrodzonej głupocie cudzoziemców. Taki naturalny gest nie może być inaczej skwitowany.

Z wyrazami szacunku,

Kazimierz RÓZGA

* Piszę z pamięci. Nie sięgam do wycinków z prasy.

◆

Palo Alto, Calif., 26. VI. 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisząc do redakcji pism, nawet w odpowiedzi na ankiety, należy opuszczać co drugą linijkę maszynopisu. Słusznie ukarał mnie sprawozdawca ankiety o czytelnictwie polskim, p. S. Zarzewski, za niezastosowanie się do tego zwyczaju, czytając... właśnie co drugą linijkę. W kwietniowej *Kulturze* zostałem w ten sposób obdarzony „wspólnikiem" i „smutną historią", co jest mniej ważne ale i autorstwem projektu periodyku polskiego w języku angielskim, „który na pierwsze spojrzenie nie wydaje się zupełnie jasny". Lubię podróżować lekko, nie dodałem więc do swego bagażu kopii mojej odpowiedzi na ankietę przesłanej *Kulturze*, ale przypominam sobie, że wyraziłem w niej żal z tego powodu, że w swoim czasie, nie wylądował w Ameryce p. Jerzy Giedroyc. Niewątpliwie w „Culture" p. Giedroycia można by się wtedy w każdym tutejszym kiosku tak łatwo zaopatrzyć, jak np. Murzyni i Amerykanie innych maści, którzy interesują się tym co Murzyni mają do powiedzenia, zaopatrują się np. w „Ebony", a „Culture Library" liczyłaby setki tomów.

„Amerykański" Giedroyc wydawałby właśnie tu „Culture" a nie *Kulturę*, gdyż logicznym jest chyba wydawanie pisma w języku kulturalnym jego odbiorców. Nawet ci tutaj, którzy swobodnie czytają i mówią po polsku, a którzy już tylko skończyli amerykańskie szkoły, mogą być jedynie *biernymi* odbiorcami pism wychodzących w języku polskim, gdyż nie są w stanie np. napisać listu do redakcji. Język polski pozostałych wystarcza może na czytanie pism wydawanych tu po polsku, ale jedynie dlatego, że mówiąc łagodnie, pisma te operują ograniczonym zasobem słów i pojęć, aby być zrozumiałymi. Obie te grupy należą zresztą do mniejszości — większość to ci, którzy choć w różnym stopniu poczuwają się do polskości, ale języka polskiego już nie znają. Jeżeli nie pochwaliłem działaczy polonijnych, wspominając „o kurczowym trzymaniu się języka polskiego" — to jedynie za to, że całkowicie „odpisali na straty" tę większość. Walka o dostarczenie dziennika, czy tygodnika w języku polskim do domów, w których nieraz 9/10 członków

rodziny języka tego nie zna, miałaby sens jedynie, gdyby tych 9/10 stanowczo odżegnywało się od polskości i sprawy polskie zupełnie ich nie obchodziły. O tym, że tak nie jest można by napisać całe tomy. Zainteresowania Amerykanów, nie tylko zresztą polskiego pochodzenia, krajem swoich przodków, jego obyczajami, kulturą, językiem, historią własnych nazwisk, idą tu w parze z ogólnym wzrostem zamożności i zainteresowań kulturalnych. Dotrzeć do tych, przez organizacje polonijne „odpisanych na straty", zwłaszcza jeżeli mieszkają w 47 „nie-polskich" stanach, nie jest możliwe — bo przy pomocy *czego?* Próby z ich strony kończą się, w tym stanie rzeczy, również rezultatem negatywnym. Zresztą cóż się ofiarowuje w tych paru „polskich" stanach zwłaszcza młodzieży? Co najwyżej „niemy" udział w odtańczeniu krakowiaka czy mazura, jak to miało miejsce ostatnio na licznych obchodach millenijnych. Część tej młodzieży, zgrupowanej w ośrodkach uniwersyteckich, i to łącznie z młodzieżą pochodzenia nie-polskiego, interesującą się Polską, posiada szereg pism wydawanych w języku angielskim. Od razu jednak trzeba stwierdzić, że żadne z nich nie ma szans szerszego „normalnego", rozwoju. W Stanach należy zacząć od razu na odpowiednią skalę. Wydawać taki periodyk, czy periodyki mogłoby jedynie parę polonijnych *połączonych* organizacji lub ktoś wybitnie w tym kierunku inklinowany (patrz wyżej). Do innych ani Coca-Cola, ani General Motors, ani Dutton, że wydaje Andrzejewskiego i Hłaskę, ani Grove, wydawca Gombrowicza, nie będą fatygować się z nadsyłaniem ogłoszeń.

Książka polska w Stanach (obojętne w oryginale czy w tłumaczeniu — te dwie wersje się zazębiają i uzupełniają) bez prasy będzie tylko wegetować. Sytuację, podobną do istniejącej tutaj, można by sobie wyobrazić z książkami polskimi wydawanymi na Zachodzie, gdyby nagle zabrakło wydawanych tam pism emigracyjnych.

Przypuszczałem, że odpowiedzi na ankietę *Kultury* zostaną ujęte tylko w cyfry i nie sądziłem, że częściowo mogą być przytoczone *verbatim* w druku. Tym niemniej wyrażoną opinię, że „główną przeszkodą w rozpowszechnianiu i poczytności książek polskich w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie jest, niewątpliwie, kurczowe trzymanie się języka polskiego przez tutejszych polskich *leader*'ów i organizacje" — nie tylko podtrzymuję ale chciałbym ją uzupełnić. Skoncentrowany wysiłek na utrzymaniu tu prasy w języku polskim „blokuje" wydawanie tejże w języku angielskim. Sprawa książek jest tylko jednym z aspektów i to nie najważniejszym. Sprawą zasadniczą jest, że jesteśmy tu wciąż „wielkim niemową", którego dążeń i opinii nikt nie zna i, oczywiście, z nimi się nie liczy. Musimy spokojnie (lub mniej spokojnie — zależy od charakteru) czytać to i słuchać tego co inni mają o nas do powiedzenia. Jesteśmy zupełnie bezbronni wobec różnych ataków na Polskę, gdyż nasze „odpowiedzi" i „sprostowania" pomijane są z reguły milczeniem. Drukowanie ich po polsku ma ten tylko rezultat, że są „z urzędu" tłumaczone przez paru panów w Library of Congress — ale poza nimi, ani opinia publiczna, ani nikt inny, o nich się nie dowiaduje.

Wyrazy poważania łączę

Jerzy SZWEDE

◆

Kazimierz Górski, Londyn, w kolejnym liście atakuje *Kulturę* a specjalnie artykuł pt. „Król Ube i Polacy". Poza tym twierdzi — powołując się na wychodzącą w Londynie *Gazetę Niedzielną* — że *Kultura* zabiegała „w swoim czasie" o debit w PRL...

Bogdan Szarlak, Monachium, krytykuje w *Kulturze:* opowiadanie „Wes-

tern", artykuł J. Lichtena oraz artykuł „Król Ube i Polacy" stwierdzając, że *Kultura* z reguły nie zamieszcza „wypowiedzi Polaków przedstawiających obiektywnie prawdę, a jedynie zniesławiających i szkalujących naród polski". Niemniej zjednał nam nowego prenumeratora — za co dziękujemy.

Stanisław Sęp-Szarzyński, Leiston, W. Bryt., polemizuje z art. J. Czapskiego, zamieszczonym w *Kulturze* w maju ub.r., w którym zarzucał Kardynałowi Wyszyńskiemu, że nie wystąpił przeciwko antysemityzmowi w Polsce. P. Sęp-Szarzyński w dłuższym wywodzie twierdzi, że Kardynał miał rację i „dał w danym razie chlubny przykład rozumu i patriotyzmu". Polemizując ponadto z Londyńczykiem p. Sęp-Szarzyński pisze: „... temu lepszy fartuszek, tamtemu komeżka, niech sobie w *Kulturze* i tak będzie. Londyńczykowe koniki z toru wygonili, niech sobie żałość o to do końca świata nie mija... dziś bardzo nie pora na antyklerykalne uciechy ale i traktowanie problematyki katolickiej aby zbyć".

Mgr inż. Zdzisław Zychowicz, Wilchwy, ul. 1 Maja 43, pow. Wodzisław Śląski, woj. Katowickie, nadesłał list-artykuł atakujący stosunek *Kultury* do kraju i przedstawiający radosną sytuację w Polsce Ludowej. List jest długi, 5 wielkich stron maszynopisu bez odstępu, pełen zresztą niewybrednych inwektyw. Mimo że p. Zychowicz prosi o zamieszczenie go powołując się na głoszony przez *Kulturę* liberalizm, a nawet rezygnuje z ewentualnego honorarium — nie zamieścimy go, natomiast odnotowujemy, aby p. Zychowicz mógł wykazać odpowiednim władzom, że spełnił „zamówienie społeczne".

Ewa-Polka. List z kraju. — Nie zamieścimy go. Radzimy przeczytać fragment książki A. Fabre-Luce'a, drukowany w bieżącym zeszycie.

REDAKTOR

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury": Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1969.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula « (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a.	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Dobicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; **Krystyna Krakowska,** 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; **B. Krasuski,** 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. : 233-7212; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; **M. K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, **Polish Amer, Book C°** 1136 Milwaukee Av., Chicago III. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12.00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 173 — JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

Powieść

Wielki fresk przedstawiający rzeczywistość Ziem Północnych R.P. w czasie ostatniej wojny

Str. 560. Cena F. 35 (dol. 8,00)

◆

TOM 174 — ANDRZEJ BUSZA

ZNAKI WODNE

Poezje

Str. 64. Cena egz. F. 7,00 (dol. 1,75)

◆

TOM 175 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

UPIORY REWOLUCJI

Eseje

Str. 176 Cena egz. F. 15,00 (dol. 3,75)

◆

TOM 176 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESNASTY

zawiera m.in.

Z. S. Siemaszko: *Powstanie Warszawskie — Kontakty z ZSSR i PKWN.* — A. Cienciała: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski 1914-1918,* — J. Łukasiewicz: *Wspomnienia z roku 1939.* — G. K. Żukow: *O Powstaniu Warszawskim i Polsce. — Lista awansów oficerskich, dokonanych przez prez. A. Zaleskiego od 1954 do połowy 1969 r.* oraz szereg innych opracowań i zwykłe Działy.

Str. 240. Cena F. 17,50 (dol. 4,00)

Cena 5,00 F

Richard S.A., 24, rue Stephenson - Paris

BP